

ROMAN JONASZ

BYŁEM KSIĘDZEM

cz. II

OWCE OFIARAMI PASTERZY

Wszystkim wspierającym mnie w walce o nowy - lepszy Kościół

„Bardziej bowiem umiłowali chwałę ludzką aniżeli chwałę Bożą”.

Jan 12, 43

SPIS TREŚCI

<u>OD AUTORA</u>	4
<u>WSTĘP</u>	8
<u>CZEŚĆ PIERWSZA</u>	
<u>ROZDZIAŁ I CZARNA MADONNA</u>	11
<u>ROZDZIAŁ II W SŁUŻBIE BOGU I KOŚCIOŁOWI</u>	55
<u>ROZDZIAŁ III NOCNE OBJAWIENIE</u>	65
<u>ROZDZIAŁ IV Z CZEGO SPOWIADAJĄ SIĘ LUDZIE?</u>	71
<u>CZEŚĆ DRUGA</u>	
<u>ROZDZIAŁ V CIERPIENIE I STRACH</u>	106
<u>ROZDZIAŁ VI OPATRZNOŚĆ I JEJ BRAK</u>	119
<u>ROZDZIAŁ VII PIEKŁO DLA BIEDAKÓW</u>	123
<u>ROZDZIAŁ VIII NIEBO DLA DUCHOWNYCH</u>	134
<u>ROZDZIAŁ IX CZYŚCIEC DLA NAIWNYCH</u>	140
<u>ROZDZIAŁ X O!...BŁĘDNY KOŚCIÓŁ</u>	142
<u>ROZDZIAŁ XI PIERWSZE PODSUMOWANIE</u>	147
<u>ROZDZIAŁ XII DOKTRYNA WYSSANA Z PAPIESKIEGO PALCA</u>	150
<u>ROZDZIAŁ XIII PAPIESKA OMYLNOŚĆ</u>	159
<u>ROZDZIAŁ XIV ZGUBNA TRADYCJA</u>	172
<u>ZAKOŃCZENIE</u>	175

OD AUTORA

Dziękując Państwu za niezwykle przychylne przyjęcie mojej pierwszej książki pt. „Byłem księdzem” - Prawdziwe Oblicze Kościoła Katolickiego w Polsce, która od wielu miesięcy zajmuje pierwsze miejsce na liście książkowych bestsellerów - składam na Wasze ręce drugą jej część. „Owce ofiarami pasterzy” - stanowi kontynuację pierwszej pozycji, opartej w znacznym stopniu na moich osobistych przeżyciach z okresu kapłaństwa. Tym razem jednak większa część materiału powstała na kanwie doświadczeń i przemyśleń już z okresu „wolności”. Kwintesencją niniejszej książki jest odsłonięcie błędów i wypaczeń Kościoła Rzymsko -

Katolickiego, a przede wszystkim ukazanie konkretnych, namacalnych skutków, jakie niesie za sobą archaiczna doktryna i wynaturzony system.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy otrzymałem setki listów z wyrazami wsparcia dla idei, które głoszę i głosić będę. Ta korespondencja, jak również: wywiady radiowe i telewizyjne, artykuły w prasie, polemiki; a nade wszystko kontakty z osobami pokrzywdzonymi przez ludzi Kościoła - zainspirowały mnie do dalszej walki z kościelną hipokryzją, kłamstwem i obłudą - głoszoną i uskutecznianą pod przykrywką świętości i monopolu na prawdę. Ogromne poparcie dla mojej walki o odnowę skostniałych struktur Katolicyzmu, utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie jestem sam, gdyż za mną stoją setki, tysiące, miliony ludzi pragnących tego samego. Dla skonsolidowania szeregów tej armii ludzi dobrej woli, którym nie jest obojętne dobro Chrystusowej Owczarni - założyłem i zgłosiłem do rejestracji: Stowarzyszenie Odnowy Kościoła Rzymsko - Katolickiego Na Rzecz Osób Poszkodowanych Przez Kościół. Faryzeusze i Uczni w Prawie! Nie Mówcie mi, że Kościół to wszyscy ludzie wierzący i ochrzczeni. Wszyscy znamy szczytne założenia i wiemy, jak być powinno. To Wy - hierarchowie jesteście Kościołem, bo sami strzeżecie zła, które się w nim nawarstiwiło. My chcemy czynnie zwalczać to zło i pomagać ofiarom jego następstw.

Dzień przebudzenia jest bliski! Zmiany są nieuniknione! Nie bądźmy tylko nazbyt przytłoczeni ogromem tego, co było zbudowane na skale, a zostało przeniesione na piasek; co chwieje się w swoich posadach i gnije od fundamentu.

Dziękuję wszystkim, którzy deklarują pod moim adresem swój wkład w odnowę Kościoła i wspierają mnie w moich dążeniach!

Zwracam się również do zadeklarowanych obrońców „Wiary i Moralności”, „Kościoła i Tradycji”, którzy swój sztandarowy katolicyzm łączą na dodatek z patriotyzmem - umiłowaniem tego, co narodowe, polskie. Otwórzcie szeroko Wasze serca i umysły - nie bronicie Wiary, a tym bardziej Moralności, ale co najwyżej ochraniać skostniałą Tradycję, służąc Kościołowi. Oddzielmy w końcu Boga i wiarę w Niego od udziału w bezdusznych, kościelnych imprezach. Co zaś się tyczy patriotyzmu - trudno o bardziej błędną postawę; charakteryzującą się pomyleniem pojęć, faktów i punktów wyjścia. Zadaniem Kościoła nie jest w żadnym wypadku pielęgnowanie uczuć patriotycznych swoich wiernych. Wręcz przeciwnie - podstawowym jego założeniem jest internacjonalizm; «katolicki» oznacza «powszechny». Chrystus zabronił swoim uczniom mieszania się do spraw tego świata. Jeśli Kościół zajmuje się polityką, a biskupi i księża przyjmują postawy Rejtanów; są

retorami niepodległościowych przemówień i piewcami polskości - to tylko dlatego, iż wychodzą naprzeciw społecznym potrzebom i oczekiwaniom. Zbijają na tym wielki kapitał polityczny i moralny; podnoszą swój prestiż; zyskują ludzki podziw i szacunek.

Jeśli chodzi o duchowieństwo w naszym Kraju, to niestety - w historii więcej było przypadków księży konfidentów i zdrajców niż patriotów; przekupnych egoistów i nepotów niż społeczników. To są niezaprzeczalne, choć bolesne fakty. Kapłani polscy „wstawili” się zwłaszcza w okresie utraty niepodległości, kiedy to masowo szli na współpracę z zaborcami. Ówczesni papieże gloryfikowali przecież naszych okupantów i potępiali Powstania Narodowe. To też są fakty. Naturalnie na dziesiątki tysięcy księży, było również wielu obrońców wiary i polskości, którzy z narażeniem życia sprawowali swoją posługę, uczyli języka polskiego itp. Były to jednak - w zestawieniu z masami duchowieństwa diecezjalnego i zakonnego - przypadki incydentalne, a ciągle przypominanie takich nazwisk, jak Kordecki czy Skarga, najlepiej o tym świadczy. Podczas Kampanii Wrześniowej większość biskupów czmychnęła za granicę, zabierając ze sobą zawartości kurialnych skarbców - tak, jak to uczynił np. ordynariusz wrocławski bp. Karol Radoński ze swoim kapelanem ks. Grajnerem. Księża, poza nielicznymi, rozpierzchli się. Nie brakowało też folksdeutschów.

Faktem jest również i to, że wielu z nich zginęło w obozach koncentracyjnych, ale bynajmniej nie z uwagi na swoje zasługi w ruchu oporu. Niemcy, a później Rosjanie, niszczyli po prostu inteligencję „jak leci”; większość zaś ludzi wykształconych w tamtych czasach stanowili kapłani. Poza tym, okupanci zamykali kościoły, gdyż wiedzieli, że germanizacja czy rusyfikacja „dostanie w łeb”, bo Polacy - co jak co

- ale modlić będą się po polsku.

Zobaczmy, co dzisiaj reprezentuje sobą Kościół Rzymsko - Katolicki. Jego struktury są strukturami zwyczajnej, ludzkiej instytucji, jakich wiele. Nie ma w nim wątku nadprzyrodzonego, boskiego. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie nadprzyrodzona misja i cele Kościoła: głoszenie Słowa Bożego, świadectwo życia tym Słowem, nawracanie, prowadzenie ludzi wierzących do Boga. Kościół jest niczym innym, jak tylko urzędem, a księża - urzędnikami, którzy inkasują odpowiednie należności za odpowiednie usługi. Porównanie do urzędu skarbowego jest chyba najbardziej adekwatne. Gdzie tu miejsce na przemianę serc i życie

Ewangelią!? Kapłani pełnią funkcję li tylko zewnętrzną, usługową

- usługi ślubne, pogrzebowe, chrzcielne; poświęcenia, pokropienia, przemówienia. Człowiek może się w Kościele pomodlić, wyspowiadać

- jak mu ciężko albo jak musi - ale nie może znaleźć przykładu autentycznej wiary ani u duchownych, ani u innych, oszukanych jak on sam. Dzieje się tak, ponieważ Kościół Katolicki kształtuje ludzi religijnych, wiernych tradycjom i papieżowi, ale nie budzi w sercach tych ludzi autentycznej wiary. Powodem są błędy doktrynalne i zwyczajowe

- prawa ludzkie, kościelne, które wyparły ustanowienia Boskie:

- nieomylność papieży (pierwszorzędne źródło wypaczeń);

- zafałszowanie faktycznych finansów, jakimi dysponują hierarchowie;

- pieniądze i majątek ponad wszystko!;

- mieszanie się do polityki i życia społecznego;

- żądza władzy i dominacji;

- bezsensowne budowanie ogromnych świątyń i plebanii;

- ingerowanie w prywatne życie ludzi, w najbardziej intymne sprawy (liczba dzieci, antykoncepcja, agitacja wyborcza);

- celibat, który demoralizuje i wypacza sumienia księży, wraz z jego dalszymi konsekwencjami (zbożenia, trójkąty z udziałem duchownych, dzieci z nieformalnych związków itp.)

Cóż to za zasługa - wytrwać w celibacie! Bardziej godni szacunku są ci księża, którzy rezygnują z posługi (dającej niezłe utrzymanie) i - nie zważając na presję środowiska - zakładają rodziny, aniżeli ci, prowadzący podwójne życie w obłudzie i zakłamaniu, a takich jest ogromna większość. Denerwuje mnie, kiedy ktoś mi mówi, że ja nie wytrzymałem, że byłem słabszy od innych. Przede wszystkim, nie to było powodem mojego odejścia z kapłaństwa. Swoją obecną żonę wybrałem już po rzuceniu sutanny, choć znaliśmy się wcześniej. Poza tym, życie wbrew naturze danej przez Boga nigdy nie będę uważał za powód do dumy!

Księża powinni uczciwie pracować i żyć w rodzinach, jak większość ludzi. Tam jest ich miejsce i okazja do dawania przykładu dla swoich parafian. Uzależnianie stanu kapłańskiego od bezżeństwa jest o tyle głupie, co szkodliwe.

Wróćmy jednak do tematu. Odpowiedzią na powyższe nieprawidłowości w Kościele, były jego wielokrotne rany i rozdarcia - Schizma Wschodnia, Reformacja; wojny religijne; powstanie takich wyznań jak np. Świadkowie Jehowy i dziesiątki,

setki innych - skupionych na deprecjonowanym przez Kościół Piśmie Świętym. To najbardziej widoczne dowody na wypaczenia w Rzymskim Kościele.

Kościół ten przyjął wyjątkowo przewrotną metodę działania, aby choć z pozoru wybielić nieco swoje oblicze. Jest to metoda obłudnego pustostowania; tzn. mówi się, jak być powinno, np. „nie potępiajcie” - ale sam potępia; głosi ubóstwo - ale sam się bogaci!

Nie mogłem dłużej służyć kłamstwu i to jako kapłan! Tracić wiarę i życie - dla nędznych srebrników i taniego poklasku. Nie chcę w jakikolwiek sposób poniżyć tych, którzy zostali, bo tak im dobrze. Jestem tylko głęboko wdzięczny Bogu za to, że dał mi odwagę, abym powiedział: NIE!!

Trzy lata byłem w Kościele - jak biblijny Jonasz we wnętrzościach ryby. Wyszedłem - aby nawracać na „ścieszki Pana” i „dać świadectwo prawdzie!”

Sam Bóg pokierował moimi drogami, kiedy kazał mi opuścić stan kapłański i zetknąć mnie z ludźmi skrzywdzonymi przez Kościół, abym mógł mówić z nimi i za nich. Wszystko po to, aby Prawda ujrzała światło dzienne.

Czyż wszystko, co służy Prawdzie, nie służy także Jemu - Który Jest Drogą, Prawdą i Życiem!?

WSTĘP

Książka ta jest w dużej mierze faktografią; po części zaś owocem przemyśleń jej autora.

Pierwsza część stanowi dokument autentycznych wydarzeń, w których sam uczestniczyłem.

Rozdział I - to relacja z przeżyć, które najlepiej oddaje podtytuł całej książki - wstrząsająca historia „owiec” niszczonej przez swoich pasterzy; a zwłaszcza jednego, który w dodatku spłodził dwie z nich. Cała rzecz jest zupełnie nieprawdopodobna, ale prawdziwa w każdym calu i ...dzieje się nadal.

Przeczytajcie więc o księdzu, który porzucił swoją konkubinę z dwójką dzieci („Czarna madonna”).

Dowiecie się od autentycznej zakonnicy, jak naprawdę wygląda życie w żeńskim zgromadzeniu zakonnym („W służbie Bogu i Kościołowi”).

Opowiem Wam o tym, że Jezus Chrystus może objawić się nawet byłemu księdzu - czyli mnie („Nocne objawienie”).

Chyba nikt z Was nie słuchał nigdy żadnej spowiedzi, poza swoją własną.

Przeczytacie o najlepszych „kawałkach” ze spowiedzi, które sam przeprowadziłem jako ksiądz. Od razu zaznaczam, iż nie naruszę przy tym żadnej tajemnicy („Z czego spowiadają się ludzie”).

Część druga jest moim spojrzeniem na ostateczne losy każdego z nas. Obalam w niej większość doktryny katolickiej, dogmatów i tzw. „uświęconych prawd”. Rozpoczyna ją refleksja na odwieczny temat sensu ludzkiego cierpienia oraz strachu przed śmiercią („Cierpienie i strach”).

Podzielę się z Wami tym, co usłyszałem od osób, które podczas śmierci klinicznej przeszły na „drugą stronę”.

Odpowiem na pytanie - dlaczego Bóg widział i nie „grzmiał”, kiedy miliony niewinnych ludzi ginęły w obozach koncentracyjnych („Opatrzność i jej brak”).

W swoistym tryptyku na temat piekła, Nieba i czyścica - Dowiedcie się, że tylko jeden z tych stanów istnieje naprawdę („Piekło dla biedaków”, „Niebo dla duchownych”, „Czyściec dla naiwnych”).

Wypunktuję - jeden po drugim - błędy Kościoła Katolickiego i jego doktryny („O!...Błądny Kościół”, „Doktryna wyssana z palca papieża”).

Udowodnię ponad wszelką wątpliwość, że każdy papież jest omylny („Papieska omylność”).

Wykażę, jak zgubne dla naszej wiary jest kurczowe trzymanie się skostniałej Tradycji - tworu, który ludzie „ulali” sobie sami, aby odsunąć na dalszy plan Boga i Jego Święte Pismo.

Życzę miłej i owocnej lektury!

Roman Jonasz

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

CZARNA MADONNA

Ludzkie drogi bywają bardzo pokrętnie. Czasem aż trudno uwierzyć! Nasza szara codzienność i beznamiętna wegetacja, przeplatana nielicznymi uśmiechami losu, tylko dla nas samych wydaje się być oczywista i z góry ustalona. Żyjemy jakby skazani na to, co nas spotyka, a jednocześnie i do końca pragniemy żyć lepiej, ciekawiej

- „więcej mieć, bardziej być” - zostawić po sobie na tej ziemi głębszy ślad.

Wbrew pozorom udaje się to na swój sposób każdemu z nas. Najbardziej - wydawać by się mogło - beznadziejne i szare życie, pisze tak fascynujące scenariusze, iż nawet najwięksi reżyserzy Hollywoodu nie powstydziliby się ich w swoich kasowych produkcjach. Problemem byłoby jedynie umiejscowienie fabuły w odpowiedniej kategorii: sensacja, dramat, ponury dreszczowiec, zabawna komedia, a może po prostu zwykły film obyczajowy z aktorem popełniającym ciągle pomyłki, który odchodzi w końcu na nie zasłużoną emeryturę i umiera ...umęczonej przedtem całą ekipę z Głównym Producentem włącznie. Jeśli już mowa o gatunkach filmowych, to bezsprzecznie w życiu każdego z nas są one dokładnie i dowolnie pomieszane

- zazwyczaj tyle w nim komedii oraz farsy, co dramatu i sensacji. Jakby jednak

nie patrzeć na to ludzkie istnienie i trwanie, często wbrew nadziei - walka z przeciwnościami losu, zmaganie z przeznaczeniem, a nade wszystko każde małe i duże zwycięstwo ludzkiego ducha z ziemską, brudną materią - jest nad wyraz ciekawe. Tak, ciekawe! Może nie zawsze dla tych co sami walczą, ale na pewno dla postronnych, darmowych widzów. Lubimy patrzeć na takie zmagania innych; pomaga to nam strawić nasze własne - jedynie ważne i naprawdę zajmujące.

Przypomina mi się spowiedź pewnego namiętnego kierowcy, który podczas spowiedzi zwierzył mi się:

„... Proszę księdza, dużo jeżdżę i miałem już jeden wypadek i kilka stłuczek. Nie wiem czy to jest grzech, ale ...kiedy jadę samochodem i widzę po drodze jakąś krakę odczuwam dziwną satysfakcję...”.

Drogi Bracie, Droga Siostró - Wierz mi, iż żyją wokół Ciebie ludzie, którzy „rozbijają” się o wiele częściej aniżeli Ty. Zapewne ich nie znasz, ale oni są - trawią w jednym sercu i czterech ścianach swoje rozterki, bóle, cierpienia, a czasem całe „skopane” życie. Bezlitosny, ślepy los doświadczył ich wyjątkowo dotkliwie; na trwałe zranił ich dusze i osłabił ciała. Odebrane zostało im to, co potrafi podeprzeć i podtrzymać w największym zwątpieniu - wszelka nadzieja!

Cóż winni są tacy ludzie!? W czym albo komu zawinili!? Czyżby Wszechmogący Bóg nie miał żadnej miary w doświadczeniu swoich dzieci!?

To nie Bóg, to tylko zwykłe ludzkie krzyże, o tyle inne od pozostałych, że nie na ludzkie barki. Niektórzy „wybrańcy” losu dźwigają takie ciężary i upadają pod nimi przez całe życie, niczym nie zasługując sobie na fatum, które ich spotyka.

Im wszystkim dedykuję tę prawdziwą historię - opowieść o kobiecie i dwójce jej dzieci. W życiu tych trojga ludzi niewiele było wartkiej akcji i sensacji, a jeszcze mniej przygody czy beztroskiej komedii. Było za to i jest nadal wiele, zbyt wiele - czarnego dramatu.

Myślę, że nie znajdzie się nikt, kto po przeczytaniu tego rozdziału odczuje jakąkolwiek satysfakcję.

Zanim zacznę relacjonować fakty, nadmienię tylko, iż wszystkie zdarzenia oraz osoby opisywane przeze mnie w tym dramacie są prawdziwe i autentyczne pod każdym względem. Nie zmienione pozostają również nazwy miejscowości, ulice, nazwiska oraz tytuły hierarchów kościelnych i wszelkie dane osób postronnych. Jednym słowem cała opowieść posiada wszelkie znamiona dokumentu i jest nim w istocie, gdyż powstała po moich długich, wielogodzinnych rozmowach oraz

nagraniach z Panią Grażyną i jej dziećmi. Widziałem także na własne oczy, a w niektórych wypadkach sprawdzałem autentyczność: listów, zdjęć, wyciągów bankowych oraz innych dokumentów, świadczących niezbicie o autentyczności całej historii. Dzięki temu mogę operować najdrobniejszymi faktami i cytatami.

Najbardziej przekonali mnie jednak sami ludzie.

Pragnę wyrazić w tym miejscu głębokie uznanie i podziw dla głównych bohaterów i zarazem autorów opowieści - Pani Grażyny Karamara oraz jej córki Ewy i syna Rafała z Nysy w woj. opolskim. Dziękuję im za odwagę, ofiarność, a także niespotykane poświęcenie dla wielkiej sprawy odnowy Kościoła Katolickiego. Dla tego szczytnego celu tych troje (na własną prośbę!) poświęciło swoją prywatność, a być może dla wielu także dobre imię.

Przenieśmy się ponad 30 lat wstecz do małego, pięcioletniego miasteczka na Opolszczyźnie. Mieszkało tam z czwórką małych dzieci małżeństwo Karamara. Ojciec rodziny pracował w miejscowej fabryczce; matka opiekowała się dziećmi. Żyli wyjątkowo skromnie z niewielkiej pensji ojca; mieszkając w maleńkim, wynajętym mieszkaniu. Najstarszą z rodzeństwa była 9 - letnia Grażynka.

Zanim zajmiemy się losami dziewczynki, należałoby wspomnieć o pewnej przypadłości rodziny Karamara. Być może, wielu z Was rozpozna w postawie tych ludzi swoje własne poglądy i będzie identyfikowało się z ich zasadami, ale ja nie zawaham nazwać tego przypadłością, a nawet więcej - swoistym garbem naiwności. Myślę tu o bezkrytycznym i bezgranicznym uwielbieniu dla instytucji Kościoła Katolickiego; w szczególności zaś dla wszystkich bez wyjątku księży. Z pewnością wielu z Was, mając podobne obciążenie genetyczne (sam takowe posiadałem), nie doświadcza z tego tytułu żadnych zniewag czy też przykrości. Co więcej - gro Katolików ceni sobie bardzo takie, a nie inne podejście do Kościoła i kapłanów; po prostu dobrze im z tym.

Tak było również z tatą i mamą Karamara. Dla nich, a z czasem również dla ich dzieci, nie istniało życie poza Kościołem albo na jego peryferiach. Świątynię nawiedzali niemal codziennie; zwłaszcza matka, która dosłownie w niej „przesiadywała”. Dzieci już od lat niemowlęcych były „wciągane” w ten bałwochwalczy kult: Mszy, nabożeństw, świętych obrazów, adoracji, procesji, śpiewów, modlitw itp. Wszelkie spotkania z kapłanami miały posmak osobliwych misterii; były niejako przedłużeniem tych tajemniczych obrzędów, jakie nadludzie ci sprawowali wokół ołtarzy. Księża byli dla Karamarów święci, nieomylni, doskonali

pod każdym względem. Księży w ich domu traktowano jak aniołów; ubóstwiano i całowano po rękach jak samego Chrystusa. Rodzice zapraszali duchownych w swoje skromne progi przy każdej okazji, a ci skwapliwie (przy najwyższym zachwycie domowników) „niszczyli” domowe zapasy wielodzietnej rodziny.

Można śmiało powiedzieć, iż te kontakty z parafią i kapłanami nadawały całej rodzinie sens życia, nobilitowały do „wyższych sfer” i były chyba jedynym ukojeniem w ich niełatwej egzystencji. Jak już wspomniałem, wszystko byłoby w porządku, jak w przypadku tysięcy podobnych rodzin, a jawne przegięcia kultowe Karamarów wyszłyby im tylko na zdrowie - gdyby nie fatum. Podobno jednak nic nie dzieje się bez przyczyny, zaś w tym przypadku powodów fatum trzeba doszukiwać się w zupełnym zaślepieniu oraz irracjonalnym, bezkrytycznym podejściu do systemu, w którym zakamuflowane były dla takich jak Karamarowie - fałsz, próżność, hipokryzja i obłuda; uwydatnione zaś - wymaginowany monopol na prawdę, świętość, niewinność oraz nieskalany ład i porządek. Oszukani ludzie żyli więc w nieświadomości i hołdowali błędnym przekonaniom; aż w końcu cały ich „romans” z pruderią Kościoła wydał nader cierpkie owoce. Już wkrótce za to wszystko odpokutować miała najstarsza z trzech sióstr - 9 - letnia Grażynka.

Dziewczynka była grzeczna i niezwykle posłuszna; zresztą to posłuszeństwo dość często było egzekwowane przez rodziców solidnym laniem, jak przystało na prawowierną rodzinę katolicką. Grażynki na prawdę nie trzeba było bić. Pokorę i uległość „wysssała” już chyba wraz z mlekiem matki. Była poważna i bardzo odpowiedzialna jak na swój wiek, co często można zaobserwować u najstarszych dzieci, zwłaszcza w większych gromadkach, gdzie starsze opiekują się młodszymi - „matkują” im i „ojcuja”. U Grażynki wyjątkowo wczesna dojrzałość duchowa i emocjonalna szła w parze z niezwykle wczesnym dojrzewaniem fizycznym. Była po prostu nad wiek wybujałe rozwinięta - miała jędrne, wyrosnięte ciało; śliczną buzię i czarne jak u cyganczki włoski.

Grażynka uwielbiała wizyty w kościele. Był on dla niej oazą ciszy, spokoju i wytchnienia po utarczkach z młodszym rodzeństwem, a zwłaszcza bardzo wybuchowym i apodyktycznym ojcem. Sama świątynia napawała lekiem, a jednocześnie oczarowywała przepychem i tajemniczością. Jej ogrom - wysokość, przestrzeń - oszałamiał małe dziecko, wychowywane w jednym pokoiku z trojgiem rodzeństwa. Chodzenie na Msze, nabożeństwa i wszelkie możliwe uroczystości, mimo iż narzucone przez rodziców (a może właśnie dlatego) było czymś tak

oczywistym, jak jedzenie chleba albo odrabianie lekcji. Była to jednocześnie jedna z niewielu radości dorastającej dziewczynki, której w dodatku nigdy nie odmawiali rodzice. Grażynka od najmłodszych lat należała do przyparafialnej grupki „berbeciów” pod nazwą „Dzieci Maryi” - sypała kwiatki na procesjach, śpiewała w chórkach, mówiła wierszyki na imieniny i rocznice święceń proboszcza itp. Małe aniołki były faworyzowane przez dwóch duchownych pracujących w parafii, a zwłaszcza przez młodszego - wikariusza, księdza Zenona, który patronował gromadce „Dzieci”; poza tym przygotowywał 9 - cio łatki do I Komunii Świętej. Grażynka wyróżniała się w tej grupie nie tylko wzrostem (była najbardziej wyrosnięta), ale także pilnością w nauce katechizmu oraz pięknym głosem.

W tym właśnie miejscu zaczyna się pierwszy akt dramatu dziewczynki, dziś ponad czterdziestoletniej kobiety. Ksiądz wikariusz bardzo upodobał sobie grzeczne i śliczne dziecko, które na dodatek robiło wrażenie wyjątkowo pokornego, wręcz bezwolnego - zwłaszcza w obecności księdza. Brało się to stąd, iż Grażynka patrzyła w każdego kapłana niczym w święty obrazek na ścianie; tak wychowali ją rodzice. Wikary nie mógł się oprzeć pokusie - podczas katechezy brał ją często na kolana, głaskał po główce i gołych nóżkach. Prawdopodobnie wybrał ją, gdyż była najlepiej zbudowana jak na swój wiek i chciał sprawdzić jak rozwija się młoda dziewczynka. Już wówczas, w salce katechetycznej, ręka wikarego gładziła okolice jej intymnych miejsc tak, aby nie zauważyły tego inne dzieci. Tak było do I Komunii Świętej, którą Grażynka przeżyła niezwykle głęboko; jednak spotkania przy kościele i zajęcia na katechezie trwały nadal.

Młody duchowny nie był najwyraźniej z gatunku tych, którzy poprzestają na pobudzaniu własnej wyobraźni i czczym rozbudzaniu zmysłów. Pod każdym możliwym pretekstem zaczął po lekcjach religii zabierać Grażynkę do swojego pokoju na plebanię. Z premedytacją wykorzystał uległość i zaufanie dziecka. Czerwony z podniecenia obmacywał ją i pieścił w coraz bardziej wyrafinowany sposób. Ona - oszołomiona, zastraszona - czuła się bardzo dziwnie i niezręcznie, ale nie śmiała protestować, gdyż uważała, iż ...tak musi być - skoro robi to ksiądz. Tłumaczył jej gorączkowo i w pośpiechu, że „tak się postępuje, jak się kogoś bardzo lubi i szanuje”. Dziewczynka była bezwolna. Mężczyzna rozebrał się do naga; pokazywał dokładnie swoje intymne części ciała, kazał się dotykać i całować. Następnie to samo robił z Grażynką. Wówczas to po raz pierwszy odważyła się na nieśmiały opór, ale on już na to nie zważał. Kiedy podniecenie zaczęło przyprawiać

go niemal o drgawki, rozłożył szeroko jej nóżki i zaczął się na siłę w nią wdzierać. Wchodził w nią raz po raz, a kiedy kończył „był bardzo czerwony i bardzo szczęśliwy” - tak wspomina tę sytuację po latach jego ofiara - ofiara gwałtu katolickiego kapłana.

Jak nietrudno się domyśleć, 9 - cioletnia Grażynka czuła się podle po „uprawianiu miłości” z napalonym pedofilem. Była cała obolała i do głębi wstrząśnięta; biła się z myślami, nie wiedziała jak potraktować zachowanie księdza. Brzmiały jej w główce często powtarzane słowa rodziców: „Wszystko co robi ksiądz jest dobre!” Z drugiej jednak strony ci sami rodzice bardzo ostro reagowali kiedy widzieli u niej jakiegokolwiek zainteresowanie własną płcią; wystarczyło, aby spojrzała z ciekawością pod pieluchę młodszego braciszka albo podrapała się bezmyślnie po majteczkach.

Dziewczynka, choć bardzo chciała, wstydziła się opowiedzieć o wszystkim swojej mamie. O ojcu nawet nie pomyślała, gdyż ten traktował ją wyjątkowo zimno, np. w porównaniu z innymi dziećmi; gotów był od razu spuścić jej lanie, jak to często czynił przy byle okazji. Dopiero po czasie zrozumiała, iż prawdopodobnie nigdy nie czuł do niej nic więcej prócz niechęci - jej poczęcie przed laty zmusiło go do ślubu z mamą.

Grażynka poszła tam, gdzie w ciężkich chwilach kazano jej zawsze chodzić - poszła do swojej drugiej w życiu spowiedzi. Akurat spowiadał ksiądz z innego miasteczka. Bardzo oburzył się na ...nią; powiedział, że „...Nic się nie dzieje. Z takimi rzeczami nie przychodzi się do konfesjonału...!” Kapłan wypytał się jednak dokładnie, który ksiądz jej to zrobił.

Molestowanie i wymuszone stosunki z księdzem Zenonem powtarzały się. Dziewczynka stała się znerwicowana i zamknięta w sobie. Jej „partner” na początku ostrzegał, a później straszył ją, że jeśli powie komukolwiek o ich „tajemnicy” to rodzice i nikt inny nie będzie ją kochał. Wiedział jak podejść zagubione dziecko; była spragniona miłości - poniewierana przez ojca, jako najstarsza z rodzeństwa zawsze była trochę na uboczu. Ponad wszystko zależało jej na miłości mamy, a teraz usłyszała, że i ją może stracić. Ksiądz Zenon robił z nią co tylko chciał. Nie przestawała jednak rozpaczliwie myśleć, jak się z tego wyplątać. Pewnego dnia powiedziała odważnie rodzicom, iż „...nie będzie więcej chodziła do kościoła”. Zaczęły się krzyki i perswazje, a ojciec pod groźbą bicia zmusił ją do wyjawienia powodu takiego „bezczelnego bluźnierstwa”. Szlochając, opowiedziała jednak tylko o

tym, co miało miejsce na samym początku - o sadzaniu na kolanach i głaskaniu po udach. Bała się wyznać czego naprawdę doznała od (dobrze znanego rodzicom) duchownego. Powiedziała też, że z tego powodu czuje się bardzo źle w kościele i prosiła na wszystko, żeby jej tam nie posyłali. Rodzice nawet nie chcieli o tym słyszeć. „Ksiądz cię nigdy nie skrzywdzi. Nie ma w tym nic złego, że cię czasami przytuli i pogłaska; powinnaś się z tego cieszyć...!” - wykrzykiwali jej nad głową. Na drugi dzień miała iść do spowiedzi i wyspowiadać się z „...grzechu nieczystych myśli”. Cudem uniknęła bicia. Cóż miała robić? Chodziła dalej na religię i spotkania „Dzieci Maryi”; unikała tylko jak mogła księdza Zenona - chowała się nawet w zakamarkach świątyni, kiedy dzieci rozchodziły się do domów, a ona miała pójść do jego pokoju. Wikary jednak prawie zawsze ją odnajdywał.

W całym tym upokorzeniu i dramacie dziewczynka nie była do końca przekonana, czy ksiądz robi dobrze, czy źle - tak bardzo przesiąknęła mentalnością i agitacją najbliższych, Zenon obsypywał ją cukierkami, a raz nawet dał jej całą szklankę słodkiego wina, po którym dostała zawrotu głowy. Był dla niej miły, choć miał zawsze tylko jeden cel. Dziecko, oprócz nieustannych bólów krocza, dręczyły jednak ciągle skrupuły i wyrzuty sumienia.

Po mniej więcej półtora roku dramat został na jakiś czas przerwany, ponieważ rodzina Karamarów przeniosła się do Nysy w woj. opolskim, gdzie ojciec dostał nową, nieco lepszą pracę. Cała szóstka zamieszkała również w większym mieszkaniu. Grażynka wyrastała szybko na podlotka i powoli zapominała o największym koszmarze dzieciństwa, kiedy jej prześladowca pojawił się nagle pewnego dnia w domu rodziców. Okazało się, iż został przeniesiony na parafię nie opodal Nysy i (ku uciesze rodziców) będzie u nich stałym gościem. Jeszcze kilka razy udało mu się usidlić i wykorzystać dziewczynkę; kiedyś zrobił to pod nieobecność mamy (tato w tym czasie pracował) w ich własnym domu. Dwukrotnie nakłonił rodziców Grażynki, aby ta pojechała do niego, pomóc mu w robieniu dekoracji w kościele.

Wszystko skończyło się definitywnie, kiedy dziewczynka oznajmiła kategorycznie księdzu Zenonowi, że jeśli nie da jej spokoju powie o wszystkim rodzicom, a jeżeli i to nie poskutkuje, to także innym ludziom. Kapłan w końcu z niej zrezygnował. Grażynka nie miała wówczas jeszcze czternastu lat.

Druga odsłona „czarnego” dramatu w życiu, już wówczas młodej nastolatki, rozegrała się niespełna dwa lata później. Wpadła w oko jednemu z miejscowych księży, który prowadził parafialny chór. Była piękną, niemal w pełni rozwiniętą

dziewczyną, a przy tym przejawiała niespotykane zdolności muzyczne - doskonały słuch i piękny głos. Wkrótce okazało się także, iż potrafi bardzo szybko uczyć się gry na różnych instrumentach, ale do tego zainspirował ją już nowy wielbiciel. Namówił rodziców, aby mogła przychodzić najpierw na zajęcia chóru, a potem do niego na plebanię, gdzie on sam będzie ją uczył gry na fortepianie i organach. Grażynka rwała się do muzyki i muzykowania, odnalazła w tym wielką radość i cel swojego młodego życia. Ten zapal przyćmił skutecznie jej czujność, choć miała już wówczas powody, aby być niezwykle ostrożną w osobistych kontaktach z księżmi. Nie wzbudziło jej podejrzeń nawet to, że podczas kilku pierwszych lekcji towarzyszyła im nieznana kobieta, którą jej nauczyciel traktował bardzo swobodnie i przyjacielsko. Kolejne nauki miały już jednoznaczną wymowę. Ksiądz, będący już w sile wieku, zaczął „oswajać” swoją piętnastoletnią uczennicę z seksem i zachowaniami seksualnymi. Podczas gdy ona ćwiczyła zadany utwór, on tymczasem dwa metry od niej, na łóżku również „ćwiczył” ze swoją kochanką. Robili to zawsze przy zamkniętych drzwiach, żeby dziewczyna nie mogła uciec. Tak, jak w pierwszym przypadku, duchowny znał doskonale rodzinę Grażynki oraz wychowanie jakie otrzymała. Wiedział dobrze, iż wpojono jej bezgraniczną ufność, pokorę i szacunek wobec księży. Co prawda zgorszona dziewczyna mogła opowiedzieć wszystko gdyby tylko chciała, ale komu by wówczas uwierzono - smarkuli z VIII klasy czy jemu, statecznemu kapłanowi? Gra była więc warta zachodu. Mógł „wychować” sobie nastoletnią nałożnicę, a może chodziło mu o wciągnięcie jej z czasem do wspólnych zabaw z kochanką? Trudno powiedzieć, w każdym razie edukacja Grażynki przebiegała dwutorowo. Ona sama na początku starała się ignorować namiętą parę i skupiać całą uwagę na grze. Czyniła w niej autentycznie zdumiewające postępy.

Zacząła nawet powoli przyzwyczajać się do okoliczności i atmosfery, w jakiej odbywały się lekcje. Z niemałym zdziwieniem spostrzegła więc pewnego dnia, że jest sama ze swoim nauczycielem. Ten, ni mniej, ni więcej, tylko oznajmił na samym początku: „...Dzisiaj będziesz się uczyła gry na flecie” i ...obnażył przed nią swoje genitalia. Chciał ją nakłonić do miłości francuskiej, a gdy się nie godziła zagroził, że powie jej rodzicom o ...zaniechaniu przez nią lekcji. W tym czasie rodzice Grażynki byli wniebowzięci jej postępami w grze na instrumentach i „dozgonnie” wdzięczni kapłanowi, który „zaofiarował” się ją edukować. Z tym jej niekwestionowanym talentem wiązali nawet jakieś plany na lepszą przyszłość, również dla siebie. Po wielu prośbach, groźbach i perswazjach ze strony starego

sutannowego świntucha, dziewczynka uległa. Kiedy było po wszystkim on, ośmielony stosunkowo łatwym łupem, zaczął pospiesznie zdzierać z niej ubranie i tym razem - już zupełnie wbrew jej woli - bestialsko ją zgwałcił. Na szczęście, a może raczej niestety, na ciele Grażynki

- poza intymnymi miejscami - nie było śladów przemocy. Jej wykręcone ręce, masa dorosłego mężczyzny, a przede wszystkim jego status pól - boga wystarczyły, aby zniewolić zastraszone dziecko.

Pobiegła z płaczem do domu. Było jej już wszystko jedno. Wykrzyczała zdezorientowanym rodzicom, że już więcej nie będzie chodziła ani na żadne lekcje, ani nawet do kościoła. „Zgwałcił mnie ksiądz! Słyszycie! KSIAAĄAĄADZ!!!” - krzyczała na całe gardło. Odpowiedzią były najsilniejsze policzki jakie kiedykolwiek otrzymała

- i to w dodatku od matki. Ani ona, ani ojciec nie uwierzyli córce. Uważali, że: albo obrzydł jej kościół, co byłoby jawnym dowodem opętania przez szatana, albo też „z nygustwa nie chce jej się grać”. Obydwa powody były najzupełniej wystarczające, by dziewczyna

- po raz drugi tego dnia; tym razem przez własnych rodziców
- została sponiewierana, a przy okazji pobita i obsypana najgorszymi wyzwiskami - „...Co ci się pierdoli w tym głupim łbie, co ci się pierdoli!?” - wykrzykiwał ojciec. „...Masz dziwko talent to się ucz! Możesz być chlubą całej rodziny! Co ci zrobił ten wspaniały ksiądz, że tak go szkalujesz! Masz chodzić na lekcje, bo jak nie - to naprawdę skończysz na ulicy, ty mała diabolic!!!”

Dziewczyna jednak zacięła się w sobie. Postanowiła nigdy więcej nie ulec księdzu, który tak „namiętnie” uczył ją grać na „różnych instrumentach”. Nie poszła na kolejną lekcję, a kiedy przypadkiem spotkała stęsknionego kapłana - na jego zaproszenie odpowiedziała zdecydowanie: „Ja ze spermą na nutach grała nie będę!” Duszpasterz prawdopodobnie przestraszył się hardej owieczki i dał za wygraną. Grażyna kontynuowała później naukę gry na prawdziwych instrumentach w szkole muzycznej, choć paradoksalnie uważa do dziś, że najwięcej nauczyły ją lekcje u księdza...

Wydawać by się mogło, że to już koniec dramatu dziecka, dziewczyny, wreszcie młodej kobiety, która przeszła już tak wiele upokorzeń i krzywd ze strony, z której się tego najmniej spodziewała. Przecież Kościół miał być dla niej ostoją szczęścia i radości; ukojeniem w najgorszych chwilach życia. A tymczasem kapłani

tego Kościoła, w których wierzyła chyba nawet bardziej niż w samego Jezusa (bo oni byli Jego widzialnymi znakami), ci kapłani w najohydniejszy sposób zdeptali jej najświętsze ideały. Jej psychika, sfera uczuć i wiara w drugiego człowieka zostały na trwałe zwichnięte i podkopane.

Minęło kilka lat. Grażyna zaczynała się powoli usamodzielniać. Po dwóch głębokich ranach, których doznała, postanowiła sobie solennie, że będzie żyła życiem „normalnej dziewczyny” - z dala od obłudnego Kościoła i niewyżytych kapłanów, nawet wbrew rodzicom. Nie było to jednak takie proste. Jeśli chciała mieszkać z nimi pod jednym dachem musiała przynajmniej chodzić na lekcje religii, Msze Święte w niedziele i święta, a czasem nawet pomagać matce w sprzątaniu i dekorowaniu świątyni kwiatami. Czas szybko mijał dziewczynie na wytężonej, pilnej nauce i jej życiowej pasji - muzykowaniu. Kilku chłopców, którzy „wystartowali” do pięknej „laski”, dostało już na wstępie bezapelacyjne „kosze”. Grażyna nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, że może kogoś pokochać, obdarzyć zaufaniem; a już na pewno nie widziała siebie dotykającą czy dotykana przez jakiegokolwiek mężczyznę. Bała się nawet myśleć o tym. Czasami jednak, widząc swoje zakochane koleżanki, mimo woli brała to pod uwagę, ale takie myśli były jej wstrętne.

Przyszła matura i nadzieja na realizację kolejnego wielkiego pragnienia, które kiełkowało w niej od paru lat. Ambitna i zdolna dziewczyna postanowiła zostać lekarką. Co więcej, zdała celująco wszystkie egzaminy na wyższą uczelnię medyczną i otrzymała indeks. Kiedy wydawało się, że wreszcie spełni się jedno z jej marzeń i zacznie żyć tak, jak chce - na jej drodze po raz kolejny stanęli zacofani, apodyktyczni rodzice. Kategoriecznie zażądali, aby poszła na którąś z uczelni katolickich. Uważali, iż skoro dostała się na medycynę, to jest na tyle zdolna, aby „wystartować” na KUL lub ATK w Warszawie i ukończyć katolicki uniwersytet, co było szczytem ich marzeń. Nawiasem mówiąc dobrze, że nie wypchnęli ją na siłę do zakonu. Dziewczyna nie miała wyboru - szantażem było wstrzymanie wszelkiej pomocy finansowej, gdyby - „przyśniło jej się iść na lekarkę...”. Wbrew sobie, z wielkim bólem zmuszona była oddać indeks, chociaż nie wyobrażała sobie i do dzisiaj nie wyobraża innej pracy dla siebie, jak tylko praca lekarza. Zdała pomyślnie na katolicką uczelnię i wkrótce, realizując marzenia rodziców, została katolicką studentką. Jej losy ponownie zostały związane z kręgiem ludzi Kościoła, choć na pewno ona sama nie sądziła wówczas, iż będzie to związanie tak silne i nieodwołalne - determinujące całe jej dalsze życie.

Jako studentka nawiązała szereg znajomości z rówieśnikami, wśród których był także jeden chłopiec. Byli przyjaciółmi i nic poza tym. Ważne było to, że Grażyna dzięki Tomkowi zaczynała bardzo powoli odzyskiwać zaufanie do płci przeciwnej, a dzięki temu również odnajdywać się w nowym środowisku. Tomek bywał dość częstym gościem u niej w domu, jako że mieszkał niedaleko.

Pewnego dnia chłopak przyprowadził ze sobą kolegę, który przedstawił się jako Antek. Był to bardzo wysoki i dość przystojny młody mężczyzna, na wygląd o kilka lat starszy od Grażyny. Dziewczynie nowy znajomy właściwie od razu przypadł do gustu. W czasie pierwszego spotkania zachowywał się bardzo taktownie; był ujmująco grzeczny i miły. Patrzył tylko może zbyt pożądlwym wzrokiem w jej duże, brązowe oczy. Po jakimś czasie Antek przyjechał sam z Opolą, gdzie - jak mówił - pracował. Jego wizyty stawały się coraz częstsze. Zaczęli ze sobą oficjalnie chodzić, a Grażyna poczuła, że chyba po raz pierwszy w życiu kogoś pokochała. Antek, wyraźnie powściągliwy

- gdy dziewczyna sprowadzała rozmowy na jego temat - zapewniał gorąco o swojej miłości i bezgranicznym oddaniu. Był bardzo zazdrosny i podejrzliwy - „...to z miłości...” - mawiał. Z jakiegoś powodu nie mógł spotykać się z nią w niedziele, ale zaklinał za to w licznych listach: „Do Ciebie Kochanie mógłbym biec z Opolą po torach, żeby Cię móc znów uwielbiać!” Uwielbiał bawić się jej długimi, gęstymi włosami i szeptać namiętnie do ucha: „...Moja czarna madonno...” Chodzili ze sobą przez parę miesięcy i - jak to zwykle bywa

- kiedy „zmęczyło” ich chodzenie, to się w końcu położyli. Pani Grażyna dziś, z perspektywy dwudziestu lat, w ciekawy sposób motywuje swoją pierwszą, dobrowolną decyzję, o swoim pierwszym, dobrowolnym razie:

„Antek bardzo dążył do współżycia. Ja chyba chciałam spróbować, jak to jest z człowiekiem świeckim. To była zwykła ciekawość, chociaż go kochałam. Chciałam zobaczyć, jak on będzie mnie traktował. Miałam wielką nadzieję, że inaczej niż ci ludzie w sutannach...”

No i stało się - po około roku znajomości zorientowała się, iż zaszła w ciążę. Taka „wpadka” - jak to zwykle bywa - jest dużym ciosem dla młodej dziewczyny, która w tym przypadku: zaczęła studia (była na początku drugiego roku); nie wiedziała co to stabilizacja życiowa i własne pieniądze, była „wychowanką” koła różańcowego (dosłownie i w przenośni); miała nawiedzoną matkę i ojca, który mógłby zrobić wielką karierę, gdyby np. wróciły nagle czasy Świętej Inkwizycji. Nie

wspomnę już o jej dotychczasowych doświadczeniach z mężczyznami, sprowadzających się do przedmiotowego traktowania, upodlenia i zbrukania jej niewinności, zanim jeszcze zdążyła zakwitnąć. Na szczęście Antek był normalnym chłopakiem, a do tego przystojnym, inteligentnym i - co najważniejsze - kochał ją do szaleństwa. W takiej sytuacji dziewczyna mogła liczyć tylko na niego, że okaże się odpowiedzialny i zatroszczy się o ich wspólną przyszłość, nie mówiąc już o dziecku, które spłodził. Nie miała najmniejszych wątpliwości - jej Antoś stanie na wysokości zadania - założą cudowną, kochającą się rodzinę; będą „żyli długo i szczęśliwie!” Czyż nie o tym marzy każda dziewczyna? W przypadku Grażyny to marzenie miało się właśnie spełnić. Tylko przez dłuższą chwilę poddała się refleksji - że to już teraz (nie miała jeszcze 21 lat), kiedy tak bardzo chciała się uczyć i grać...grać...grać! Szybko jednak nabrała otuchy, obiecując sobie solennie, iż za wszelką cenę musi pogodzić naukę z obowiązkami przyszłej żony i matki. Czekwała z niecierpliwością na przyjazd ukochanego Antosia.

„Kochanie, jestem w ciąży!” - oznajmiła mu tryumfalnie, zaraz po czułym przywitaniu. Antka w jednej chwili zamurowało; opadły mu ręce, a ona przez moment zawisała mu bezwładnie na szyi. „A ja się nie mogę z tobą ożenić” - padły zimne i zdecydowane słowa - „...to niemożliwe, słyszysz: NIEMOŻLIWE, NIGDY!” Jego głos był inny, stanowczy i nieznoszący sprzeciwu. Pierwszy raz mówił do niej w taki sposób; nigdy na nią nie krzyczał. Schował twarz w rękach i usiadł na krześle. „...Ale dlaczego Antoś, przecież się kochamy. Powiedz spokojnie - dlaczego? Masz żonę, dzieci, rodzinę? Wytłumacz mi to, a w ogóle dlaczego mi wcześniej nic nie powiedziałaś?” Chłopak, nie wstając się z krzesła, wycedził przez zaciśnięte zęby: „...Nie mogę się z tobą ożenić, bo jestem... księdzem...”

Grażynę dosłownie ścięło z nóg. Osunęła się na tapczan i wybuchnęła salwą śmiechu, która przerodziła się w histeryczny chichot. Antek przez cały czas siedział pochylony, z twarzą w rękach; ani razu nie podnosząc na nią wzroku. Dziewczyna nagle spoważniała i zaraz potem zaczęła płakać. Ogarnęła ją czarna rozpacz. „...I co ja teraz zrobię... i co ja teraz zrobię...?” - powtarzała nieprzytomnie. Ksiądz Antoni okazał się jednak „dżentelmenem” w każdym calu. Wstał z krzesła, sięgnął do kieszeni, ostentacyjnie odliczył większy plik pieniędzy i rzucił je na stół. „...Ty wiesz, co masz z tym zrobić...” - powiedział cierpko. Rzucona kwota stanowiła dokładnie równowartość stawki za prywatny zabieg usunięcia ciąży. Wyglądało to dość dziwnie; tak, jakby Antoni dokładnie wiedział ile „to” kosztuje i nosił przy sobie większą sumę

na podobną okoliczność. Dziewczyna nagle oprzytomniała; jak w szoku zaczęła wyrzucać z siebie:

„...Coś ty Antek... proszę księdz... no nie..., ja nie mogę tego zrobić! To jest niezgodne z moją wiarą, z moim wychowaniem. Jest już prawdopodobnie za późno, ale nawet gdyby nie było, to i tak nigdy nie zabiję dziecka. Ja je urodzę, a ty masz się zastanowić - co z tym zrobić! Jak ty, będąc księdzem, możesz coś takiego mówić!? Przecież żadne z nas nigdy się nie zabezpieczało. Musiałeś brać pod uwagę, że coś takiego się stanie. To jest twoje dziecko! Noszę je pod sercem! Jak można w taki sposób postąpić z własnym dzieckiem!!!???”

Antoni popatrzył na nią zimno i powtórzył z naciskiem: „...TY WIESZ, CO MASZ Z TYM ZROBIĆ...!” Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Grażynka po raz kolejny w swoim życiu została sama ze swoim bólem. „Czy to dzieje się naprawdę?” - pytała samą siebie - „...przecież to jakaś klątwa, przekleństwo, fatum; a ...może po prostu nie mam szczęścia do świeckich mężczyzn... może to moje przeznaczenie...” Była kompletnie zrezygnowana. Wzięła pieniądze ze stołu i poszła na zakupy. Nie często miała taką okazję; to, co dawali jej rodzice starczało ledwie na pociąg i chleb. Nakupowała sobie mnóstwo owoców i słodczy. „Powinnam się teraz dobrze odżywiać” - pomyślała. Płakała i... jadła, jadła, jadła i... płakała.

Dla młodej dziewczyny, której dwóch księży zabrało dzieciństwo, zaczęło się dorosłe życie, z „księżowskim bękartem”. Cóż jednak z tego, że była dorosła, skoro pozostawała na łasce i utrzymaniu apodyktycznych rodziców. Nie chciała nawet myśleć o tym, jak zareagują na jej kolejną „rewelację”. Wątpiła nawet czy uwierzą kto jest ojcem jej dziecka. Bardzo bała się tej konfrontacji, ale do kogo miała pójść? Ksiądz Antoni, gdy dowiedział się, że „nie usunęła” - wpadł we wściekłość i furię, o jaką go nigdy nie podejrzewała. „...Nie chcę nigdy widzieć tego dziecka! Rozumiesz! NIGDY!!!”

Grażynie nie pozostało nic innego, jak pójść ze swoim bólem do matki. Nie muszę chyba wspominać, jak w rodzinie aż „do bólu” katolickiej traktuje się takie „rewelacje”. Matka wysłuchiwała ją jednak względnie spokojnie. Tylko z oczu płynęły jej łzy. Uwierzyła córce. Okazało się, iż największy dla niej problem stanowiła „zszargana opinia” katolickiej rodziny. „...Co my teraz wszyscy zrobimy; gdzie pójdziemy. Jak mam się ludziom na oczy pokazać? Taki wstyd! Jak ty wyjdiesz na ulicę? My się musimy chyba wszyscy wyprowadzić...!” - mówiła, łkając. Drugim

problemem był ojciec. „...On cię chyba dziecko zabije...!” - rozpaczła już mama. Dziewczyna cały czas milczała. Nie szukała współczucia, a tym bardziej usprawiedliwienia; chciała tylko konkretnej pomocy. Pragnęła usłyszeć tylko jedno: że może na kogoś liczyć, że ktoś jej pomoże, że nie jest sama. Rozmawiały tak aż do przyjscia ojca z pracy. Już wcześniej zdecydowały, że mu powiedzą, skoro i tak miał się prędzej czy później dowiedzieć. Mama Grażyny nie mogła jej sama pomóc, gdyż nie zarabiała i nie miała swoich pieniędzy. Głową rodziny był ojciec; tylko on mógł cokolwiek zrobić dla upadłej córki, a przede wszystkim mógł pogodzić się z jej upadkiem. Było to bardzo wątliwe, ale przecież cuda się zdarzały. Człowiek ten mienił się być katolikiem z krwi i kości, a więc nie obce powinny być mu takie postawy, jak: współczucie, miłosierdzie, przebaczenie. Podtrzymywał księdza idącego z monstrancją, nosił nad nim baldachim; był Chrześcijaninem - naśladowcą Chrystusa, Tego Który przygarniał i przebaczał takim jak Grażyna, a ona... była przecież jego córką. Mężczyzna wysłuchał nowiny z napiętą twarzą, która stopniowo stawała się coraz bardziej czerwona. Żyły wystąpiły mu na czoło. Wstał wolno z krzesła, popatrzył na córkę i powiedział krótko: „Spierdalaj ty suko i nigdy więcej nie waz się przychodzić do tego domu. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć!”

Tak zakończyła się dla Grażyny przeprawa z rodzicami, a przede wszystkim z ojcem, którego - była o tym przekonana - straciła na zawsze. Pozbyła się przynajmniej reszty złudzeń i wiedziała, że jest na całym świecie zupełnie sama, nie licząc dziecka, które rosło pod jej sercem. Trudno opisać stan, w jakim się wówczas znajdowała. Ona sama tak to wspomina po latach:

„...Wyszłam z domu na ulicę, jak ten pies. Wokół mnie kundle latały; takie piękne, wypasione! Mój tatuś mnie z domu wyrzucił, a nikogo więcej nie miałam. Nie było przy mnie tego „kochanego”, który mnie podziwiał, uwielbiał, na kolana klękał; po torach chciał skurwysyn do mnie iść. I tak lazałam, a wokół mnie przepiękne pieski i kotki... Szczęśliwe, uśmiechnięte mamusie łązą z tymi wózkami... i pomyślałam sobie - a ty, dziewczyno - ty gnoju, ty parszywy gnoju, przecież ciebie nawet zdeptać nikt nie będzie chciał. Nie wiedziałam sama gdzie mam iść z tym brzuchem...i tak lazałam...”

Dogoniła ją matka. Wbrew mężowi wybiegła za nią z torbą, do której na pędzie wrzuciła piętękę chleba i kawałek kiełbasy. Rzuciły się sobie na szyje i płakały obydwie na środku chodnika. Od tamtej pory, aż do samej śmierci, mama była najlepszą przyjaciółką swojej najstarszej córki. Dalej poszły już razem. Grażyna była

bezdonna. O powrocie do domu nie było mowy; ojciec nie puszczał słów na wiatr. Do dnia dzisiejszego nie chce widzieć Grażyny, choć minęły już ponad dwadzieścia trzy lata. Nie było innego wyjścia, jak tylko szukać dla dziewczyny jakiegoś kąta. Ona sama wspomina, że chodziły obydwie od domu do domu, aby wynająć pokój - „...zupełnie jak Święty Józef z brzemioną Maryją”. Pod wieczór znalazły w końcu mały pokoik u jakiegoś lekarza. Okazał się on później bardzo dobrym człowiekiem. Dał im wówczas jakiś koc, którym Grażyna mogła się przykryć w nocy, gdyż z mieszkania nie zdążyła zabrać dosłownie nic. W pokoiku nie było jednak żadnych mebli, tylko stary dywan na podłodze, służący od tej pory dziewczynie jako łóżko. Po kilku dniach matka przyniosła jej jakiś garnek, szklankę i „parę groszy” na przeżycie. Przychodziła tak najwyżej co drugi dzień (miała jeszcze troje dzieci), dzieląc się z córką swoim niedostatkiem i tym, co mogła zaoszczędzić lub niepostrzeżenie wynieść z domu.

Można wyobrazić sobie jak czuła się dziewczyna, leżąc całymi dniami na podłodze i rozważając w samotności swoje położenie. „...Byłam jak zhańbiona, wykopana z domu suka. Nie chciałam wychodzić na dwór, do ludzi. Zazdrościłam im uśmiechów, jedzenia, mieszkań, łóżek w których spali. Czułam się jak trędowata, jak ostatnia ulicznica” - wspomina po latach.

Miesiąc przed porodem Grażyna zaczęła nagle odczuwać bóle podbrzusza. Matka zaprowadziła ją do lekarza, gdzie okazało się, że istnieje obawa zatrucia ciążowego i konieczna jest hospitalizacja. Pierwsze tygodnie w szpitalu były dla dziewczyny pobyt w raj - miękkie łóżko, regularne posiłki, opieka życzliwych ludzi. Wszystko zaczęło się psuć, kiedy trzeba było podać dane ojca dziecka. Grażyna milczała jak grób tak, jak kazano jej milczeć na temat upadłych księży, od dziewiątego roku życia. Personel - lekarze, pielęgniarki, położne; wszyscy, łącznie z kobietami na sali, traktowali ją od tej pory pobłażliwie i z politowaniem. Poza matką nikt jej nigdy, przez cały miesiąc nie odwiedził - było to aż nazbyt wymowne. Grażyna widziała w oczach tych wszystkich ludzi wypisane wiele określeń jednego słowa «kurwa». Nadszedł wreszcie dzień porodu z wielkimi komplikacjami, które zakończyły się cięciem cesarskim i narodzinami ślicznego chłopczyka - Rafała. Nieprzytomną matkę z trudem odratowano po narkozie. Przez długi czas czuła się bardzo źle i była bardzo słaba. Nie podnosił jej - ani na ciele, ani na duchu - nawet widok dziecka, które „nie wiadomo po co przyszło na świat”; tak wtedy o nim myślała w chwilach szczególnie głębokiej depresji. To dziecko było skalane,

znenawidzone i przeklęte od chwili samego poczęcia. Księżowskie dziecko - jedyne, którego nikt nie przyszedł oglądać, podziwiać. Wszystkie matki miały odwiedziny mężów, narzeczonych, rodziców, bliskich i dalszych znajomych; do Grażyny nie przyszedł nikt. Przeżywała to bardzo boleśnie. Jej rodzice wyjechali w tym czasie na wczasy, gdyż ojciec zdecydował, że to za wielkie upokorzenie - przebywać w jednym mieście, kiedy ta „ulicznica” rodzi. A „ulicznica” z pociętym brzuchem leżała, modliła się i myślała czy znajdzie się ktoś, kto pomoże jej nieść małego Rafałka, ważącego (bagatela!) 5 kg. Zlitowała się nad nią siostra, która wbrew zakazowi ojca przyszła do szpitala akurat wtedy, kiedy można już było odebrać dziecko. Zaniosiła je do pokoiku Grażyny, bo ona sama nie miała na to dość sił. Matka została sama ze swoim dzieckiem w upokorzeniu i ubóstwie, które można było tylko porównać z ubóstwem betlejemskiej stajenki.

Po przyjeździe z przymusowych wczasów, zaczęła odwiedzać ją mama. Jak mogła i na ile mogła pomagała córce, a przede wszystkim podtrzymywała ją na duchu, bo pieniędzy nie przynosiła prawie wcale. Dziewczyna była notorycznie niedożywiona, a często nawet głodna. Karmiła się nadzieją, że jakoś się z tego wszystkiego podźwignie - wróci na uczelnię i zacznie normalnie i godnie żyć. Ta złudna nadzieja, co do której nie było żadnych przesłanek, trzymała ją jakoś przy zdrowych zmysłach i dawała względną równowagę psychiczną. Grażyna wiedziała, iż popełniła życiowy błąd, za który musi odpokutować. Tak, jak wcześniej nie brała pod uwagę zabicia dziecka, tak i teraz nie myślała nawet o oddaniu go do przytułku czy rodziny zastępczej. Kochała to odrzucone i wzgardzone przez własnego ojca maleństwo tym bardziej, gdyż wiedziała, że ono ma tylko ją. Bardzo dużo i często modliła się żarliwie w swoim pokoiku do Boga o przebaczenie i poprawę losu. Brakowało jej jednak jednego - spowiedzi. Dla niej, wyrosłej na zasadach katolickich, nie było innego miejsca na pojednanie z Bogiem, jak tylko konfesjonał. Pragnęła wyrzucić z siebie grzech nieczystości, który popełniła; gotowa też była przyjąć każdą, nawet najtrudniejszą pokutę - byleby tylko Bóg nie karał jej i to wyklęte, nieślubne, księżowskie dziecko.

Poprosiła matkę, żeby ta została z małym na godzinę, a sama po raz pierwszy wybrała się na miasto. Chyłkiem przemykała się bocznymi chodnikami, unikając na wszelki wypadek znajomych twarzy i niezręcznych pytań w stylu: „co słychać”.

Szybko znalazła się na plebanii przy kościele i zadzwoniła do pierwszego z brzegu księdza. Z wielkimi oporami zgodził się zejść i wyspowiadać dziewczynę;

czekała za nim dobre kilkanaście minut. Zręcząc coś o codziennej Mszy i związanej z nią okazji do spowiedzi, wszedł w końcu do konfesjonału. Grażyna opowiedziała szczerze i do końca o wszystkim, nie wybielając i nie potępiając nikogo; zrelacjonowała po prostu fakty. Kapłan nie uwierzył jej albo grał tylko wielce zgorszonego jej postawą. Całą winę zrzucił na nią. Potraktował ją jak dziwkę, która ...usidliła słabego człowieka i wlaźła mu na siłę do łóżka. „...Uwiodłaś świętego kapłana; zniszczyłaś mu życie; zbrukałaś jego święte powołanie i próbowałaś go od niego odwieść!” - grzmiał duchowny. „Jawnogrzesznica” płakała, a alter Christus dalej walił w nią „kamieniami...” Mówił o karze ognia piekielnego dla gorszyieli i czarnych owiec w owczarni Jezusa. Dał jej w końcu rozgrzeszenie, uzależniając je od zachowania przez nią absolutnej tajemnicy co do zaistniałych faktów i przedmiotu spowiedzi.

Po raz kolejny w życiu dziewczyna została zmuszona do milczenia. Zresztą i tak by nikomu o niczym nie powiedziała. Ciągłe - niczym małe dziecko - wierzyła w nieomyślność i bezkarność księży. Co więcej, zahukana i poniżona, niemal uwierzyła we własną winę, chociaż fakty były zupełnie inne - to ona i jej nie chciane dziecko byli ofiarami, a nie sprawcami. Teraz patrzy już na tę sprawę nieco inaczej:

„...Winą obarczano tylko i wyłącznie mnie; wszyscy - może z wyjątkiem mojej matki. Dlaczego ja byłam winna!? Czy dlatego, że nie zabiłam dziecka!? Dlatego jestem winna po dziś dzień!? No to może zmienmy naukę Kościoła!? Powiedzmy, że dzieci trzeba zabijać! Nie walczmy z aborcją! Nie róbmy nic wbrew sobie! Tak ma być...!??”

Po spowiedzi była zdruzgotana, ale na swój sposób szczęśliwa z rozgrzeszenia, które otrzymała. Przyrzekła sobie solennie, iż nigdy nikomu nie zdradzi z kim ma dziecko i liczyła, że wówczas Pan Bóg jej wybaczy. Tego przyrzeczenia dochowała przez ponad 20 lat, aż do spotkania ze mną. Wiedziała, że matka będzie również milczała jak grób, a rodzeństwo nie powie nic ze wstydu. Ojca już nie miała.

Tymczasem jednak do niej samej zaczęły docierać pogłoski - co i z kim zrobiła. Nikt nie znał personaliów „duchownego ojca”, ale w miasteczku aż huczało od plotek. Stało się to niedługo po tym, jak zaczęła wychodzić „na świat” pewna, że nikt nie zna jej tajemnicy. Wybiegała na krótko do sklepu z dzieckiem na rękę (nie miała za co kupić wózka), ale to wystarczyło, aby poczuć przenikliwy wzrok na swoich plecach, zobaczyć wymowne uśmieški i poruszenie wokół siebie, a czasem

usłyszeć nawet strzępy szeptów. Wiedziała, że wiedzą; potwierdziły to w końcu dwie napotkane koleżanki, siostra i matka. Najgorsze było źródło tej rewelacji - przekazywanej w 50 - cio tysięcznym mieście z ust do ust. Tym źródłem byli... księża. Grażyna dowiedziała się z czasem od wielu osób, w tym od jednego z samych kapłanów, że to właśnie wśród nich „wybuchła” fama o „...księżowskiej dziwce”. I tak już zdruzgotana do granic możliwości dziewczyna poczuła się jak zaszczute zwierze. Bała się już w ogóle wychodzić z pokoju, a niezbędne zakupy robiła jej matka. Tak wówczas, jak i dziś pani Grażyna jest święcie przekonana, że to upokorzenie i wszelkie dalsze szykany jakie ją spotykały - „zawdzięcza” księdzu, który najpierw grubiańsko potraktował ją w konfesjonale, a później ZDRADZIŁ NAJŚWIĘTSZĄ TAJEMNICĘ SPOWIEDZI. Prawdopodobnie podzielił się treścią Sakramentu ze swoimi kolegami - ostrzegając ich zapewne przed „...ladacznicą napaloną na księżowskie huje...” (takie m.in. określenie słyszała kiedyś Grażyna pod swoim adresem). Dalej wieść mogła wyjść poza plebanie np. przez gospodynię któregoś z księży, a one przejawiają często naturalną zdolność eholokacji i równie często korzystają później z tzw. poczty pantoflowej.

Wydawało się, iż wszystkie moce - ziemskie i niebieskie - sprzysięły się przeciw Grażynie i jej dziecku. Znikąd nie mogła spodziewać się żadnej pomocy ani ukojenia dla upodłonej duszy. Żyła z tego, co wyniosła z domu jej matka. Gdyby nie wyrozumiałość gospodarza, u którego wynajmowała pokój, już dawno wylądowałyby pod mostem. Należność za wynajem (1.300 zł - w 1976 r.) często litościwie odkładała „na potem”.

Wtedy zjawił się ON - pan i władca - kapłan katolicki, ksiądz Antoni Joniec, rodem z Opolszczyzny. Jakimś sposobem dowiedział się gdzie przebywa Grażyna z synkiem. Ona, gdy go ujrzała... ucieszyła się. Tak, widok tego drania, który zrobił jej dziecko i zostawił na pastwę losu i ludzkich języków; jego widok wywołał na jej twarzy - uśmiech. Przez ułamek sekundy trwała ta radość. Tyle wystarczyło, żeby w serce dziewczyny wstąpił promyczek nadziei - że może do niej wróci; że będą razem, że dziecko będzie miało ojca, a ona... męża. Antek - stuprocentowy samiec - bardzo szybko sprowadził ją na ziemię. Uśmiechnął się kpiąco i powiedział na przywitanie:

„...No i co, klepiesz biedę, cierpisz...to dobrze, bardzo dobrze. Jak nie usunęłaś to cierpisz...”

Grażyna nic się nie odezwała; zacięła się w sobie i milczała. Zdążyła się już uodpornić na słowa, które ranią i bołą gorzej niż wbijane w serce szpile. Ksiądz

Antoni tymczasem zaczął się rozbierać i nachalnie do niej przystawiać. Odepchnęła go ze wstrętem.

„...Gdzie byłeś kiedy prawie umierałam przed porodem; kiedy ojciec wyrzucił mnie z domu i nie miałam dokąd pójść i za co żyć!? Po co w ogóle przyjechałeś!?!”

Mężczyzna pomyślał przez chwilę, sięgnął do kieszeni i odliczył 1.700 złotych. „...Muszę cię w końcu zacząć utrzymywać...” - powiedział tonem plantatora do dopiero co kupionej niewolnicy. Kiedy kładł się na Grażynie, ona kombinowała tylko na co przeznaczy to 1.700 złotych... opłacenie zaległego czynszu, śpioszki dla dziecka, mleko, jedzenie... powtarzała w myślach, w rytm jego ruchów. „, ...Może starczy...” - zakończyła podsumowanie równo z jego orgazmem.

Scenariusz ich spotkań powtarzał się niemal dokładnie co jakiś czas - wymówki i kpiące spojrzenia na nią (na dziecko nigdy nie spojrzął); rzucane z pogardą pieniądze i seks. Antoni pozostał przy pierwotnej kwocie, którą dawał jej co miesiąc. Nigdy nie zwiększył sumy; nigdy też - nawet z okazji imienin czy 8 - go Marca - nie dostała od niego kwiatka, czekolady ani nawet ...dobrego słowa. Traktował ją jak dziwkę; ciągle wypominał jej, że urodziła dziecko i zagmatwała mu życie. Kiedy odebrał już to, co jego zdaniem słusznie mu się należało (w końcu dawał jakieś pieniądze), wciągał spodnie, ubierał się bez słowa i żegnał ją „...tym samym - zimnym spojrzeniem...” A te jego 1.700 złotych starczało na czynsz za mieszkanie i skromne wyżywienie. Gdyby nie okazjonalna pomoc matki i tak by jej brakło na pieluchy, ciuszki dla dziecka i opał na zimę.

Grażyna, choć czuła się pogardzana i upokarzana przez Antoniego, nie miała wyrzutów sumienia, że oddaje się za pieniądze. Wiedziała przecież doskonale dlaczego ją finansuje; stało się to jasne już za pierwszym razem. Dziewczyna zrobiła się na swój sposób zimna i wyrachowana - „...skoro i tak wszyscy mają mnie za księżowską kurwę, to dlaczego mam nią nie być; tym bardziej, że od tego chama naprawdę coś mi się należy...” - myślała sobie dziewczyna. W rzeczywistości (są to już tylko moje odczucia) ta postawa miała jednak swoje odniesienie w miłości do dziecka. Grażyna miała już za sobą piekło

- niczym pogryziona, głodna, wygnana przez swoje stado wilczyca ze swoim młodym. Wszystkie jej myśli i działania skupiły się na jednym: jak zapewnić sobie i małemu przetrwanie! Nie chodziło jej już o aprobatę ojca, o powrót do domu; nie marzyła nawet o miłości i małżeństwie, bo kto wzięłby „księżowską kurwę” na dodatek z dzieckiem. Nie dziwiła się, iż ludzie tak właśnie ją postrzegają. Po raz

pierwszy doświadczyła tego w szpitalu, kiedy nie przyznała się kto jest ojcem dziecka; wiadomo - tylko kurwa nie wie z kim ma dziecko! Na domiar złego - pewnego razu, kiedy szybkim krokiem szła z dzieckiem z zakupów, potrafił ją samochód. Chciała, jak zwykle, uciec prędko przed ludzkimi spojrzeniami i schronić się w swojej

- jakże skromnej - oazie ciszy i spokoju. Na szczęście dziecku nic się nie stało, ale ona była nieźle poturbowana. I tak, zamiast anonimowych, błyskawicznych zakupów - zrobiło się zbiegowisko ludzi patrzących z niedowierzaniem, jak wstaje pokrwawiona z ulicy, podnosi dziecko, które jej wypadło z rąk i ucieka w popłochu do parku. Jej syn jest dziś niemal pewien, że to jego ojciec wynajął kogoś, żeby „załatwić” za jednym zamachem jego i matkę. Wskazywał by na to fakt, iż kierowca oddalił się z miejsca wypadku, ale przecież ...”wypadki chodzą po ludziach”.

Minęła precudna wiosna, którą Grażyna mogła podziwiać przez małe okienko, wychodzące na podwórko budynku. Odetchnęła trochę po długiej chorobie Rafałka i planowała swoje nędzne życie. Lubiła opierać się łokciami o parapet okna i wystawiać twarz na ciepłe promienie słońca. W wolnych chwilach uczyła się z książek, które przyniosła jej z domu mama; wieczory spędzała przeważnie na modlitwie. Czasami miała święto - gospodarze zapraszali ją do siebie na jakiś lepszy film. Postanowiła, że kiedy minie lato, musi koniecznie wrócić na uczelnię. Nie wiedziała jeszcze jak to zrobi, ale jednego była pewna - nie podda się beznadziei i upodleniu, w jakim się znalazła. Odbije się od dna i zacznie normalnie żyć, bez niczyjej łaski i jałmużny! Mogła przecież założyć swojemu „dobroczyńcy” sprawę o przyznanie alimentów na dziecko; musiałby wówczas płacić co najmniej dwa razy tyle co płacił. Mogła też posłużyć się taką ewentualnością jak szantażem i wymusić na nim dużo większe kwoty. Wówczas miałyby szansę wyjechać z miasta i zacząć nowe życie, a nawet skończyć studia zaoczne. Niestety w środku była ciągle małą, dziewięcioletnią dziewczynką, której już wtedy wpojono, że księdzu wolno wszystko; księdza nie wolno skrzywdzić ani się mu sprzeciwić; a to, co robi, myśli lub powie ksiądz - jest zawsze dobre. Jej marzenia o lepszym życiu nie miały więc żadnych szans na powodzenie. Jeśli jeszcze tego wówczas nie rozumiała, karmiąc się nadziejami bez żadnych podstaw, to wkrótce miała się o tym przekonać.

Latem «PAN», jak go nazywa dziś pani Grażyna, pojechał „wielce zmęczony” na wczasy do swojej siostry, która mieszkała w NRD. Wrócił do kraju 25 sierpnia 1977 roku i tego samego dnia zjawił się u Grażyny. Oto, jak ona sama wspomina ten

dzień i to, co się wtedy wydarzyło:

„...On wtedy przyjechał z tego NRD napalony jak idiota. Pamiętam jak zrzucił zaraz po wejściu marynarkę, zdarł spodnie i po prostu, gdy byłam nachylona nad tym dzieckiem, on mnie złapał i wziął tak, jak mężczyzna bierze kobietę... ja nie miałam czasu na żadną reakcję. A nawet gdybym miała, to nie wiem czy bym powiedziała - słuchaj, nie rób mi tego. Na pewno bym powiedziała - słuchaj, mam dni płodne, nie rób mi tego, bo faktycznie miałam. Ale czy mogłam mu się zupełnie przeciwstawić, skoro byłam od niego zależna finansowo i nie miałam nic kompletnie? No... chyba nie. Kiedy mu później powiedziałam - słuchaj, ja mam dni płodne, a on do mnie - i co z tego! I się okazało - co z tego, po miesiącu - znowu byłam w ciąży! Jak mu to powiedziałam, gdy przyjechał z tymi pieniążkami zasranymi, położył mi na stół należność za Rafała, przysunął swoją twarz do mojej i krzyknął - I CO! Jak to co, znowu jestem w ciąży - odparłam. Wyciągnął wtedy, jak za pierwszym razem autentyczne 3.000 złotych, rzucił na stół i powiedział: ...I ty wiesz co masz z tym zrobić! Ja tego nie będę chował! Rozpłakałam się wtedy jak małe dziecko i powtarzałam przez łzy - nie zrobię tego..., nie zrobię...!”

Po wyjeździe Pana, Grażyna skontaktowała się jak mogła najszybciej z matką, a ta zadzwoniła do księdza Antoniego, żeby natychmiast przyjechał. Tak, jak obiecał, tak przyjechał dość szybko swoim samochodem. Matka długo z nim rozmawiała, najpierw przy córce, a później w cztery oczy. O dziwo! Antoni obiecał, że się... ożeni. Miał tylko sprzedać swój telewizor, meble, samochód i „zacząć nowe życie...” Jak się później okazało - grał tylko na zwłokę; zaskoczony nieoczekiwanym skomplikowaniem się sytuacji.

Kiedy pani Grażyna opowiadała mi o tym „przełomie” w postawie księdza Antoniego Jońca, zadałem jej pytanie - czy go jeszcze wówczas kochała? czy gotowa była dzielić z nim dalsze życie? Oto co mi odpowiedziała:

„...Ja, kochać... ja nie wiem. Być może bardzo chciałam, na pewno próbowałam. Być może zależało mi na tym, żebyśmy byli razem. Być może zależało mi na tym, żeby te dzieci miały ojca; żebym była normalnym członkiem społeczności. Nie chciałam chodzić ciągle przygarbiona i nasłuchiwać - z której strony, kto, co i gdzie mi zrobi czy powie, czy w jakiś sposób inny upokorzy...”

Drugi poród przebiegał z jeszcze większymi problemami niż pierwszy. Powodem było wrodzone zwężenie szyjki macicy. Miała okropne bóle. Termin porodu minął kilkanaście dni wcześniej, jednak lekarz ciągle czekał na normalne

objawy porodowe, których nie było. Dosłownie minuty brakowały do pęknięcia macicy i jajników; „cesarkę” zrobiono dosłownie w ostatniej chwili. Po wyciągnięciu zdrowej dziewczynki, kiedy Grażyna obudziła się z narkozy, usłyszała słowa doktora:

„To prawdziwy cud, ...nie mieliśmy nawet czasu spytać panią: kogo ratować, więc ratowaliśmy obie i... udało się!”

Urodziła się Ewa - podobna jak dwie krople wody do swojego ojca. Obecnie jest jego lustrzanym odbiciem; nawet porusza się w taki sam sposób jak on.

Tak więc Pan Bóg „pobłogosławił” nieformalny związek (jeśli to w ogóle można było nazwać związkiem) kolejnym dzieckiem. Tymczasem ojciec „rodziny” trafił na „dywanik” do swojego biskupa ordynariusza, samego wielkiego Alfonsa Nossola. Ten powszechnie znany i szanowany przez Polaków i Niemców „arcykapłan” Opolszczyzny, słynął ze swej surowości, ale był też uznawany za człowieka wielkodusznego i sprawiedliwego. Wszyscy jego poddani - kapłani i zakonnice - wiedzieli, że na Nossola jest tylko jeden, wypróbowany sposób: przyznać się samemu do winy, zanim „rozpali się gniew szefa”. Ksiądz Antoni, choć był świeżo upieczonym kapłanem, o takich sprawach wiedział doskonale, jak wszyscy inni. Z tego, co relacjonował później niedosłej teściowej i swojej nieślubnej - został wezwany w związku z przeniesieniem na inną parafię. Ponieważ takie drobiazgi załatwia się zazwyczaj jednym „świstkiem”, a nie osobistą audiencją u samego „Dona”, więc nasz „bohater - dzieciorób”, w jak najbardziej uzasadniony sposób, po prostu „spękał”. Zaraz po otrzymaniu dekretu wyjąkał więc lojalnie i pokornie, że „...jest ojcem jednego dziecka, a drugie jest w drodze” (miało to miejsce na krótko przed narodzeniem Ewy). Ksiądz biskup, jak łatwo się domyśleć, cośkolwiek o tym wiedział i chciał potraktować całą sprawę szablonowo tj. przenieść delikwenta na inną parafię, a przy okazji udzielić mu stosownej reprimendy. Nos biskupa Nossola nie sięgał jednak zbyt daleko. „Siatka wywiadowcza” nie doniosła mu jeszcze, iż „bociek po raz drugi pikował nad pokoikiem Grażyny”. Dowiedziawszy się zatem o drugim dziecku, kazał zawezwać przed swoje oblicze „pokalaną” przez jego poddanego dziewczęcę.

Dziewczyna niezmiernie się zdziwiła tym wezwaniem; była bardzo przestraszona - bała się kolejnych szykan i upokorzenia. O dziwo, hierarcha zachował się bardzo na poziomie: był delikatny, kulturalny, wręcz przyjacielski. Już na wstępie zaznaczył, że zobowiązuje Grażynę do zachowania bezwzględnej tajemnicy, która miała obejmować nie tylko ich rozmowę, ale „całą sprawę”. Cóż to było za

zobowiązanie

- już sama wcześniej o tym zdecydowała. Nie myślała nigdy, że przyjdzie się jej tłumaczyć przed biskupem. Ten, nie wdając się w szczegóły romansu, dał jej do wyboru trzy warianty:

- „zesłanie” księdza Antoniego za granicę, na parafię do Niemiec;
- przeniesienie go do Diecezji Białostockiej - dokładnie na drugi koniec Polski
- tam, „gdzie wrony zawracają całymi stadami”;
- suspendowanie = pozbawienie prawa „bycia” księdzem, np. na rok.

Samo złożenie losów kapłana w ręce jego konkubiny, gdyż tak to faktycznie wyglądało, było wielkim precedensem. Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałem. Zazwyczaj w podobnych wypadkach ojca (nie tylko duchowego) przenoszono na inną parafię, najczęściej w tej samej diecezji. Biskup, który był tzw. „gościem”, dawał wówczas nawet bogatszą placówkę, aby ksiądz mógł utrzymać „przyszywaną” rodzinę. Ale żeby dziewczynie dać możliwość podjęcia decyzji w takiej sprawie!? Pochylmy więc czoło przed biskupem Nossolem, bo w istocie okazał się „Wielkim Gościem”. Na jego gest miał z pewnością wpływ fakt, iż Grażyna była już „pokarana” nie jednym, a dwójką dzieci i była bez środków do życia. Przeanalizujmy teraz krótko trzy rozwiązania problemu Antka Jońca.

Pierwszy wariant zakładał faktyczny i wysoki awans, zwłaszcza jeśli zważyć na bardzo młody wiek kapłana (28 lat) oraz jego niekwestionowane „zasługi” dla Kościoła Opolskiego.

Drugi wyjazd był już mniej atrakcyjny, szczególnie pod względem finansowym. O ile tereny Białostoczczyzny słyną z pobożności jej mieszkańców, to niestety - w parze z tą pobożnością idzie często bieda. Zakładamy, że ksiądz Joniec nie pracowałby w białostockiej katedrze, tylko co najwyżej we wsi „Wygwizdów Dolny”.

Trzecie rozwiązanie zakładało już prawdziwą karę, ponieważ wiązało się z utratą - na dłuższy czas - środków utrzymania. Nie wszyscy odczuwają to jednak aż tak bardzo dotkliwie. Wielu „dorobionych” księży lub mających bogate rodziny (tak, jak w przypadku Antoniego) traktuje okres suspensy jak przymusowy urlop. Jest wtedy czas na romanse, przygody, podróże i zwiedzanie świata.

Biskup Nossol dał do zrozumienia Grażynie, że jeśli wybierze wariant trzeci - pozbawi się na długo jakichkolwiek „alimentów”. Wybierając drugie rozwiązanie - w znacznym stopniu je sobie ograniczy. „...Wybór należy do ciebie, drogie dziecko” -

skwitował.

Na podjęcie decyzji miała trzy dni. „Luby” nie odstępował jej na krok, dopóki nie upewnił się, którą opcję wybierze. Oczywiście wybrała pierwszą! W jej naturze nie leżało karanie, ale wrodzona pokora i ufność, ciągle wystawiana na ciężkie próby. Nie zrobiła tego bynajmniej tylko ze względów finansowych. Stało się w końcu dla niej jasne, że nigdy nie będzie żoną tego człowieka i tak naprawdę nie chce nią być. Na uwagę zasługuje fakt, iż w toku negocjacji „narzeczony” Joniec nie wspomniał ani jednym słowem o swojej wcześniejszej deklaracji „rozpoczęcia nowego życia” u boku Grażyny. Biskup prawdopodobnie również nie brał tego pod uwagę. Chciał załatwić sprawę w ten sposób, by dziewczyna była „syta” i Kościół „cały”.

Dalsze ustalenia, a raczej wymóg ojca diecezji był taki, że „...ksiądz Antoni jedzie do Niemiec po to, aby móc godnie utrzymywać nieformalną rodzinę...”. Powiedziane to zostało w obecności obojga zainteresowanych, czyli Antka i Grażyny. Na mocy tego układu, miał on również sprzedać swojego 5 - cioletniego dużego Fiata, a pieniądze przekazać jednorazowo dziewczynie. W zamian za to ona - przez dwa lata - miała dać mu spokój, by mógł się spokojnie urządzić w nowych warunkach. Po upływie tego czasu her Antoni powinien zacząć przysyłać twardą walutę. Co do wysokości dalszych kwot - biskup pozostawił tę kwestię do ustalenia pomiędzy „stronami”. Te, a jakże, spotkały się i „ustaliły” na piśmie wysokość alimentów na 150 DM na jedno dziecko, a zatem 300 marek na miesiąc. Taką kwotę ustalono w 1978 roku. Dzisiaj daje to sumę ok. 580 złotych. Nie było mowy o żadnych pieniądzach dla Grażyny, no bo właściwie za co... Oczywiście wszystkie warunki ustalił Joniec; bardzo się przy tym użalał na swój los i „dotkliwe obciążenie”. Kuria w Opolu wyznaczyła podobno jakiegoś księdza w Niemczech, który miał rzekomo pilnować, aby pokrzywdzony „biedula” wywiązywał się należycie z płatności; jednakże nikt nigdy onego księdza nie widział. Sprawa została więc pozostawiona samej sobie. Oznaczało to na przyszłość przejęcie całej inicjatywy przez kapłana, który w dodatku przenosząc się do innego kraju (na mocy ustaleń dwóch biskupów - przekazującego i przyjmującego), wychodził spod jurysdykcji tj. zwierzchności biskupa Nossola. Miało to fatalne skutki dla dalszego życia Grażyny i jej dwójki dzieci, ale ona - ciągle ufna i zastraszona - nie zdawała sobie z tego wówczas sprawy. Joniec ciągle dominował nad nią, jak wielki kapłan nad małą dziewczynką. To on ustalał warunki, a ona miała słuchać i milczeć - od 9 - go roku życia, kiedy została zgwałcona - przede wszystkim milczeć!

Ksiądz Antoni otrzymał dekret, kierujący go do pracy w Niemczech. Miał tam wyjechać po miesiącu, ale nie mówiąc nic nikomu, czmychnął zaraz po rozmowach u biskupa, zatrzymując się u rodziny. Na miejscu w Opolu upoważnił swojego świeckiego kolegę, pana Lodzika, który miał sprzedać mu Fiata, a pieniądze ze sprzedaży dać Grażynie. Fiat został sprzedany za „psie” pieniądze; przynajmniej o takich wiedziała Grażyna... Kolega Jońca spotkał się z dziewczyną, aby wypełnić warunki ugody, ale kiedy przyszło do wypłacania kasy, lojalny Lodzik podsunął jej do podpisania przygotowany wcześniej dokument, w którym Grażyna ...zrzekała się ojcostwa księdza Antoniego względem Ewy i Rafałka. Oczywiście nie podpisała się pod tym kłamstwem, które miało na zawsze uwolnić ojca od własnych dzieci. Nie dostała też naturalnie obiecanych pieniędzy. Było to wyjątkowo świńskie zagranie ze strony obu panów. Jasnym stało się teraz, dlaczego Joniec prysnął wcześniej do Raichu. Dziewczyna była załamana - znowu nie miała z czego żyć, a po Antku ani śladu.

Poszła i opowiedziała wszystko w kurii biskupiej. Nie zastała akurat ordynariusza Nossola. Wysłuchał ją, aczkolwiek nie do końca, biskup pomocniczy Adamiuk, który skwitował całą sprawę dwoma zdaniem: „Ja o niczym nie wiem...! DZIEWCZYNO PORADŹ SOBIE SAMA...!” Faryzeusz w piusce dobrze wiedział, gdzie jest Joniec, gdyż sam go tam - wspólnie z Nossolem - wysłał.

W tym czasie cała Nysa huczała już od opowieści o „księżowskiej kurwie”. Grażynie znów odechciało się żyć. Gdyby nie dwójka dzieci prawdopodobnie by ze sobą wtedy skończyła. Pozostawiono ją na pastwę losu z jednym niemowlęciem i dwuletnim oseskiem, bez żadnych środków na utrzymanie. Otrzymała jednak wkrótce pomoc i to z najmniej oczekiwanej strony. U młodego księdza z miejscowej parafii wyczuła nić sympatii i szczerego współczucia pod swoim adresem. Poszła do niego i opowiedziała szczegóły swojego dramatu. Tak się dziwnie składało, że ksiądz ten pracował wcześniej w parafii pana Lodzika. Po wielu pertraktacjach z udziałem duchownego, kolega Jońca oddał w końcu pieniądze Grażynie.

Ta pomoc obcego kapłana była jednym z bardzo nielicznych aktów miłosierdzia wobec ogólnie wyklętej i odrzuconej dziewczyny. Nawet jej młodsze rodzeństwo jej nie odwiedzało. Tak naprawdę mogła liczyć tylko na matkę. Byli też tacy, którzy sugerowali jakąś pomoc, wyrażali swoje ubolewanie i ...ciągnęli za język, by dowiedzieć się więcej szczegółów, a potem dzielić się nimi na prawo i lewo. Grażyna nigdy i nikomu wprost nie przyznała się, że ma dzieci z księdzem. Ona

dotrzymywała danego słowa. Wyjątek stanowiła rozmowa u biskupa, którą uważała niemal za spowiedź.

Zajmijmy się teraz losami księdza Jońca w europejskiej „Ziemi Obiecanej”, jaką bez wątpienia - pod koniec lat 70 - tych - była RFN. W tamtym czasie księza z Polski nie marzyli o takich przeniesieniach. Ksiądz emigrant byłby od razu potencjalnym agentem wywiadu, dla jednej lub drugiej strony. Podobną roszadę mógł zrobić chyba tylko Nossol, ze swoimi wielkimi „plecami” u Niemców i szacunkiem u ówczesnych władz polskich.

Obecnie wielu polskich kapłanów pracuje za zachodnią granicą, gdzie od lat jest wielka „posucha” na powołania; prawdę mówiąc - prawie w ogóle ich nie ma. Polscy księza wyjeżdżają tam na kilkumiesięczne lub paroletnie saksy, a niekiedy nawet na stałe. W obydwu wypadkach potrzebna jest względna znajomość języka, „chody” u biskupa albo „trochę” języka i dobry „bajer” w stylu: „mam bardzo chorą matkę i potrzebuję więcej szmalu na jej leczenie...”. Nasi kapłani bynajmniej nie lecą na państwową pensję, którą otrzymuje w Rajchu każdy duchowny. Te parę tysięcy marek, można „wyciągnąć” równie dobrze na średniej parafii w Kraju, zwłaszcza jak się trochę pokombinuje. Ale „pokombinuje” w Polsce, a w Niemczech

- wcale nie znaczy to samo! Każdy bez wyjątku Polak - czy to będzie ksiądz, czy złodziej sklepowy - posiada naturalne, wrodzone zdolności do „rąbania” Niemców. Losy naszego Narodu na przestrzeni dziejów nie pozostawiają w tej kwestii żadnych wątpiwości. Podobno już starożytni Słowianie kradli Germanom konie i woły (dzisiaj - „Merole”, Golfy i Passaty), nie mówiąc już o wyprawach łowieckich do ich lasów (por. okradanie sklepów). Talent ten „wysysamy” wszyscy wraz z mlekiem matki. Jeśli do tego „daru” dodać autorytet, jakim cieszą się kapłani wśród niemieckich Katolików oraz ich narodową cechę - naiwność - wyłania się wielkie pole do popisu dla naszych chłopców w sutannach.

Będąc księdzem słyzałem o „Helmutach” łapiących się niczym muchy na lep na stare proboszczowskie „kawałki” w stylu: okolicznościowe zbiórki na świątynne remonty, renowacje, malowania, konserwacje; pomoc dla misji; „dary”; pomoc finansowa dla „budującej się” parafii w biednej Polsce itp. Uczciwym z natury Niemcom do głowy nawet nie przyjdzie, że pieniądze zbierane na tak zbożne cele, mogą zasilać prywatne konto ich pasterza.

Znam z opowiadania przypadek, jak to polski kapłan „na robotach” w niemieckiej parafii po obejrzeniu w tamtejszej telewizji reportażu o niedożywionych

dzieciach w Bieszczadach - zrobił na ten cel zbiórkę i ...nieźle się obłowił.

Powróćmy jednak do naszego bohatera „na wygnaniu”. Zapewne przekraczając granicę PRL - u odetchnął biedula pełną piersią. „Zaszczuty” przez „głupią dziwkę” (która nie chciała usunąć dwóch bachorów) oraz jej matkę - nareszcie będzie miał spokój z dala od nich. W końcu... „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” - ta myśl musiała mu przyjść do głowy, bo tak też było w istocie. Dzięki „numerowi” z Grażyną otwierała się przed nim świetlana przyszłość i wielka kariera, u samego progu kapłaństwa. Polska propaganda o tym milczała, ale on dobrze wiedział z listów i paczek od rodziny

- jak wygląda życie w Zachodnich Niemczech. Ani przez chwilę nie zamierzał dzielić się swoim przyszłym dostatkiem z tą „idiotką” i „jej dziećmi”.

Według tego, co później dowiedziała się pani Grażyna - jej Antek poszedł najpierw do szkoły, uczyć się języka. Jako, że miał w Raichu rodzinę i był „otraskany” z ichniejszym szwargotem, szkołę skończył szybko i pozytywnie. W międzyczasie zmienił pisownię swego imienia i nazwiska na: Anton Jonietz. Został następnie skierowany do parafii w Essen, w charakterze wikariusza. Tam poderwał niemiecką „laskę” tak ostro, że aż pisały o tym lokalne gazety (ale na pewno protestanckie ...więc kłamały). Nie przeszkodziło mu to po kilku latach awansować dużo wyżej - objął probostwo nad 5 - ma (słownie: pięcioma) parafiami w uroczym zakątku Niemiec, gdzie przebywa do dziś. Dla kieszeni księdza Jonietza nie bez znaczenia pozostaje fakt, iż podległe mu 5 „folwarków” zamieszkują niemal wyłącznie sami Katolicy. Jego rezydencja, o wymiarach pałacu polskiego biskupa, znajduje się w mieście Salz, w pobliżu Limburga (Land Westerwald), słynącym z uroczego położenia i pięknej architektury. Her Jonietz zarabia niewyobrażalne - jak na warunki polskie - pieniądze i to wyłącznie w twardej walucie.

Grażyna, kiedy w końcu wywalczyła należne jej pieniądze ze sprzedaży starego Fiata, mogła nareszcie oddać długi i jako tako się okupić. Nie rozłożyła sobie otrzymanej kwoty na dwa lata, gdyż i tak było wiadomo, że najdalej po roku zapomoga się skończy. Nie myślała co będzie dalej. Dość miała oszczędzania na wszystkim - począwszy od ogrzewania zimą mieszkania, a skończywszy na gatunku mleka dla dzieci. Miała cichą nadzieję, że Antoni dotrzyma danego przy biskupie słowa i po upływie dwóch lat zacznie łożyć na rodzinę; choć wiedziała już, iż może się spodziewać po nim najgorszego. Te jego wybiegi, kłamstwa, sposób w jaki ją traktował; a nawet to, kiedy nastawał na nią, aby usunęła dwie cięższe - to wszystko nie

boleło ją tak bardzo jak jeden, jedyny fakt: jego stosunek do własnych dzieci. Ciągłe w pamięci i w uszach brzmiały jej okrutne słowa, których sensu nigdy, do końca życia, nie będzie potrafiła zrozumieć. „...Ja ich nienawidzę, słyszysz:

NIENAWIDZĘ!!!” - krzyczał jej prosto w twarz swoim silnym, pewnym głosem; zupełnie jakby miał na myśli morderców własnej matki. Znienawidził je od pierwszej chwili, kiedy się o nich dowiedział. Nie przejawiał nigdy absolutnie żadnych zachowań ojcowskich. Nie wziął na rękę żadne z nich, choć wielokrotnie miał po temu okazję. Nie kupił im nigdy żadnej zabawki, czekolady - kompletnie nic! Będąc u Grażyny starał się w ogóle na nie nie patrzeć; a jeśli - mimo woli

- jego wzrok napotkał jedno z nich, widać w nim było autentyczną nienawiść i odrazę. Wielokrotnie użalał się natomiast nad samym sobą

- jakie to on ma ciężkie życie - „zniszczoną karierę”, „napłute w życiorys” itp.

W tym człowieku nie było za grosz odpowiedzialności, współczucia. Był wynaturzonym do cna egocentrykiem i samolubem. Od najbardziej prymitywnych zwierząt różnił się tylko tym, że nie zjadł swoich „młodych”, zaraz po ich narodzeniu.

Wybaczcie te bardzo ciężkie słowa pod adresem człowieka, którego nie miałem okazji osobiście poznać, ale mam przed sobą niepodważalne dowody na taką, a nie inną jego postawę i nie są to tylko nagrania moich rozmów z panią Grażyną i jej dziećmi...

Staram się w jakiś sposób zrozumieć tego człowieka, chociażby na tej podstawie, iż sam jeszcze niedawno byłem księdzem. Mnie też nie obce (przynajmniej na początku) były marzenia o zrobieniu jakiejś kariery w Kościele - doktoracie, „dochrapaniu” się porządnego probostwa, wybiciu ponad przeciętność. Są to naturalne pragnienia występujące u człowieka, którym się ciągle rządzi i pomiata, począwszy od pierwszych lat seminarium duchownego. Czy jednak po drodze do kariery i dobrej opinii można deptać innych ludzi!? Z pewnością byłbym podłamany, gdyby moja dziewczyna podwójnie „wpadła”; tym bardziej, jeśli bym nie miał najmniejszego zamiaru się z nią żenić. Gdy jednak ona „na złość” już je urodziła, to jakże można - do jasnej cholery! - mieć w dupie własne dzieci; widząc jak kwilą z zimna i głodu?! Jak może ojciec znienawidzić bezbronne maleństwa - kość z kości i krew z krwi - podobne do niego jak dwie krople wody?! Nie musiał wcale się z nią żenić; ale nienawidzić..!? zostawić na pastwę losu...!? Podczas gdy on opływał w dobrobyt, zmieniał samochody i leżał do góry brzuchem, ona gnieździła się w małej klitce z dwójką jego dzieci; wstawała do nich w nocy; biegała z nimi do lekarza;

przewijała; karmiła i kombinowała jak związać koniec z końcem.

A tak przy okazji - bez względu na to, czy ktoś jest za, czy przeciw aborcji - każdy powinien przyznać, iż tej dziewczynie należy się medal za urodzenie dwójki dzieci wbrew wszelkiemu rozsądkowi i namowom ich ojca - księdza. Medal ten powinna otrzymać od prymasa Glempa; ale to jest nierealne, bo według niego - takie i podobne historie się nie zdarzają, po prostu nie mają miejsca; są wymysłem żydokomunistów i masonów; roznoszone później w postaci plotek, legend i podań ludowych. Chciałoby się krzyknąć głośno słowami Chrystusa Pana: „BIADA WAM OBLUDNICY!!!”

Dla Grażyny tymczasem zaczęły się dwa lata niepewności, strachu, wytykania przez ludzi i wychowywania dwójki małych, księżowskich dzieci. Kiedy skończyły się pieniądze ze sprzedaży samochodu, chwyciła się paru drobnych zajęć za marne grosze; na ile tylko pozwalał jej czas i pomoc matki, która w tym czasie opiekowała się maleństwami. Czasami, pod nieobecność ojca, dziewczyna brała dzieci do domu; przede wszystkim po to, aby wykąpać je w wannie, co one uwielbiały.

Młoda matka żyła jak pustelniczka - nie bywała w żadnym towarzystwie, straciła koleżanki i przyjaciół; z domu doktora wychodziła tylko po zakupy. Jeśli już natknęła się na kogoś znajomego albo któregoś z księży - wielu z nich znała osobiście przez kontakty związane z charakterem rozpoczętych studiów - prawie zawsze jej rozmówca (- czyni) zbywał ją paroma zdaniami, patrząc w popłochu przez ramię - czy nikt nie widzi. W końcu sama zaczęła udawać, że nikogo nie dostrzega. Czuła jednak na sobie zawsze setki par oczu, choć dzisiaj uważa, iż mogła to być w dużej mierze psychoza strachu i kompleks „trędowatej”, ale tak właśnie się wtedy czuła. Prawdziwym utrapieniem były dla niej coraz dłuższe kolejki przed sklepami. Dzieci musiały często zostawać same w pokoju, a ona była godzinami narażona na ciekawskie spojrzenia i obmowy innych, zwłaszcza kobiet. Przez dłuższy czas miała jedną, jedyną przyjaciółkę, ale jej mąż, gdy dowiedział się o tej zażyłości, zrobił żonie karczemną awanturę - „...z kim ty się zadajesz!?!” - krzyczał.

Sytuacja materialna niepełnej rodziny stawała się coraz gorsza. Był rok 1980 - niepokoje społeczne, ogromne trudności w zaopatrzeniu i ...nadzieja Grażyny na rychłą pomoc (mijały dwa lata od wyjazdu Jońca). Miejscowi księża, choć doskonale wiedzieli o warunkach, w jakich żyje niepełna, księżowska rodzina - nigdy nie przyszli jej z jakąkolwiek pomocą, choć już wówczas ich magazyny pęczniały od „darów” z Zachodu; w tym szczególnie słodyczy, odżywek i różnych gatunków mleka

dla dzieci. To wszystko było jednak przeznaczone dla lojalnych, prawowiernych Katolików i ich pociech; ewentualnie na pokątny handel lub też dla znajomych - zaprzyjaźnionych parafian, a nie dla wyklętych ladacznic. No, ale w końcu nikt nie miał prawa ani obowiązku utrzymywać samotnej matki z dziećmi; nikt - oprócz ich naturalnego ojca. To jemu dano niepowtarzalną szansę wyjazdu do prawdziwej „kopalni złota”. To on - za spółdzenie i porzucenie dwójki własnych dzieci - mógł czerpać do woli ze złotodajnych żył; zatrzymując same samородki, oddając zaś tylko małe okruchy. Grażynie i jej matce do głowy nie przyszło, że Joniec ma ich głęboko pod sutanną; ba!... nawet o wiele głębiej. Kobiety zapożyczyły się gdzie tylko mogły na konto jońcowych marek, aby jako tako odżywić i ubrać rosnące jak na drożdżach (po ojcu!) maleństwa. Tymczasem mijały kolejne dni i tygodnie po 2 - giej rocznicy wyjazdu, a o nim „ani widu, ani słyhu”.

W końcu stało się jasne, iż nie ma na co i na kogo czekać. Załamana dziewczyna nie chciała, by po raz drugi pokazano jej kurialne drzwi - nie poszła do biskupa uzalić się nad swoim losem, zerwaną umową i zapytać - gdzie jest jej „oblubieniec”. Była już jednak zbyt słaba i zrezygnowana, aby „poradzić sobie sama”. Pomogła jej jak zwykle osoba, na którą mogła zawsze liczyć - która zastępowała jej koleżanki, przyjaciół i całą rodzinę - jej matka. Jeszcze raz zaowocowały również znajomość języka oraz szerokie kontakty opolskich Ślązaków z niemieckimi landami. Mama Grażyny zaczęła szukać księdza Jonietza wykorzystując swoje znajomości za drugą granicą Niemiec. Poszukiwania trwały ponad rok. Po wielu nieudanych próbach; wielkim nakładem sił, czasu i wyrzeczeń - odnalazła w końcu „gagatka”, dzięki swojej dawnej koleżance, której mąż był prokuratorem w Munster. Jonietz pasterzował w najlepsze na parafii w Essen. Chociaż wprost tego nie powiedział, widać było wyraźnie, iż jest wielce zaskoczony - skąd jego „prześadowcy” mieli pieniądze na tak szeroko zakrojone poszukiwania. Nie wziął chyba pod uwagę, że dla nich oznaczało to „być albo nie być” i było podyktowane wielką determinacją. Antek, swoim zwyczajem (przynajmniej względem matki Grażyny, wobec której czuł pewien respekt) udał skruchę. Zaczął też wkrótce realizować ustalenia wynikające z podpisanej umowy i przysyłać po 300 marek na miesiąc. Nie wystarczało to na utrzymanie trzyosobowej rodziny, mieszkającej w wynajętym pokoju, ale dawało jej jakieś podstawy egzystencji. Powyższa kwota przychodziła regularnie przez kilka lat. Joniec wielokrotnie i przy każdej okazji powtarzał, że są to pieniądze „za milczenie”, a nie na utrzymanie jego dzieci, których on nie chciał; nie życzył sobie ich nigdy

widzieć, ani o nich słyszeć.

Dorywcze prace, które z konieczności - dla podratowania domowego budżetu - podejmowała Grażyna, kończyły się dla niej nie ciekawie, a właściwie bardzo przykro. Przez dłuższy czas próbowała znaleźć jakieś chałupnicze zlecenia albo inne drobne zajęcia na kilka godzin dziennie, ale opinia „księżowskiej kurwy” chodziła za nią wszędzie i skutecznie utrudniała podobne poszukiwania. Aby cokolwiek zarobić, musiała zgodzić się w dwóch przypadkach na śmiesznie niskie wynagrodzenia.

Parokrotnie sama rezygnowała z zajęcia, gdyż nie mogła znieść wymownych spojrzeń, zachowań i docinków pod swoim adresem. Kiedy dzieci trochę podrosły i miała w związku z tym nieco więcej czasu, wznowiła zaoczne studia na katolickiej uczelni i poszukała sobie stałej posady w jednym z większych zakładów w Nysie.

Pracowała sama „na kasie”, co miało bardzo dobre strony, gdyż praca w zespole w jej przypadku nie wchodziła w rachubę. Miała jednak nad sobą kierownika, który - jak większość ludzi w miasteczku - znał dobrze historię jej niefortunnego romansu. Przełożony zaczął ją wkrótce dość nachalnie molestować, na co ona pozostawała zupełnie obojętna. Bała się utracić dobrą, stałą posadę, więc spokojnie ignorowała zaloty 60 - cioletniego męża i ojca rodziny. Ten stawał się jednak coraz bardziej zniecierpliwiony. Pewnego dnia zażądał, aby Grażyna pod pretekstem wyjścia do banku, przyszła do jego domu na schadzki, pod nieobecność żony. Kiedy kategorycznie odmówiła, powiedział jej prosto z mostu: „Z księżmi się pierdoliłaś, a ze mną nie możesz...!” Dziewczyna (wówczas 26 - letnia) rozplakała się; pobiegła do swojego „naczelnego” i poprosiła o zwolnienie.

Po ukończeniu studiów, mając po temu wszelkie podstawy, próbowała podjąć pracę jako katechetka, a także w poradni rodzinnej. Wyższe wykształcenie dawało jej przewagę nad innymi kandydatkami, ale opinia „księżowskiej kurwy” nie pozwalała nawet marzyć o zatrudnieniu „na łonie Kościoła”. W ten sposób minione sny rodziców o „córce z katolickim wykształceniem” - boleśnie się na niej zemściły.

Grażyna była ciągle zdana tylko na siebie - bez pracy, kontaktu z ludźmi; pozbawiona jakiegokolwiek wsparcia i opieki. Nie miała również oparcia w ramionach mężczyzny, tak potrzebnego każdej kobiecie; a ze wszystkimi niedogodnościami i przeciwnościami losu ścierała się sama. Mama nie mogła być z nią zawsze. Miała swoje życie - problemy, apodyktycznego męża i trójkę pozostałych dzieci. Dziewczyna, w wieku dwudziestu kilku lat, była zupełnie załamana swoim losem, przygnębiona i bezwolna. Wpadła w głęboką depresję. Postanowiła nigdy się z

nikim nie wiązać, a wszystkie siły i resztę życia poświęcić dzieciom, które były też dla niej jedyną radością. W ten sposób przevegetowała kilka następnych lat.

Kiedy dzieci zaczęły wchodzić w wiek przedszkolny, a później poszły do „podstawówki”, zaczęły się nowe stresy i nowe problemy. Na początku trzeba było podać imię ojca. Grażyna najpierw kreśliła w kwestionariuszach krzyżyki; później wymyśliła „Krzysztofa”, ale w każdym przypadku kwitowane to było nazbyt wymownymi uśmiezkami i uwagami. Co gorsze, coraz częściej cierpiały na tym wszystkim same dzieci. Rówieśnicy wytykali je palcami, przezywali i głośno wyśmiewali. Zdarzali się także nauczyciele, którzy (o zgrozo!) pokpiwali sobie z „księzkowskich znajdów” albo w inny sposób je „wyróżniali”. Rafał wspomina jedną z wychowawczyń:

„...Wielokrotnie i bez większych powodów nakazywała mi klęczenie w kącie z podniesionymi (jak u księdza) rękami. Nigdy też nie widziałem, aby swoją metodę wychowawczą stosowała wobec innych uczniów, którzy łamali według niej manieri dobrego wychowania...”.

Niektórzy nauczyciele próbowali otoczyć, jawnie poniżane i poniewierane dzieci, szczególną opieką, ale było ich niewielu. Jak nie trudno się domyśleć, Rafał i Ewa przeżywali to bardzo boleśnie. Nie mogli odnaleźć się w grupie rówieśniczej, nie mieli kolegów i koleżanek. Na równi z nimi cierpiała ich mama. Rafał jeszcze w wieku przedszkolnym przestał na kilka miesięcy zupełnie komunikować się z otoczeniem, choć nie był dzieckiem autystycznym. Lekarz po gruntownym zbadaniu, ocenił jego stan jako mający powiązanie z tłem emocjonalnym. Grażyna była przestraszona, ale na szczęście minęło to bezpowrotnie, nie pozostawiając śladów na zdrowiu dziecka.

W pamięci i psychice chłopca boleśnie odbił się czas przygotowań do I Komunii Świętej, tak radośnie i głęboko przeżywany przez większość dzieci. Podczas prób, ćwiczenia formułek, ustawiania w komunijnym orszaku - Rafałek był zawsze ignorowany i spychany na dalszy plan. Ksiądz proboszcz właściwie zrobił wielką łaskę, że w ogóle zgodził się na jego udział w uroczystości. Podobnie było z przyjęciem go do ministrantów. Po jakimś czasie pleban, nie mogąc zapewne znieść widoku chłopca przy ołtarzu, tak obrzydził mu życie, iż ten w końcu sam zrezygnował z zaszczytnej posługi. Do dzisiaj, ten sam pasterz parafii, widząc Rafała, odwraca wzrok albo patrzy na niego jak na pęknięty wrzód na własnym ciele, który (skoro już się pojawił) trzeba szybko ukryć lub usunąć. Zupełnie to samo chłopiec może

odczytać w oczach swojego ojca.

Cała trójka jest dziś przekonana, iż wspólne bycie razem, wyczuwalna nienawiść rodziciela oraz jemu podobnych - bardzo ich zawsze jednoczyły i solidaryzowały. Trzeba podkreślić fakt, że przez długie lata Grażyna nie powiedziała dzieciom prawdy o ich ojcu. Na początku mówiła: „wyjechał”; później: „umarł i jest w Niebie”. Dopiero, kiedy w wieku kilkunastu lat dowiedziały się „od ludzi” całej prawdy z najdrobniejszymi szczegółami - wszystko im szczerze wyjawiała.

Do całego bólu i codziennych stresów odepchniętej rodziny, dochodziło jeszcze upokarzające ubóstwo materialne. Młoda matka bardzo cierpiała, patrząc na przygnębienie swoich jedynych pociech. Jak wiadomo - wraz z dziećmi, rosną również ich potrzeby. Gdyby chociaż można było zamienić ten maleńki pokój na niewielkie mieszkanie - marzyła w samotne noce dziewczyna. Skąd jednak wziąć na to pieniądze, skoro to co dostawała z Niemiec nie wystarczało nawet na podstawowe potrzeby i książki dla dzieci? Straciła wszelką nadzieję na podjęcie pracy, a z czasem taka możliwość zupełnie przestała istnieć, gdyż Grażyna wpadła w silną nerwicę i zaczęła chorować na dolegliwości kobiece. Lekarstwa pochłaniały resztki rodzinnych funduszy, co dodatkowo potęgowało depresję kobiety. W akcie rozpaczki postanowiła napisać o dodatkowe wsparcie do Jońca.

Rafał wspomina mamę siedzącą późno w nocy nad zeszytem i drącą kolejne zapisane kartki. Wysłała w końcu błagalny list, opisując w nim swoje choroby i tragiczne położenie, w jakim znalazła się razem z dziećmi. Ten list, jak i wiele kolejnych, pozostał bez żadnej odpowiedzi. Do Jońca pisała również matka Grażyny, a kiedyś nawet do niego pojechała. Potraktował ją bardzo obcesowo, wręcz po chamsku. O swojej byłej „czarnej madonnie” powiedział tylko: „Przecież ona żyje jak pączek w maśle...!

Czas płynął, a warunki życia „pączka” pogarszały się coraz bardziej. Matka zdobyła w końcu telefon Antoniego, a zdesperowana dziewczyna zadzwoniła do niego tłumacząc mu - dzięki komu i po co tam jest. „Zamiast odpowiedzialności spotkał cię awans i kariera, a ty nie pozwalasz nam nawet żyć!?” - krzyczała z płaczem do słuchawki. Jego odpowiedzią było jak zwykle długie milczenie, po którym popłynął potok gromkich słów - wymówek i wyzwisk: „...A co ty sobie kurwa myślisz, że ja to jestem bankiem! Ja nic dla was więcej nie mam i miał więcej nie będę! Co ci się należy to wszystko dostajesz! Grażyna już uspokojona, odpowiedziała przytomnie i pewnie: „...Słuchaj! Nam się tak po prawdzie należą od ciebie pieniądze, ale dopiero

na drugim miejscu. Najbardziej nam się należy twoja obecność, twoje bycie z dziećmi, twoja miłość, twoja odpowiedzialność za to, do czego razem żeśmy doprowadzili. Twoje pieniądze nigdy nie zrekompensują nam braku męża, opiekuna, ojca! Dlaczego nigdy nie zapytasz się o dzieci - czy żyją, czy są zdrowe, jak się chowają, do której klasy chodzą...!?”

„Mnie nie obchodzą twoje dzieci; to ty je chciałaś urodzić!” - padła okrutna odpowiedź. Po dalszej, rozpaczliwej wymianie zdań, powiedział krótko - „...Przyjedź, to porozmawiamy...” i odłożył słuchawkę. Po krótkim czasie przyszedł nawet większy przekaz dewiz, z przeznaczeniem na bilet.

Pojechała, cóż jej pozostało. Zrobiła to dla dzieci, bo sama nie chciała go już nigdy więcej oglądać. W tym czasie był już proboszczem w Salz. Odebrał ją na dworcu w Limburgu. Prawie się nie odzywał, kiedy przez dobre pół godziny jechali samochodem do lasu. Wjechał w leśny dukt; zatrzymał wóz i od razu zaczął się do niej nachalnie dobierać. Był przy tym chamski, a chwilami brutalny. Po prostu ją zgwałcił - o ile w zakres słowa «gwałt» wchodzi: zdzieranie siłą bielizny, wykręcanie rąk i bicie po twarzy. Długo potem płakała. Była na niego skazana, bezwolna, słaba, sparaliżowana swoją niemocą i swoim położeniem. Nie miała nawet na bilet powrotny do Polski. Następnym razem już się nie broniła. Leżała jak kłoda, sparaliżowana zamkniętymi oczami. Kiedy on zaspokajał swoje samcze żądze, ona myślała - ile może jej dać?; czy wystarczy na oddanie długów, na nowe buty dla dzieci, opłacenie czynszu? Ukrywał ją przez trzy dni w samochodzie, zaparkowanym w ustronnym miejscu. Sam jechał na noc na plebanie, grać przykładowego kapłana. Nie wolno jej było się oddalać, ani z nikim rozmawiać. Jedzenie i wodę do umycia dowoził na miejsce drugim wozem. Parokrotnie zmieniał miejsce postoju, aby nikt ich nie zlokalizował. Grażyna miała już dość tego maratonu seksu. Odpychała go od siebie, ale to tylko wyzwałało w nim agresję i rozpałało pożądanie. Do poniżenia i niesmaku dochodziło jeszcze uczucie strachu, ponieważ Joniec nigdy się nie zabezpieczał. Kiedy upokorzona i wykorzystana wracała pociągiem, po trzech dobach spędzonych na samochodowym fotelu - nie miała w kieszeniach pieniędzy. Antoni opłacił tylko jej bilet i kazał czekać na przelew do banku. Wróciła do domu bardziej załamana niż była przed wyjazdem. Nie mogła spojrzeć w lustro; czuła do siebie odrazę. Dzieciom powiedziała, że musiała jechać do pracy. Po tygodniu przyszedł przekaz opiewający na kilka tysięcy marek. Takich pieniędzy jeszcze nie miała. Spłaciła długi i okupiła dzieci. W małym, wynajętym pokoiku zapanowała radość.

Kiedy pieniądze się skończyły pojechała następnym razem i jeszcze dwa kolejne razy. Scenariusz był zawsze podobny - samochód na odludziu, seks w lesie, tysiące marek na koncie. Antkowi wystarczyło czasami samogwałt w jej obecności, gdy np. ona stwarzała sytuacje zagrożenia - mówiła, że - „coś słyszała” albo „ktoś idzie”. Nigdy nie zabrał ją do siebie na plebanie. Później dowiedziała się, co było tego powodem. Oprócz strachu przed lokalnym, niemieckim wywiadem (czyt. starszymi parafiankami) w grę wchodziła jego gospodyni, z którą prawdopodobnie również współżył.

Ktoś zapytał - dlaczego jeździła do swojego oprawcy; człowieka, który zmarnował jej życie? Dlaczego oddawała mu się za pieniądze? Tak o tym mówi dzisiaj ona sama:

„...Po tych spotkaniach przychodziły większe kwoty, chociaż one mi śmierdzą do tej pory i śmierdzieć będą. Tylko w tym momencie była walka o coś innego, ważniejszego niż własna godność. Nie mogłam pracować, zarabiać na utrzymanie własnych dzieci. Może jakaś inna wołałaby zdechnąć razem z nimi albo iść na ulicę. Ja wybrałam trzecie rozwiązanie - jeśli ktoś ma mi za to płacić, to nigdy żaden inny mężczyzna, tylko on. To on miał obowiązek utrzymywać własne dzieci, chociażby w taki podły sposób...”

Kiedy przestała jeździć, przestały też przychodzić większe przekazy. W sumie przyszło ich cztery. Pozwoliło to Grażynie wyjść na prostą i zaoszczędzić na nowe mieszkanie w starym budownictwie. Nieoceniona mama pomogła je umeblować i rodzina przeniosła się do dużego pokoju z kuchnią i prowizoryczną łazienką, w której jednak nie stała jeszcze upragniona przez dzieci wanna. Radości było jednak co niemiara.

Grażyna jeszcze wielokrotnie zwracała się do Jońca o zwiększenie przysyłanych kwot. Pisała mu o swojej chorobie, motywując przy okazji fakt, iż nie może już do niego przyjeżdżać. Prosiła o pieniądze na lekarstwa dla mamy, kiedy ta leżała ciężko chora. Kiedy te prośby i zaklęcia nie odnosiły żadnego skutku, zaczęła wymyślać inne choroby, a nawet tragedie rzekomo spotykające ją lub dzieci. Po takich rozpaczliwych listach, przychodziły czasami śmiesznie niskie - dodatkowe kwoty, które zazwyczaj wcale nie ratowały sytuacji. Na domiar złego przekazy coraz częściej przychodziły nieregularnie, nawet z parotygodniowym opóźnieniem. Kilka razy zamiast pieniędzy przysłał jej paczkę, np. z 25 - ma kilogramami kawy, z dopiskiem: „Nie mam nic innego; sprzedaj to, a będziesz miała na życie”. Dają głowę, że była to

kawa zebrana wśród jego własnych parafian, z przeznaczeniem na „dary dla Polaków”.

Któregoś roku, przez ponad trzy miesiące, Joniec nie przysłał ani jednej marki. Nie odpowiadał na ponagląjące listy Grażyny, która nie wiedziała co się stało. Kiedy dzwoniła, odkładał słuchawkę. W końcu okazało się, że jej brat - w tajemnicy przed nią - pożyczył od Jońca około tysiąca marek, a ten „odebrał” sobie dług od bogu ducha winnej dziewczyny, która o niczym nie wiedziała. Co ciekawe, brat Grażyny zaklinał się później, iż oddał na czas wszystkie pieniądze.

Ogromnym ciosem dla dziewczyny była śmierć matki. Jeszcze wtedy, gdy była ona umierająca, odważyła się po raz pierwszy od wielu lat odwiedzić ją w rodzinnym domu. Ojciec - świątobliwy, wojujący katolik - kazał jej „spierdalać razem z ...głupią matką” - za to, że ze sobą „trzymały”. Grażyna zabrała konającą mamę do szpitala, gdzie ta wkrótce zmarła. Bardzo mocno śmierć babci przeżyły również dzieci, dla których ta odważna kobieta była jedyną życzliwą osobą, a zarazem jedynym gościem w ich domu. Zostali więc sami dla siebie - ona i jej wyklęte pociechy.

Dzieci jak powszechnie wiadomo, mają to do siebie, iż w miarę szybko rosną. Nie inaczej było również z Ewą i Rafałem; tym bardziej, że wzrost odziedziczyli po ojcu. Uczyli się bardzo dobrze i coraz więcej rozumieli. Byliby zupełnie podobni do swoich rówieśników, gdyby nie wielka rana w ich młodych sercach - ojciec ksiądz - którego nie ma, którego trzeba się wstydzić, który ich nienawidzi. Mama nigdy nie wpajała im takiej nienawiści względem Antoniego. Wydawało jej się, iż za sam fakt ojcostwa nie zasługuje z ich strony na takie traktowanie; co więcej, przypominała im nieraz o szacunku dla rodziciela. Aby nie zaszczepiać w ich sercach wrogich uczuć do - bądź co bądź - ojca, posuwała się nawet do kłamstw i drobnych oszustw. Kupowała słodczyce, zabawki albo coś do ubrania; zawijała to w papier, pakowała do kartonu i witała ich tryumfalnie, gdy wracali ze szkoły: „tatuś przysłał wam paczkę!” Po prostu wstydziała się go przed własnymi dziećmi i chciała przy okazji złagodzić ból porzuconych pól sierot. Oni sami, kiedy dojrzeli i dowiedzieli się całej prawdy, wyrobili sobie o nim zdanie. Ta świadomość, że są jacyś inni, gorsi oraz życie w nieustannym poniżeniu, pogardzie otoczenia i strachu - wywarły na nich niezatarte piętno. Od najwcześniejszych lat, te dzieci były nieufne i zamknięte w sobie. Wyczuwały napięcia i lęki mamy. Pozbawione od zawsze i na zawsze ojca, nie mogły odnaleźć się nigdy pośród rodzin, gdzie głową domu był mężczyzna. Powoli uświadamiały sobie, iż ciąży na nich brzemień, które na dodatek ma być zachowane w

największej tajemnicy. Mama wielokrotnie tłumaczyła im, że gdyby ktokolwiek, kiedykolwiek pytał o ojca - mają odpowiadać: „nie ma go z nami”, nie wchodząc w dalsze szczegóły. Nie było to wcale łatwe w praktyce, a często stawało się tylko pretekstem do dalszych zaczepk.

Na takim gruncie - już w wieku młodzieńczym - zrodziły się buntownicze zachowania u Rafała, który zaczął szukać swego miejsca wśród młodzieży (tak, jak on) wytykanej palcami. Obecnie wspomina to jako bunt skierowany przeciwko ojcu. Dość szybko zdał sobie jednak sprawę, że wyrządza krzywdę nie jemu, gdyż ojciec wcale się z nim nie utożsamiał, tylko mamie i siostrze.

Rafał i Ewa stali się pełnoletni. Rafał skończył zawodówkę ogrodniczą i zmuszony był iść do pracy jako niewykwalifikowany robotnik, ponieważ w domu brakowało pieniędzy. Jego siostra szykowałą się do matury. Coraz częściej bez żadnych oporów - dojrzałe i z dystansem - rozmawiali razem z mamą o swoim ojcu. Nigdy nie zaznali od niego dobroci ani serdeczności, więc nie zależało im, aby mieć w domu ojca. Najgorszy okres braku rodzica mieli już za sobą. Mimo to w rodzeństwie, a zwłaszcza w Rafale, narastała myśl poznania ojca, spojrzenia mu w twarz, porozmawiania z nim. Nie bez znaczenia była również ich ciągle zła sytuacja materialna. Schorowana mama i ich start w dorosłe życie wymagały dużo większych funduszy aniżeli te, którymi obdarzała ich głowa rodziny. Spodziewali się, że może wizyta całej trójki wyzwoli w Jońcu jakieś resztki uczuć i będzie on chciał zadośćuczynić ich potrzebom. W końcu pojechaliby po swoje. Każdy normalny ojciec - na ile tylko może - kształci swoje dzieci, zapewnia im życiowy start, leczyc swoją żonę, gdy ta choruje itp. A on mógł! Przed dwudziestu laty dano mu niepowtarzalną szansę zrobienia kariery w zamian za „splamienie sutanny” i „dobrego imienia Kościoła”; nie mówiąc już o zmarnowaniu życia młodej, pięknej kobiecie i pozbawieniu ojca dwójki własnych dzieci. Oni wymagali od niego tylko poniesienia naturalnych i oczywistych konsekwencji słabości męskiej natury. Bardziej niż pieniędzy oczekiwali jednak odrobiny uczuć, zainteresowania; pragnęli, choć przez chwilę, zobaczyć w nim własnego tatę. Szczególnie Rafał nalegał na wyjazd i on też wziął sprawę w swoje ręce.

Jak wiadomo ksiądz Antoni powiedział Grażynie, że nigdy nie chce widzieć swoich dzieci. Pod tym warunkiem wysyłał jej śmieszne, jak na swoje możliwości kwoty, na które zresztą ona musiała wielokrotnie „zarabiać”. Oczywistym powodem, dla którego w ogóle coś wysyłał, był strach przed ujawnieniem przez nią, a później

przez Rafała i Ewę, całej ponurej tajemnicy na forum publicznym. Kapłan czuł się więc w miarę pewnie i do głowy mu nie przyszło jaką wycieczkę szykuje mu jego rodzinka.

Od Nysy, gdzie mieszkają, do jego obecnej placówki w Salz dzieli ich odległość prawie tysiąca kilometrów. Od dawna, tj. od ostatniej wizyty mamy u Jońca, nie mieli dość pieniędzy, aby pozwolić sobie na taki wyjazd. Dostateczne środki mogli uzyskać tylko od niego. Telefon albo list Grażyny nie wchodził w rachubę. Otrzymałaby tę samą odpowiedź co zwykle: „...no to przyjeźdź...”. Już od kilku lat tego nie robiła. Zbyt dużo upokorzenia i zdrowia kosztowały ją te wyjazdy; zresztą Rafał i tak by jej zabronił. On to właśnie chciał uciec się do pewnego wybiegu. Postanowił zadzwonić do Jońca i poprosić o zdublowanie dwóch przekazów, tłumacząc to nagłą potrzebą. Od chwili podjęcia tej decyzji do momentu podniesienia słuchawki telefonu, mającego połączyć go z głosem ojca, przeżył - jak sam wspomina - „depresyjne stany świadomości”. W pewien sobotni wieczór, drżącą ręką wystukał wreszcie długi numer. Za drugim razem otrzymał połączenie: „Ja, fahren Salz, Anton Jonietz”. „Dobry wieczór, mówi twój syn” - odezwał się chłopak, głosem tak drżącym i wystraszonego, jakby przed chwilą „obrobił” bank. „Słucham!?” - brzmiało pytanie. Rafał zaczął dreptać w miejscu żeby mu nie puścił zwieracz odbytu. Stracił panowanie nad sobą; chciał rzucić słuchawkę, nie słuchać tego głosu, lecz zdrowy rozsądek wziął górę nad paniką: „...Mam prośbę. Jeżeli mógłbym cię prosić, czy byłbyś w stanie sumę, którą wyślesz za miesiąc przesłać teraz?”

„No, nie wiem?” - oponował pełen zdziwienia i zaskoczenia głos księdza Antoniego. W tym momencie nastąpiła długa i niezręczna chwila milczenia. Rafał nie bardzo wiedział, czy jego rozmówca zastanawia się nad prośbą, czy też nie może uwierzyć w to, że prowadzi skąpy dialog ze swoim pierworodnym. „Dobrze, ale nic poza tym i w następnym miesiącu nic nie wyślę ...a właśnie, co zrobicie w następnym miesiącu?” - zapytał z ledwo wyczuwalną troską. „Jakoś sobie poradzimy” - odparł chłopak. Kolejna długa chwila milczenia. „No to, dziękuję, dobranoc...” - Rafał pospiesznie zakończył niezręczną dla nich obu rozmowę i odłożył słuchawkę. Długo nie mógł dojść do siebie po tym telefonie. Teraz już był pewien, że musi zobaczyć jak wygląda człowiek, który potrafi nosić w swoim sercu tyle nienawiści

Dopiął swego! Wyjazd do ojca był teraz realną rzeczywistością. Naturalnie Antoni nie mógł się w żadnym wypadku dowiedzieć o ich planach. Nie mieli wątpliwości, iż zrobiliby wszystko, aby nie dopuścić do tych odwiedzin, a w

najlepszym wypadku po prostu by wyjechał.

Był czerwiec 1997 roku. Dotarcie do miasta Salz zajęło im prawie całe dwa dni. Wyczerpani podróżą znaleźli się w miejscu, które potrafiło zauroczyć każdego. Czyste, uroczne, niemieckie miasteczko - mające ok. 7 tysięcy mieszkańców - znajduje się na łagodnym wzniesieniu, otoczonym lasem. W centrum - kilka restauracji; przepiękne, wystawne witryny sklepów; poczta, bank i mały ratusz. Ulice i zabudowa utrzymane w wyjątkowej czystości; z zachowaniem starej, zabytkowej architektury. Nieopodal, ponad wszystkimi budynkami i koronami potężnych drzew - górował piękny, okazały, gotycki kościół. Ksiądz Antoni nawet nie przeczuwał, że po dwudziestu latach spokoju, ktoś zburzy mu tę sielankę; że przyjdzie mu stawić czoło trójce zdesperowanych ludzi, z którymi tak wiele go łączyło, a jeszcze więcej dzieliło.

Kiedy Grażyna wraz z dziećmi zobaczyli wyłaniające się z oddali królestwo Jońca, zaczęli się bać jego reakcji - sposobu w jaki ich potraktuje. Wiedzieli jednak, że nie mają odwrotu. Ich lęk narastał w miarę, jak zbliżali się do okazałej, dwupiętrowej posesji z dużym podjazdem. Była to plebania, stylizowana na klasyczny, niemiecki dworek. Od strony frontowej, po prawo stał duży, trzykomorowy garaż z pięknymi zewnętrznymi roletami. W ostatnim pomieszczeniu, od strony budynku stał śliczny, najnowszy model Mercedesa, lśniący czerwonym lakierem. Poza tym na podjeździe stały jeszcze dwa auta. Jedno z nich m - ki Volkswagen należało również do księdza Antoniego. Samochód ten, otrzymał od parafian „na cele służbowe”. Koszt eksploatacji oraz benzyny pokrywała również parafia.

Jakże wielkie było zdziwienie, zwłaszcza dzieci, gdy patrzyły na bogactwo swojego ojca. Joniec utrzymywał przez długie lata, iż żyje bardzo skromnie, wręcz ubogo. Grażynę i jej matkę zapewniał wiele razy, przy każdej okazji: „Moje oszczędności są u was!” Nawet do swojej rodziny w Opolu jeździł zawsze kilkuletnim, służbowym Golfem.

Po lewej stronie, za kamiennym murem, z furtką umożliwiającą wejście z boku, stała zadbana, okazała świątynia. Aby się upewnić, że zastaną proboszcza parafii, sprawdzili, o której są odprowadzane Msze Święte, ale w ciągu najbliższych kilku godzin nie było żadnego nabożeństwa. Podczas gdy obchodzili wokół całego terenu, zbierając odwagę do ostatecznego szturmu na plebanie - minął ich jakiś samochód. Rafał spojrzął na mamę, która nagle zaniemówiła, a po chwili powiedziała tylko: „...to był on”. Nie sądzili, aby Joniec jeździł aż czterema samochodami, zatem drugi z wozów stojący na podjeździe musiał należeć do kogoś

innego, kto mógł być w tym czasie na plebanii. Postanowili dłużej nie zwlekać i poszli prosto w kierunku bocznych drzwi budynku. Zadzwoiła Grażyna. Po chwili otworzyła im zadbane kobieta, w wieku około czterdziestu lat. W tym momencie pojawił się problem językowy. Znajomość niemieckiego u Karamarów, mimo iż byli z „landu opolskiego”, ograniczała się do pozdrowień, podziękowań i zapytania o drogę. Niemka z kolei nawet uśmiechała się tylko po niemiecku. Nasza trójka - jak mogła - dała kobiecie do zrozumienia, że chce się spotkać z księdzem proboszczem. Grażyna wysiliła się nawet na tłumaczenie wycieczkowego celu przyjazdu. Przedstawiła siebie jako: „Małgorzata aus Warschau, frau kolegen prist Anton, mit kinder...”. Niemka oznajmiła, że gospodarz będzie za około pół godziny i z gracją zamknęła im drzwi przed nosami.

Nie wiadomo kim była ta kobieta, być może jego „gospodynią do zadań specjalnych”. Jedno było pewne - wyszło kolejne kłamstwo Jońca, który zapewniał, iż mieszka zupełnie sam i ze względów oszczędnościowych nie korzysta z pomocy innych. Nie to było jednak teraz dla nich istotne. Przestraszyli się nie na żarty, że kiedy nadjedzie Joniec i zobaczy ich stojących przed plebanią - „da w rurę” i przepadnie gdzieś na dzień lub dwa. Ukryli się więc w pośpiechu za kościelnym murem, wypatrując nadjeżdżającego „tatuśka”. Ten zjawił się wkrótce z niemiecką dokładnością. Wjechał na podjazd, zgasił auto i szybko podążył w stronę głównych drzwi plebanii. Zaczajona polska „partyzantka” przypuściła zdecydowany atak na drzwi boczne. Otworzył tym razem sam przewielebny proboszcz Anton Jonietz.

Jest to, jak już wspominałem mężczyzna szczupły i wysoki - ok. 190 cm wzrostu, „lekko” po czterdziestce. Miał starannie zaczesane na bok jasne włosy. Ubrany był w białą koszulę, którą przykrywała dobrze skrojona marynarka z maleńkim srebrnym krzyżykiem, wpiętym w klapę. Zza okularów w poślaczanych oprawkach, popatrzyły na przybyszów nieustępliwe i zimne oczy. Również rysy jego twarzy wyostrzyły się, usta zacisnęły w jedną kreskę, a cała postać - z opuszczonymi wzdłuż tułowia rękami i otwartymi dłońmi - zdradzała objawy najwyższej determinacji. Stał tak w bezruchu jak jakiś krzyżacki rycerz; brakowało mu tylko długiej peleryny, zbroi i miecza do obcięcia ich głów. Patrzył od początku i bez przerwy tylko na Grażynę. Właściwie pożerał ją wzrokiem. Było w tym wzroku zdumienie pomieszane z gniewem, ale było też coś innego - samcze pożądanie. Tak odczytał to Rafał, a potwierdza to dziś jego mama, która poczuła się wówczas (jak zwykle zresztą w obecności Antoniego) niczym owca w norze wilka.

„Dzień dobry, czy przyjmiesz nas?” - przywitała się Grażyna, tonem zdradzającym wyraźną bojaźń. Jego odpowiedzią były coraz bardziej zaciskające się usta i drążący wzrok, skierowany w jej kierunku. Kiedy i dzieci wydukały za matką swoje „dzień dobry”; po dłuższej chwili ciszy, przemówił w końcu sam gospodarz, zwracając się ciągle w stronę kobiety: „Kto to jest...!?”

„To są twoje dzieci” - padła oczywista odpowiedź. „Nie mam czasu, za chwilę jadę na spotkanie z radą parafialną” - wycedził Joniec.

„Przyjechaliśmy z dosyć daleka i chwilę mógłbyś nam poświęcić” - wtrącił się Rafał.

„No to wejdźcie, ale tylko na chwilę, bo nie mam czasu”. „Przyjął” ich w niedużej salce, po prawej stronie korytarza.

„Czego chcecie, po co żeście przyjechali!?!” - wydarł się, jak tylko usiedli. Jego głos miał wyraźny akcent niemiecki, który później zanikał, gdy mówił spokojniejszym tonem. „Dzieci bardzo chciały cię zobaczyć, szczególnie twój syn” - wyjaśniła mama.

„Naprawdę!? Po co kłamiesz i tak w to nie uwierzę! - wybełkotał Antoni.

„To prawda, mama nie kłamie” - powiedział Rafał, który zdążył się już w miarę opanować. Spojrzał odważnie na ojca, a ten wtopił w niego swój przenikliwy wzrok. Przeniósł go następnie na mamę i wycedził z naciskiem: „I tak w to nie wierzę!”

Po chwili oznajmił, że jeżeli nie ma innego wyjścia, to pozwoli im poczekać na siebie w salce. Udał się do kuchni i przyniósł stamtąd słoik napoczętego dżemu i ćwiartkę chleba. Dosłownie rzucił to na stół takim gestem, jakim rzuca się psom kość. Wziął swój neseser, z ogromną siłą trzasnął drzwiami i pojechał. Kobieta, która była na plebanii w międzyczasie również odjechała. Zostali sami z wielkim niesmakiem, żalem, poczuciem upodlenia i poniżenia. Byli potraktowani jak bezwartościowe śmieci albo kundły, zabłąkane u obcego gospodarza. Pierwsze chwile spotkania z Jońcem rozwiały ich najmniejsze złudzenia.

To, co najbardziej uderzyło Rafała podczas kontaktu z ojcem, to zdumiewające podobieństwo siostry do tego człowieka. Te same rysy twarzy, oczy tego samego koloru, sylwetka, sposób poruszania, wykonywane gesty. Ewa była jego lustrzanym odbiciem. Chłopcu zdawało się, że kiedy ojciec na nią przelotnie spojrzeł - w jego oczach błysnęła strach, a później zarazem odraza. Dziewczyna o słabej konstrukcji psychicznej była głęboko zakompleksiona. Podłożem tego był jej ojciec.

Po tym, jak zobaczyła w nim siebie i doświadczyła na własnej skórze, jak ją nienawidzi - do chwili obecnej miewa na tym tle stany depresyjne. W czasie całej wizyty nie odezwała się ani słowem, nie patrzyła na ojca i niemal bez przerwy płakała.

Ksiądz Antoni powrócił po trzech godzinach. Być może nie był na żadnym spotkaniu, gdyż ma zwyczaj w samotności zbierać myśli. Po jego zachowaniu widać było, jak przebiegają mu one przez głowę w nieopisanym tępię. Jednocześnie demonstrował na każdym kroku swoją złość. Rzucił na około wszystkim, co wpadło mu w ręce. Oni nadal siedzieli pozornie skupieni na krzesłach tak, jak ich zostawił. Podszedł nagle zdecydowanym krokiem do Grażyny. Usidlił ją powtórnie swoim wzrokiem i krzyknął prosto w twarz: „CZEGO CHCECIE!!!???”

Kobieta próbowała nie tracić zimnej krwi - „Słuchaj Antoni, porozmawiajmy spokojnie. Przywiozłam ci dorosłe dzieci. Widzą cię pierwszy i być może ostatni raz. Nie pokazuj przed nimi, bynajmniej przez chwilę, jak bardzo ich nienawidzisz”.

Wówczas twarz kapłana przybrała przedziwny wyraz. Wyglądał tak, jakby usta miał wypełnione octem, którego nie mógł wypłuć; a jego źrenice zwężyły się jak u oślepiętego kota. On po prostu mówił wyrazem swojej twarzy. W dalszym ciągu, patrząc ciągle na Grażynę, okazywał swój gniew - „....Czego wy ode mnie chcecie!? Ja nic nie mam i nic wam nie dam! Myślicie, że jak jestem w Niemczech to mam miliony marek...!?”

„Nikt tak nie myśli i nikt - nawet jeżeli je masz - nie ma zamiaru ci ich odbierać. Chcemy ustalić tylko pewne szczegóły oraz poznać cię bliżej” - Rafał podtrzymywał „rozmowę”.

„Jakie szczegóły, o czym ty mówisz!? Więc poznaliście mnie! A teraz wynoście się!!!”

Chłopak nie dawał za wygraną - „....Pieniądze, które od ciebie otrzymujemy, w stosunku do twoich zarobków są śmieszne. Musisz wiedzieć, że chcemy się dalej uczyć i nie jesteśmy jeszcze samodzielni. Mama jest chora. Masz obowiązek utrzymać naszą rodzinę. Nie byłeś mężem dla niej, ani ojcem dla nas. Nie było cię na to stać - więc przynajmniej zrób to, na co cię stać teraz”.

Rafał był rzeczowy i opanowany. Spokojnie wyjaśniał swojemu „staremu” cel wizyty. Wydawało się, iż przejął nawet nad nim inicjatywę. Tamten zamilkł na dobre piętnaście minut. Był już późny wieczór. Przenieśli się do gustownie urządzonej kuchni. Ojciec zrobił „zonie” i dzieciom herbaty; podsunął też (dla urozmaicenia)

butelkę z wodą mineralną. Czas mijał. Zaczęła się ta sama rozmowa, podpierana podobnymi argumentami. Około drugiej w nocy Ewa zasnęła siedząc na krześle. Grażyna i Rafał poprosili, aby mogła się położyć. Antoni zdecydowanie odmówił. Miał cały czas nadzieję, że jego „goście” wyniosą się sami do wszystkich diabłów. Bał się zapewne własnoręcznie wyrzucić ich za drzwi. Dziewczyna spała więc nadal w pozycji siedzącej, podtrzymywana przez brata. On i matka byli również znużeni; odczuwali też dokuczliwe ssanie w żołądkach, ale daleko im było do senności. Wiedzieli, że tu i teraz rozgrywają się ich losy, że więcej być może nie będą mieli okazji w taki sposób porozmawiać z tym człowiekiem i wyłuszczyć mu swoje racje. Pertraktacje i wyjaśnienia nie dawały jednak żadnego rezultatu. Minęła czwarta nad ranem. Wycieńczony gospodarz wstał i bełkocząc pod nosem niezrozumiałe, niemieckie słowa zgodził się na przenocowanie rodziny. Na dobranoc powiedział bezczelnie do Grażyny: „Trzeba było przyjechać sama, byłoby inaczej...”. Podtekst tej uwagi był jednoznaczny. Mama z oczywistych względów nie chciała spać sama. Położyła się razem z córką w eleganckiej, komfortowo urządzonej sypialni.

Rafał spał w pokoju, w którym były dwie kserokopiarki. Nie zmrzążył oka do samego rana. Myślał o zdjęciu, które wisiało w kuchni nad kuchenką mikrofalową. Był na nim jego ojciec obejmujący dziewczynkę w stroju pierwszokomunijnym. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie duma, radość i szczęście - bijące z oblicza ojca. Chłopak uświadomił sobie, że po raz pierwszy widzi uśmiech na jego twarzy. „Dlaczego nie może być takim dla nas...?” - medytował. Ojciec, którego poznał, w niczym nie przypominał tego człowieka ze zdjęcia. Rafał miał do końca, tj. do spotkania z nim w drzwiach plebanii, wielką nadzieję na trwałe przełamanie lodów pomiędzy nimi. Wierzył, na przekór temu co mówiła mama, że gdy ojciec stanie twarzą w twarz ze swoimi dziećmi, obudzą się w nim choć pozory ojcowskiego instynktu. Gdzieś w głębi serca myślał nawet, iż może odzyskają

- choćby na odległość - swojego rodziciela, a przynajmniej jego akceptację, zainteresowanie ich losem, odrobinę uczucia. Przecież on był, żył! Wystarczyło tylko przełamać dzielące ich lody, ale to on był na powierzchni; do niego należało zrobienie wyłomu w tej skorupie zmarzliny, którą sam stworzył przed ponad dwudziestu laty. Oni wcale nie chcieli burzyć jego życia i powtarzali mu to setki razy. Żadne z nich, przed nikim nie przyznało się nigdy otwarcie do niego. Oni go kryli i chronili, a on ich niszczył i poniżał. Pieniądze, które im się słusznie należały, były im niezbędne do nauki, godnego życia; ale tak naprawdę, miały być tylko swoistym wyrazem uznania

ich istnienia. Bardziej od nich pragnęli odrobiny ciepła z jego strony. To, jak złudne były to nadzieje, miał potwierdzić kolejny dzień spędzony w domu ojca.

Kiedy Rafał zszedł rano do kuchni, Joniec już tam siedział pochylony nad filiżanką kawy. Popatrzył na syna nieco bardziej przychylnym wzrokiem niż poprzedniego dnia. Wydawał się być zagubiony i przytłoczony ciężarem własnej rodziny. Zeszła również Grażyna z Ewą. Antoni zaproponował kawę. Usiedli do „suto” zastawionego stołu. Leżało na nim kilka butek i ten sam słoik dżemu. Kobiety przegrały walkę z głodem i poczęstowały się pieczywem. Rafał nie mógł nic przełknąć, poza paroma łykami kawy. Chłopiec zauważył kątem oka, że obrazek, który wczoraj tak go zaintrygował, gdzieś zniknął. Joniec, swoim zwyczajem, zaczął świdrować Grażynę przekrwionymi od niewyspania oczyma. Około ósmej na plebanie przyjechał młody mężczyzna, będący (według wyjaśnień proboszcza) stałym pracownikiem na utrzymaniu parafii. Pracował przy komputerze

- drukując różne informacje, ulotki i teksty pieśni. Nawiasem mówiąc, Rafał naliczył w ośmiu pomieszczeniach plebanii - cztery oprzyrządowane komputery i tyleż kserokopiarek.

Atmosfera tego ranka i popołudnia była nieznośna i przygnębiająca zarówno dla gości, jak też dla ich gospodarza. Zaczęły się te same rozmowy; owijanie w kółko tych samych tematów.

„...Po co żeście przyjechali?” - Joniec do znudzenia zapewniał ich o swojej niemieckiej gościnności. „...Nic wam nie dam, bo nic nie mam... Gdyby nie ja, to byście z głodu poumierali! Rujnujcie mi życie! Dajcie mi w końcu święty spokój! Chcecie mnie zniszczyć!?” itp.

Rafał odpowiedział mu, że gdyby tego chcieli, nie musieliby przyjeżdżać do niego, ale załatwiliby sprawę na miejscu, nagłaśniając ją do maximum. „Nie chcemy zakłócać ci spokoju; mamy szacunek dla twojego kapłańskiego stanu. Możesz tu mieszkać i być księdzem do końca życia; cieszyć się szacunkiem swoich parafian” - zapewniał go chłopak.

Później Joniec próbował wmówić Grażynie, że wie od kogoś z Polski, jak to ona rozgłasza wszystkim - z kim ma dzieci. Pobiegł na górę i przyniósł mały skrawek papieru, na którym było napisane imię Rafała. Miał to być dowód na jej rzekomą zdradę. Chwilami zachowywał się jak obłąkany. Potrafił nie odzywać się dwadzieścia minut, trzymając twarz w dłoniach, w których tkwił zapalony papieros. Wbiegał nagle na schody prowadzące na piętro; siadał na nich i z głową między kolanami zastygał w

bezruchu na pół godziny. Krzyczał; przeklinał po polsku i niemiecku; zarzucał Grażynie błędy w wychowaniu dzieci. Na to ostatnie ona nie wytrzymała i odpała mu „wiązanek”:

„Nie masz prawa mnie osądzać! Nie dołożyłeś ręki do ich wychowania. Przez dwadzieścia lat nie zapytałeś o nie ani razu; nie odwiedziłeś ich; nie dałeś żadnej zabawki! To ja poniosłam cały trud wychowania naszych dzieci - w biedzie i poniżeniu, które żeś mi zafundował! Dzieci są grzeczne, kulturalne i ułożone ...i to tylko dzięki mnie i mojej mamie! Ty od początku chciałeś je pozabijać! I teraz chętnie też byś to zrobił...!”

Rafał po raz ostatni próbował go spokojnie przekonywać i porozumieć się z nim - „...Chcemy, abyś zrozumiał naszą trudną sytuację. Jeśli nie chcesz mieć z nami żadnego kontaktu, bo nas nienawidzisz, to przynajmniej zwiększ o połowę kwoty, które nam przysyłasz. To już nam w jakiś sposób pomoże. Przecież nie dostajemy nawet dziesiątej części twoich dochodów. Zrozum, że nie czujemy do ciebie nienawiści i potrafimy zrozumieć to, co się stało, ale daj nam żyć! Mama jest chora - potrzebuje lekarstw. My powinniśmy się dalej uczyć. Twoja córka kilka dni temu miała dziewiętnaste urodziny; bardzo chce iść na studia...”.

„Co mnie to wszystko obchodzi! Radźcie sobie sami; ja nie mam więcej pieniędzy! Myślicie, że mam miliony marek!...” - powtarzał do znudzenia Joniec.

„...Nie chcemy twoich milionów, ale nie wciskaj nam, że klepiesz tu biedę. Co robi ten nowy Mercedes w garażu!” - zdenerwował się chłopak - „...nie rób z nas wariatów; nie przyjechaliśmy tu po jałmużnę, którą nas karmiłeś przez lata. Nie chcemy nawet części tego, co nam się słusznie należy. Wiesz ile byś musiał płacić alimentów!?...”

Joniec zerwał się z krzesła i zaczął gorączkowo przetrząsać szuflady. Znalazł kluczyk od Mercedesa i cisnął nim w Rafała. „...Weź go sobie! Zabierz wszystko...!!!” Wydarł się na całe gardło i wybiegł z kuchni. Być może bał się, że Rafał będzie chciał dokumenty od auta i akt darowizny lub sprzedaży „merca”. Był jednak zbyt inteligentny i zbyt dobrze znał się na ludziach (ukończył na studiach psychologię), aby nie wiedzieć, co chłopak sobą reprezentuje. Nie należy on do takich, którzy bezpardonowo wykorzystują podobne okazje; jest wrażliwy i bardzo ułożony - jak na młodego człowieka, który żyje od zawsze z jarzmem bękartów. Zresztą, nie oszukujmy się! Gdyby przyszło co do czego - Joniec biegłby za tym Mercesem pieszo do samej granicy!

Nikt nie ma chyba najmniejszych złudzeń, jakiego rodzaju człowiekiem jest nasz bohater. To klasyczny przykład chorobliwego materialisty - dusigrosza, który uczucia wyższe zamienił na dewizy. Mogę coś o tym powiedzieć, ponieważ rozmawiałem z nim osobiście przez telefon; a poza tym, same fakty mówią za niego. Znam doskonale taki typ „duszpasterzy”, którzy opiekę nad powierzonym im „stadem” ograniczają do hipokryzji, wciskania tanich frazesów, a nade wszystko do „postrzyżyn”. Ksiądz Antoni jest tak daleki od postawy opiekuńczego ojca - jak cały Kościół, któremu z taką wytrwałością służy - daleki jest od nadziei pokładanej w nim przez Chrystusa, jego Założyciela. Jońcowi zabrakło nawet poczucia odpowiedzialności i elementarnej sprawiedliwości, jaką winien okazać swoim „najbliższym”.

Grażyna i jej dzieci zrozumieli, że do tego człowieka nic nie może dotrzeć. Istniały na to dwa wytłumaczenia: albo sam jest głęboko przekonany o swojej racji - robiąc z siebie ofiarę, a nie sprawcę; albo też (na co dawał wymowne dowody) celowo „rżnie głupa” przed nimi.

W każdym razie dalsze przeciąganie wizyty było bezcelowe. Być może on sam zostawił ich na dłuższy czas, aby doszli razem do tego wniosku. Korzystając z jego nieobecności, obejrzeliby dokładnie jeszcze kilka oprawionych w ramach fotografii, rozwieszonych w różnych częściach kuchni i korytarza. Na jednej z nich przewielebny proboszcz parani Salz otoczony był grupką swoich „owieczek”, które zdawały się być zachwycone swoim pasterzem. Kolejne zdjęcie przedstawiało go, jak przewodzi orszakiem ludzi świętujących zniwa. Żył tu rzeczywiście jak „pączek w maśle” (to jedno z jego ulubionych powiedzeń), mając zupełnie czyste konto. Dlaczego nie pozwala żyć innym? Tym, o których powinien troszczyć się na pierwszym miejscu!? Czy tego zabrania mu jego wiara!? Być może etyka kapłana Kościoła Rzymsko - - Katolickiego, ale: wiara, sumienie, godność!??

Z zadumy nad osobą ojca wyrwał ich jego głos: „Nie dam wam nic, bo was nienawidzę! Słyszycie: NIENAWIDZĘ WAS!!! Wasza wizyta jest napaścią na moją prywatność. Nie mieliście prawa tu przyjeżdżać...!!!” Nie pozostało im nic innego, jak tylko opuścić plebanię, co też spieszenie i w milczeniu uczynili. Ksiądz Antoni nie krył swego zadowolenia, kiedy otwierał im drzwi.

Byli wycieńczeni fizycznie i nerwowo. Głód trawił ich żołądki. Wyszli na ulicę jak wypędzone z domu psy; chociaż w Niemczech psy traktuje się o niebo lepiej. Zostali poniżeni i sponiewierani przez najbliższego im człowieka. Kapłan - ich ojciec

- udowodnił im, że są przez niego nie chciani i znienawidzeni.

Gdy Rafał - który spośród nich wiązał największe nadzieje na spotkanie z ojcem - uzmysłowił sobie to wszystko co się stało, rozplakał się jak dziecko.

Minęły trzy tygodnie od wizyty Karamarów u Jońca. Nie było godziny, żeby Rafał nie analizował jej przebiegu. Im dłużej myślał, tym mniej rozumiał swojego ojca. W ciągu swojego 23 - letniego życia nigdy nie zetknął się chyba z tak podłym człowiekiem, z taką ludzką znieczulicą! To było dla niego nie do pojęcia! Doszło do tego, iż znów zaczął wierzyć w Jońca - w jego przemianę. Łudził się, że tamten przemyślał całą sprawę. Zadzwoił do ojca, aby się więcej nie dreczyć.

„Dobry wieczór. Czy myślałeś o tym, o czym rozmawialiśmy u ciebie” - zapytał z nutką nadziei w głosie.

„Tak. ...Przez własną głupotę - przyjeżdżając do mnie - spowodowaliście to, że zaniżam wam wysyłaną kwotę do połowy. Zostaniecie w ten sposób ukarani” - brzmiała rzeczowa odpowiedź.

Rafał nie odezwał się na to ani słowem. Po prostu oniemiał. Zadzwoił jeszcze za kilka dni oznajmiając, iż nie zostawi tej sprawy w ten sposób; nie pozwoli niszczyć siebie i swoich najbliższych. „Jestem gotowy powiedzieć o tym całemu światu - w jaki sposób ksiądz katolicki postępuje ze swoimi dziećmi. Nie powstrzymasz mnie! Nie zastraszysz, jak moją mamę!!!” - krzyczał po raz pierwszy, w jakimś akcie rozpacz i samoobrony.

Ten telefon spowodował niespodziewany przyjazd Jońca do Nysy. Rafał stojący przed domem nie wierzył własnym oczom. Gość bezceremonialnie zażądał spotkania z Grażyną. Chłopiec wiedział już czym to pachnie. Postanowił za wszelką cenę nie dopuścić do spotkania tych dwojga. Antoni miał nad jego matką ogromną przewagę i doskonale o tym wiedział. Wykorzystywał to wielokrotnie bez żenady. Potrafił ją zakrzyczeć i wymusić posłuszeństwo. Bazował na tym, że jest od niego zupełnie uzależniona. Było coś jeszcze, o czym Joniec nie wiedział. Grażyna w głębi serca pozostała małą, dziewięcioletnią dziewczynką, zgwałconą bezkarnie przez księdza. Ona przyzwyczała się być ...ofiara kapłanów, którzy - niczym dawniej greccy bogowie - robią co chcą z „córkami ludzkimi”.

Rafał przez pięć dni dosłownie ukrywał matkę przed presją Antoniego. Kapłan, przestraszony determinacją syna, chciał wymóc na Grażynie jego milczenie.

Kiedy ich sytuacja materialna stała się katastrofalna, Rafał - który w międzyczasie stracił pracę - zadzwonił po raz kolejny i ostatni. Odpowiedzią na jego

poniżenie były spokojne, wyważone słowa księdza Jońca:

„Nie obchodzi mnie wasze życie. Dajcie mi spokój. Zapomnijcie o moim istnieniu”.

Czy myślał tak, kiedy chciał po torach kolejowych iść do swojej „CZARNEJ MADONNY?”

Niech ta historia będzie przestroga dla tych wszystkich, którzy patrzą bezkrytycznie na swoich duszpasterzy, widząc w nich chodzące anioły, pozbawione ziemskich przywar i wad. Niech będzie to przestroga dla zagorzałych obrońców celibatu i innych wynaturzeń w Kościele Katolickim. To właśnie wynaturzony system tego Kościoła, płodzi wynaturzonych ludzi pokroju księdza Jońca.

Ciekawy jestem, jak wielu z Was zdawało sobie sprawę, że ksiądz może być tak podły w stosunku do innych ludzi. Ci inni - to jego dwoje dzieci i kobieta, z którą współżył bez żadnej odpowiedzialności. Ci inni - to troje ludzi znienawidzonych przez Kościół i jego kapłanów; wytykanych palcami, wyśmiewanych i poniżanych przez „prawowiernych” Katolików, którzy między innymi w taki właśnie sposób wyrażają swoją „gorliwość”.

Oby to, co zostało napisane, pobudziło do myślenia zapatrzone w swoich „księżulków” dziewczęta i kobiety, którym dobrze skrojona sutanna i ładna, „breviarzowa” - kapłańska buzia, potrafi przesłonić cały świat.

Niech ta historia będzie w końcu przestroga dla samego księdza Antoniego, jak i jemu podobnych. Pamiętajcie, Drodzy Kapłani - aby móc coś powiedzieć, nie trzeba wcale mówić z ambony!

* * *

Na życzenie pani Grażyny Karamara zamieszczam jej pismo i - zarazem ostrzeżenie:

„Jeżeli ktokolwiek - nie wyłączając władz kościelnych i osób duchownych - po ukazaniu się książki, naruszy w jakikolwiek sposób moją prywatność i godność osobistą; będę zmuszona skorzystać z szeroko proponowanej pomocy mediów, aby obronić siebie i dobre imię moich dzieci. Ujawnię wówczas publicznie wszystko to, co złożyło się do tej pory na cały nasz dramat - wraz z wszelkimi szczegółami”.

Grażyna Karamara

Grażyna w ciąży z Rafałem

Ewa

Rafał

Przekaz na dwoje dzieci „po podwyżce”

ROZDZIAŁ II

W SŁUŻBIE BOGU I KOŚCIOŁOWI

Podczas mojego pobytu w dwóch seminariach duchownych, a później w kapłaństwie, miałem możliwość obserwować życie i zachowanie siostr zakonnych. Jako ksiądz wiele z nich spowiadałem. Wzajemne kontakty kleryków i księży z zakonnicami są na porządku dziennym, zwłaszcza w parafiach gdzie one pracują. Siostry są zresztą wszędzie

- prowadzą domy rekolekcyjne, uczą w szkołach religii, urzędują w kurialnych biurach, wyszywają szaty liturgiczne, sprzedają dewocjonaalia, są przewodnikami po sanktuariach, pokojówkami biskupów itp. itd. Te, które są odgrrodzone od świata wysokimi murami (np. kontemplacyjne Karmelitanki) muszą być niemal samowystarczalne

- hodują krowy, świnie i drób. Przede wszystkim jednak odmawiają mnóstwo najróżniejszych modlitw.

Mieszkając i pracując w parafiach (zawsze w mniejszych lub większych grupach) wykonują przeważnie prace typowo fizyczne

- sprzątają świątynie, układają kwiaty w wazonach, piorą „bieliznę” kościelną i... kapłańską, uprawiają przykościelne ogródki itp. Oczywiście za swoją pracę otrzymują od proboszczów wynagrodzenie, ale są to na ogół psie pieniądze, które i tak muszą oddać swojej „górze”.

Każda grupa siostr ma swoją przełożoną, a wszystkie (w jednym zgromadzeniu, np. Nazaretanek czy Szarytek) podlegają tzw. matce generalnej. Daleka jest jednak droga do hierarchicznych wyżyn w zakonach żeńskich. Wszystkie siostry muszą skończyć (z reguły od razu po szkole podstawowej) kilkuletni okres przygotowania, tzw. nowicjat. Potem są wyznaczane przez matkę generalną do różnych zajęć w różnych częściach kraju, a nawet świata - tam, gdzie określone zgromadzenie czy zakon ma swoje przyczółki. Zakonnice nobilitowane do dalszej kariery i wyższych sfer habitowych kończą dzisiaj wyższe studia, uniwersytety i uzyskują tytuły naukowe. Takie nieliczne „rodzynki” są wybierane i kierowane do dalszej nauki tylko i wyłącznie według uznania swojej matki generalnej, która może zrobić wszystko z każdą siostrą - tak jak biskup z księdzem. Ulubienice „mateczki”

zarabiają później znacznie więcej od swoich koleżanek; zostają zwykle przełożonymi w domach zakonnych - mają więc władzę (obok pieniędzy to najważniejsza rzecz w Kościele!), a w przyszłości jedna z nich zajmuje miejsce samej matki chlebobawczyń.

Nie sugeruję, broń Boże, że młode dziewczyny idą do zakonu dla kariery - wręcz przeciwnie! Władza absolutna nielicznych wybranek i ich nieograniczony (jak w przypadku biskupów) dostęp do zakonnej kiesy to znowu tylko konsekwencja feudalnego ustroju Kościoła. W przeświadczeniu ogromnej większości ludzi zakonnice mają po prostu „przerąbane”. I tak, obiektywnie rzecz biorąc, jest w rzeczywistości. To, że „siostrzyczki” muszą zapomnieć o dwóch, chyba największych instynktach - seksualnym i macierzyńskim - to tylko pół biedy. Druga połowa to styl życia jaki prowadzą. Przeciętne, szare zakonnice są na ogół wykorzystywane przez matki generalne, biskupów, proboszczów i własne przełożone do ciężkiej, często niewolniczej pracy. Siostry, zwłaszcza młode, są prawdziwymi popychadłami i pomiotłami. Poniża się je i przeznacza do najgorszych prac. Dopiero po latach, jeśli potrafią rozpychać się w życiu łokciami, wyrabiają sobie bardziej uprzywilejowaną pozycję i zazwyczaj ... odbijają minione zniewagi na młodszych koleżankach.

Będąc księdzem spowiadałem co najmniej kilkadziesiąt zakonnice. Spowiedzi te były dla mnie, nie waham się to stwierdzić, najtrudniejsze i najbardziej wstrząsające. Osobiście znam też dokładnie kilka przypadków prawdziwych ludzkich tragedii w wydaniu zakonnym.

Pewnego razu, w mojej rodzinnej parafii - gdzie od lat mieszkają i pracują siostry - pojawiła się młoda, może 17 - letnia „nowicjuszka”, ładna i miła dziewczyna w habitcie o zakonnym imieniu Anna. Objęła odpowiedzialne stanowisko zakrystianki w stosunkowo dużej świątyni. Miała wiele naprawdę wyczerpujących obowiązków: sprzątania, prasowania, dekoracje, układanie kwiatów, przygotowanie liturgii, a nad sobą bardzo wymagającego i szorstkiego proboszcza. Matka przełożona puściła ją od razu na głębokie wody i zagnała do najcięższych prac. Mimo to Ania przez kilka miesięcy dzielnie się trzymała, nie traciła pogody ducha. Lubili ją wierni, ministranci i księża wikariusze (z wyjątkiem proboszcza). Ja byłem wówczas po 4 - tym roku seminarium, a pierwsze miesiące pobytu młodej siostry w parafii przypadły na moje wakacje. Starłem się jak mogłem ulżyć jej w obowiązkach, pomagając przy cięższych pracach, ale od kiedy proboszcz zmroził mnie zimnym i podejrziwym wzrokiem przy okazji takiej pomocy, musiałem spasować.

W miarę, jak zbliżał się mój wyjazd do seminarium coraz częściej widziałem smutek w oczach dziewczyny. Traciła swój naturalny entuzjazm i radość życia. Coraz częściej brakowało jej cierpliwości i zapału do pracy. Mimo, iż sporadycznie zaczęła zaniedbywać swoje obowiązki - nie mogłem patrzeć, jak proboszcz „objeżdża” ją na całą zakrystię i traktuje gorzej niż sprzątaczkę. Wyczułem również wyraźne napięcie w jej kontaktach z pozostałymi siostrami, które prawie się do niej nie odzywały, a przełożona kiedyś ostro ją ofuknęła. Przed wyjazdem próbowałem z nią o tym wszystkim porozmawiać, ale zakryła twarz dłońmi i zaczęła cicho łkać - „Może ja się do tego wszystkiego nie nadaję? ...chyba się nie nadaję!” Chciałem ją jakoś pocieszyć, ale robiła wrażenie kompletnie załamanej. Opuściłem parafię pełen najgorszych obaw.

Kiedy wróciłem po miesiącu, zastałem sytuację bez zmian z tym, że dziewczyna była już wtedy strzępkiem nerwów. Żał było patrzeć, jak to dorastające, ale jeszcze dziecko męczy się w brutalnym świecie dorosłych i ...duchownych. Odbyłem z nią wówczas długą i szczerą rozmowę, która jeszcze bardziej mnie zasmuciła i podłamała. Młoda zakonnica z wielkim bólem, łamiącym się głosem opowiedziała mi historię swojego powołania.

Wychowała się razem z trójką rodzeństwa w biednej, wiejskiej rodzinie. Głowa tej rodziny - jej ojciec - ciągły niedostatek i szarość życia notorycznie topił w alkoholu. Zagłuszyć troski paroma głębszymi nie jest żadnym problemem, ale pełny efekt przynosi dopiero solidne odreagowanie. W tym celu „odpowiedzialny” mąż i rodziciel systematycznie obijał całą rodzinę, ze szczególnym uwzględnieniem żony. Dzieci, jak to zazwyczaj bywa w takich wypadkach, były poniewierane i wiecznie zastraszone. Ania, będąc najstarszą z rodzeństwa, chyba najdotkliwiej przeżywała ciągłe awantury i bijatyki w domu. Nigdy nie zaprosiła do siebie żadnej koleżanki - tak bardzo wstydziła się swojego ojca. Patrząc na realia życia rodzinnego, na trwałe obrzydziła sobie małżeństwo. Któż chciałby jednak spędzić życie w samotności. Jedynym sensownym rozwiązaniem jej przyszłości (tak jej się przynajmniej wówczas wydawało) była więc żeńska wspólnota zakonna.

Bez wahania i żalu opuściła bliskich, aby tuż po skończeniu podstawówki wstąpić do nowicjatu Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek. Nowe środowisko rówieśniczek na nowej drodze życia odmieniło dziewczynę nie do poznania. Nareszcie mogła na trwałe wyzbyć się uczuć, które do tej pory zatruwały jej życie - wstydu, strachu i upokorzenia. W nowicjacie nie mówiło się wiele o swoich rodzinach

i przeszłości, było to nawet zakazane przez przełożone - idąc za Jezusem nie wolno oglądać się wstecz. Ania wiedziała jednak, że wśród jej nowych koleżanek wiele jest takich, które (podobnie jak ona) nie doświadczyły w swoich rodzinach miłości i nie widziały tej miłości pomiędzy swoimi rodzicami. Nie widząc blasków, a jedynie cienie życia małżeńskiego - zraziły się do mężczyzn i małżeństwa. Wołały żyć w spokoju i stabilizacji, rezygnując nawet z macierzyństwa, które to uczucie było jeszcze wtedy im obce.

Paradoksalne, ale prawdziwe było to, iż te dziewczyny nie miały w ogóle żadnego powołania do życia w służbie Bożej. To jednak nie było wielką przeszkodą, gdyż nowicjaty zakonne, tak jak seminaria duchowne, wychowują raczej do życia dla instytucji, a nie dla wzniosłych idei.

W nowicjacie znalazły również swoje ukojenie dziewczyny po przeżytych zawodach miłosnych, np. porzucone przez swoich ukochanych - jedynych” chłopaków; a także - przepraszam najmocniej brzydule, nie mające większych szans na mariaż z kimś nieznacznie choćby przystojniejszym od małpy czy Frankensteina. Niestety taka jest prawda. Po prostu - samo życie.

Obie te grupy dziewcząt na różne sposoby adaptowały się do niełatwych przecież warunków życia w zakonie. Ich dotychczasowe życie religijne ograniczało się do tej pory do kilkunastosekundowego, codziennego pacierza i niedzielnej Mszy (a i to nie zawsze). Tymczasem w nowicjacie zmuszone były „klepać” najróżniejsze modlitwy po 5 - 6 godzin dziennie, uczyć się ręcznych robótek, sprzątać, zmywać, prać, gotować itd. Generalna zasada we wszystkich zakonach męskich i żeńskich brzmi: «odpoczynkiem po pracy jest modlitwa i na odwrót».

Zakonnicy i siostry zakonne nie zarabiają tyle co księża diecezjalni, muszą więc być - przynajmniej w jakimś stopniu - samowystarczalne. Oczywiście, znakomitym wyjątkiem są zakonnicy pracujący w sanktuariach (np. Licheniu lub Częstochowie), którzy zarabiają niewyobrażalne pieniądze, nota bene - praktycznie nieopodatkowane. Rodzi to ogromne, wzajemne antagonizmy pomiędzy zakonnikami, a księżmi diecezjalnymi (zwłaszcza proboszczami sąsiadującymi z sanktuariami), którzy są chorobliwie zazdrośni o wypchane skarbce mnichów.

Ale wracając do dziewczyn - zmuszone były przywyknąć do nowego sposobu życia, a także do innych radości, potrzeb, marzeń i snów. Niektóre nie wytrzymały i odchodziły, ale większość się przyzwyczajała i adoptowała. Podobnie jak w seminarium - prawdziwym magnesem i oparciem, a jednocześnie źródłem

największych (dla wielu jedynych) chwil szczęścia - była obecność rówieśniczek. Grupy zaufanych przyjaciółek trzymały się dzielnie i zazwyczaj do końca. Wspólny los, te same radości i smutki łączą, jak nic innego. Rezultat był taki, że dziewczęta nie mając powołania, a często nawet prawie niewierzące, stawały się przykładnymi zakonnkami, spełniającymi nienagannie swoje obowiązki. Tylko niewielka część dziewcząt, w tym nasza bohaterka Ania, odnalazły wiarę i poczuły powołanie podczas długich modlitw, adoracji i rozmyślań.

Nie wspominałem do tej pory o tych, które zapukały do zakonnej furty idąc za głosem Bożego wezwania, i które nie wyobrażały sobie życia poza zakonem. Niestety, czas miał boleśnie zweryfikować ich wyobrażenia o drodze powołania, a realia i proza zakonnego życia - zabić największe ideały. Paradoksalnie bowiem, to właśnie one dużo gorzej czuły się w nowicjacie, a zwłaszcza później - w domach zakonnych. Ból fizyczny - cielesny, choćby największy, nie może się równać z bólem duszy i całego jestestwa; kiedy w grzyby wali się wyobrażenie o sensie własnego życia, a także wiara w Boga i drugiego człowieka. To właśnie utrata wartości i ideałów zakorzenionych w Bogu oraz tych związanych z osobistym powołaniem człowieka jest źródłem największego cierpienia.

Według relacji Ani, a także innych siostr, z którymi rozmawiałem,

- pierwsze miesiące pobytu w zakonie są dla wszystkich miłe i radosne.

Starsze siostry przełożone starają się zrobić jak najlepsze wrażenie. Wiele jest ciepła i serdeczności we wzajemnym odnoszeniu się do siebie. Opiekunki, w kontaktach z młodymi dziewczętami, namawiają do nieskrępowanej otwartości i szczerości. Nad ławicą młodego „narybku” pragną roztoczyć pozorny parasol ochronny, aby skutecznie uspić czujność kandydatek, a one - myśląc, że są w niebie

- otwierają się całkowicie. Ich intencje są nieklamane. Pełne ufności, chcą stanąć w prawdzie przed sobą i innymi, aby z czystym sercem rozpocząć wreszcie nowe, naprawdę wartościowe życie. Siostry przełożone uważnie obserwują w tym czasie swoje podopieczne; skrzętnie, na piśmie notują ich zwierzenia; oceniają charakter, temperament i tzw. przydatność do urobienia; próbują wyważyć - do czego każda z nich może być zdolna, czy nie jest chwiejna, słaba itp. Na podstawie tych obserwacji i badań robi się wkrótce przesiew - przez oka sieci odpływa mniej wartościowy (zdaniem przełożonych) „towar”. Może taki wyrachowany sposób nienaturalnej selekcji wyda się komuś nie na miejscu. Nic w tym rodzaju! Starszawe matrony w habitach (wzorem seminaryjnych belfrów) mają zawsze jedno i to samo

wytłumaczenie - „DOBRO KOŚCIOŁA”. W tym przypadku cel zawsze uświęca środki. Nie ważne, że po drodze można zdeptać parę niewinnych, ufnych istot.

Ania opowiadała mi o swojej najlepszej przyjaciółce Krystynie, która „jak na spowiedzi” otworzyła się przed przełożoną nowicjatu. Dziewczyna zwierzyła się „mateczce” m.in. ze swojej zawiedzionej miłości. Miała chłopca, w którym zakochała się „na zabój”. Ten jednak ...niedowiarek jeden... chciał od niej dowodu miłości. Dostał go tylko raz i ... odszedł. Przypadek jakich tysięcy. Najgorsze, że Krysia popełniła podobny błąd po raz drugi, z innym chłopcem i podobnie pokarał ją los. Wyznała przełożonej z całą otwartością, iż fakty te były bezpośrednim powodem jej wstąpienia do zakonu, ale kiedy już się tutaj znalazła odczuła prawdziwe powołanie, przebaczenie i Łaskę Boga. Była bardzo szczęśliwa, że odnalazła swoje miejsce na ziemi i drogę, którą pragnie iść z całego serca. Niestety „mateczka” uznała Krystię za „nieodpowiedzialną” oraz „niebezpieczną na przyszłość” i przy najbliższej okazji - usunęła. Postąpiła „dokładnie” jak sam Pan Jezus, który „ukamienował jawno grzesznicę i wykopał ją z miasta”. Takich przykładów bezdusznego traktowania autentycznych powołań, faryzejskiego podejścia do prawa i przykazań oraz deptania przy tym ludzkich losów - mogę przytoczyć znacznie więcej.

Po wstępnym przesiewie w nowicjacie następuje zasadniczy przełom. Siostry przełożone przestają grać potulne ciocie klocie i biorą się ostro za szlifowanie pozostałego „materiału”, uznawszy wcześniej jego przydatność. Dziewczętom natomiast otwierają się oczy i schodzą na ziemię. Nigdy już nie odzyskają dawnego entuzjazmu i radości; ich miejsce zapełni teraz przygnębienie i smutek. Stopniowo coraz mocniej staną na nogach. Nie będą się więcej łudzić, że odnalazły raj na ziemi. Ania oddała to takimi słowami: (...)

„To miejsce wydało mi się wówczas może nie tak cudowne, jak na początku, ale zaczęłam dostrzegać jego inne walory i korzyści wynikające z mojego tam pobytu. Przypomniałam sobie pijanego ojca, który oddaje mocz na skatowaną, leżącą na podłodze matkę. Na świeżo w pamięci miałam także ciągłe uczucie niedożywienia, strachu i wstydu przed całym światem. Tak więc na nowo, nie bez pewnego wyrachowania, skalkulowałam sobie pierwotne motywy mojego wejścia za klasztorną furte. Wiedziałam, że podobnie kombinują inne siostry. Ciężko tylko było patrzeć, jak te najbardziej „święte”, „ideowe” - gorszyły się, upadały na duchu i stopniowo rezygnowały tak ze świętości, jak i z ideałów. Siostry przełożone coraz częściej sprowadzały nas na ziemię. „To nie jest przytułek dla darmozjadów, tu trzeba ostro

zapieprzać żeby dostać papu” - przekonywały nas często starsze opiekunki. Nawet się nie spostrzegłyśmy kiedy ich mentalność, a nawet obcesowe, grubiańskie zachowania - stały się naszymi. Tylko nielicznym udało się uchronić resztki godności, najcenniejszych wartości ludzkich i osiągnąć jakiś poziom życia duchowego”(…)

Ania i jej koleżanki, które dotrwały do końca dwuletniego okresu nowicjatu, po złożeniu ślubów zakonnych, z nadzieją pojechały do swojej pierwszej pracy w terenie. Każdej zmianie pracy czy środowiska towarzyszy taka nadzieja, a później ... tęskni się do przeszłości. W przypadku naszych młodych sióstr zakonnych ta tęsknota była szczególnie silna, gdyż w ogromnej większości trafiły one z tzw. deszczu pod rynnę - czyli do domów zakonnych, gdzie były służącymi - tak jak w nowicjacie - z tą tylko różnicą, że same obsługiwały kilka starych „kwok”. Ani wyjątkowo doskwierał brak przyjaciółek. Nie miała nikogo przed kim mogłaby się otworzyć, porozmawiać; nie mówiąc już o wspólnym przeżywaniu radości, beztroskim śmiechu, żartach i dziewczęcych szczebiotach, których przecież nie brakowało, nawet w takim miejscu jak nowicjat. Kiedy trafiła do mojego miasta, zamieszkała z pięcioma zakonnicami, z których jedna mogła być jej matką, a pozostałe - prababkami. Stare babsztyłe pomiały ją na wszystkie strony - oprócz najcięższej pracy w kościele, Ania musiała utrzymywać w czystości niemal cały wielki dom, pielęgnować ogródek, myć i ubierać dwie najstarsze „koleżanki”. W podziękowaniu otrzymywała nierzadko: krzyk, wyzwisko, a czasem nawet policzek. Wytchnieniem były tylko modlitwy i codzienne spacerunki ze świątyni do domu i z powrotem. Wieczorem, kiedy położyła się do łóżka, zasypiała kamiennym snem. Tak zresztą wołała - nie chciała marzyć ani nawet śnić, bo przebudzenia byłyby zbyt bolesne. Dziewczyna popadła w najbardziej destruktywny rodzaj depresji. Była bezwolna, kompletnie zrezygnowana, nie miała już siły się bronić. Nie pomagała jej ani modlitwa, ani resztki wiary w Boga, które udało jej się uchronić żyjąc pośród Sióstr Niepokalanek.

Tak, drodzy Czytelnicy, życie w zakonie - miejscu, które zdawać by się mogło z racji swego charakteru - powinno być niemal święte, niczym szczególnie różni się od Waszych domów, a Wasze rodziny - od rodzin zakonnych. Jeśli kiedykolwiek Myśleliście, że ludzie (mężczyźni i kobiety), którzy przebywają w zakonach i klasztorach są ulepieni z innej gliny - to Żeście się sromotnie mylili! Większość z nich posiada najgorsze cechy charakteru - są zgorzkniali, samolubni i nieludzko uszczypliwi, a ich moralność stoi zazwyczaj dużo niżej w porównaniu z ludźmi świeckimi, żyjącymi w normalnych warunkach. Z pewnością poszli za klasztorną

furtę nie dla kariery ani po pieniądze; większość pokierowało autentyczne powołanie. Nie przeszkadza im to jednak w byciu „normalnymi ludźmi” - pić, palić, wzniecać awantury, kłamać, bić, nienawidzić, rzucać oszczerstwa, zazdrościć, pożądać i ulegać pożądaniom. Czas zadać kłam utartym stereotypom. Możecie się śmiało pocieszyć, iż ci ludzie niczym szczególnym się od was nie różnią (bez obrazy!), może oprócz warunków w których żyją. Właśnie to inne (nie do końca normalne) życie jest powodem ich zmanierowania, malkontenctwa, deformacji charakteru, zbroceń seksualnych, dziwactw itp. Mało kto wie na przykład, że do niedawna jeszcze w jednej ze wspólnot żeńskich reguła zakonna zabraniała siostronom podmywania krocza i mycia piersi

- „aby nie wzbudzać grzesznych pożądań”.

Nowicjaty, klasztory i domy zakonne nie są oazami miłości chrześcijańskiej z dwóch prostych powodów - tam gdzie jest człowiek, tam zawsze jest słabość i grzech, a nienormalne środowiska w naturalny sposób sprzyjają nienormalnym zachowaniom. Naprawdę wartościowi ludzie w habitach i sutannach to ci, którzy choć w niewielkim stopniu, potrafią zachować swoje ideały i szczerze intencje

- towarzyszące im u progu drogi powołania, a przede wszystkim

- zdając sobie sprawę ze swojej słabości - nie robią z siebie świętych męczenników i nieomylnych stróżów moralności.

Czy Myślicie, że kontemplacyjnie schyleni, zakapturzeni mnisi o brewiarzowych twarzach nie marzą o baraszkowaniu w łóżku z młodą dziewczyną? A młode zakonnice - nie drżą na myśl o męskich organach orzających ich zarastające szparki? Marzą i myślą o wiele częściej niż zwykli ludzie bo - jak świat światem - głodnemu był zawsze chleb na myśli, a podobno jedzenie chleba i seks to dwie największe potrzeby człowieka. Spowiadałem kiedyś jedną zakonnice, która wyznała, że od wielu lat prześladowa ją notorycznie pewna wizja

- młody, przystojny mężczyzna wkładający rękę pod jej habit i pieszczący przyrodzenie. W takich chwilach, gdy jest sama, nie może oprzeć się pokusie i robi to sama - onanizując się własną dłonią. Onanizm jest zresztą najczęściej wyznawanym grzechem tak księży, jak też zakonników i zakonnice. Na pewno te ostatnie o wiele rzadziej uprawiają czynnie seks z mężczyznami, a jeśli już - są to z reguły księża, ale wynika to przede wszystkim z zamkniętego, wspólnego życia jakie prowadzą.

Ta żeńska wspólnotowość, tak jak w przypadku seminariów czy zakonów męskich, owocuje w naturalny sposób współżyciem homo - seksualnym, a w tym

przypadku - lesbijskim. Na podstawie szczerych rozmów z Anią oraz kilkoma innymi siostrami (z których dwie opuściły klasztory), a przede wszystkim licznych spowiedzi - mogę stwierdzić, iż miłość lesbijska jest tak powszechna w zakonach żeńskich, jak homoseksualizm w seminariach, czyli na porządku dziennym. Niektóre starsze opiekunki dziewcząt już na początku, w nowicjacie upatrują sobie ładniejsze „sztuki” - faworyzują je, a następnie uwodzą. Te, które nie chcą się „kochać” z grubymi, starymi babami nie mają łatwego życia. Bywa i tak, że po paru podłożonych „świniach” muszą opuścić zakon. Dziewczyny zresztą, po jakimś czasie, zaczynają same onanizować się w parach. I jest to, w tych warunkach zupełnie zrozumiałe i naturalne.

Ania, która przeszła szkołę życia zakonnego, nie odnalazła w swoim młodym życiu szczęścia, ani we własnej rodzinie, ani w środowisku Kościoła. Uciekając przed ojcem pijakiem i zbirem trafiła do (zdawało się jej) bezpiecznego miejsca. Zapragnęła tam poświęcić swoje życie Bogu i zakonowi. Dlaczego jej się nie udało? Dlaczego nie udaje się to większości dziewcząt i chłopców dokonujących takiego jak ona wyboru?

Z jednej strony gubi ich przerost własnych, wyidealizowanych ambicji. Nie biorą poprawki na swoją ludzką ułomność i naturę, która wcześniej czy później zacznie domagać się swoich praw. Chwała im za to, że (przynajmniej niektóre) chcą dążyć do doskonałości, na tym polega przecież charakter ich powołania - pójścia za Chrystusem. Jest to też niekwestionowany środek do osiągnięcia pełnego z Nim zjednoczenia. Jednakże to udaje się tylko bardzo nielicznym. Gdyby tak nie było, litanię do wszystkich świętych odmawiałoby się kilka dni. Stworzenie raju na ziemi jest z przyczyn oczywistych niemożliwe. Myśląc o raju mam na myśli świat bez zła i ludzi bez grzechu. Nie samo dążenie do doskonałości - świętości jest jednak niewłaściwe, ale warunki w jakich się to odbywa. I to jest ta druga, gorsza strona medalu. Można by powiedzieć ogólnie, iż brak normalności nie sprzyja świętości. Zbyt mocne i destruktywne jest zderzenie młodzieńczych ideałów, uskrzydłych nadprzyrodzonym powołaniem, z grzeszną ludzką naturą uwikłaną nieludzkim systemem. Zupełne odżegnanie się i wyrzeczenie naturalnych, ludzkich potrzeb oraz zachowań, nieodłącznie związanych z funkcjonowaniem organizmu każdego człowieka, takich jak: płciowość; posiadanie rodziny, dzieci, własnego domu - jest w 99% skazane na porażkę. Co więcej - żyjąc w taki sposób (walcząc z naturą) wypacza się i niszczy podstawy swojego człowieczeństwa. Ztraca się bezpowrotnie zdolność postrzegania i rozumienia świata oraz innych, normalnych ludzi. Służba Bogu i

Kościółowi zamiast doskonalić - zubaża, deformuje i gubi powołanych. Człowiek musi się najpierw w pełni zrealizować, aby być w pełni człowiekiem; dawać siebie innym ludziom i osiągnąć na tej ziemi choć namiastkę szczęścia.

Obserwując ludzi Kościoła - księży, zakonników i zakonnice - widzimy jak mało jest w ich życiu autentycznej i spontanicznej radości, szczerych spojrzeń, a jak wiele smutku i zgorzknienia, topionego często w alkoholu i ...narkotykach. Ci biedni ludzie są doskonałymi pozorantami, ale ci, którzy wiedzą o ich zranionej naturze mogą czytać jak w otwartych księgach - co naprawdę dzieje się w ich duszy. Dziwactwa, fanaberie i zбочzenia są niestety niezawinionym atrybutem większości z nich. Jeśli decydują się na odstępstwa od złożonych ślubów i wybierają podwójne życie - deprawują samych siebie, gorsząc przy okazji ludzi świeckich. Księża są jednak w nieco lepszej sytuacji. Reguły nakazujące braciom i siostram zakonnym trwanie (często latami) w tych samych, mniej lub bardziej zamkniętych wspólnotach, w tym samym gronie osób - przyczyniają się do wywoływania u nich zachowań agresywnych i antywspólnotowych.

Jak wiadomo, siostry zarabiające pieniądze na różne sposoby, mają obowiązek oddawać je do wspólnej kasy. Potem (w zależności od indywidualnych potrzeb), zgłaszają się po nie do przełożonej, najczęściej żebrając o każdy grosz. Aby dostać cokolwiek muszą solidnie umotywować swoją potrzebę, a i tak zawsze mogą odejść z kwitkiem. Protekcjonizm sióstr przełożonych przy rozdzielaniu pieniędzy i wzajemna zazdrość z tym związana, wyjątkowo nie sprzyjają budowaniu wspólnoty.

Znam osobiście historię zakonnicy, która została skierowana do domu z kilkoma siostrami szyjącymi alby i komże dla księży. Młodej siostrze wyjątkowo ciężko szło szycie, a jeszcze gorzej wyszywanie; miała z tym problemy już w nowicjacie. Nie mogła w żaden sposób nadążyć za starszymi koleżankami, które mogły już konkurować z przodownicami łódzkich prządek. W rezultacie dziewczyna zostawała daleko w tyle, wyrabiając najwyżej połowę normy. Doprowadzała tym faktem pozostałe siostry do białej gorączki - ubliżały jej od nygusów, zdzir, szmat itp. Przełożona postanowiła, iż „obibok” będzie jadł suchy chleb i popijał wodą do czasu, aż się nie weźmie ucziwie do roboty. Równocześnie, przy tym samym stole w jadalni, pozostałe przodownice opychały się szynkami. Siostra nie dostawała też żadnych pieniędzy ani podpasek, które dla całej grupy kupowała zawsze wyznaczona „tajniaczka” (robiła to bez habitu, za specjalną dyspensą przełożonej). W ten sposób dziewczyna przeżyła pół roku, po czym pewnego dnia zasłała przy maszynie,

nadrabiając w nocy opóźnienia. Z objawami krańcowego wyczerpania i anemii odwieziono ją do szpitala. Na szczęście przeżyła i jest obecnie wspaniałą katechetką w szkole.

Jak powszechnie wiadomo w świecie mężczyzn - kobiety bywają nadzwyczaj często cięte w języku i dokuczliwe w mowie. Zakonnice, które skazane są na wspólne, dożywotne „internowanie” - szkołą się w dwóch powyższych konkurencjach nadzwyczaj skutecznie. Można powiedzieć nawet, że języki ostrzą sobie nawzajem jeden o drugi. Jak żyję nie słyszałem bardziej zajadłych kłótni od tych, jakie prowadzą siostrzyczki.

W Seminarium Łódzkim, opiekując się księdzem infułatem Woronieckim, byłem mimowolnym świadkiem starcia się dwóch zakonnice. Jedna z nich, mała, przygarbiona staruszka, była uważana przez wszystkich kleryków za seminaryjną Matkę Teresę - łagodna, dobroduszna, zawsze uśmiechnięta i przyjacielska. Druga - co najmniej 50 lat młodsza od staruszki - od dwóch lat gotowała w naszej kuchni. Kiedy wszedłem cicho do mieszkania infułata, kobiety przebywały w ostatnim pokoju za przymkniętymi drzwiami. Mimo woli usłyszałem „wiązanki”, których nie powstydzilyby się najstarsze córki Koryntu z parku przed Dworcem Centralnym w Łodzi. Ich autorką był nie kto inny, tylko nasza Matka Teresa.

„Ty bezczelna pizdo, nie wiesz jeszcze gdzie jest twoje miejsce - zapierdalać przy garach, a nie mówić mi co ja mam robić. Ja ci kurwa pokażę!!!” - pruć się mała sekutnica.

Nie będę więcej obsmarowywał siostrzyczek. Cóż one same winne, że będąc normalnymi babkami żyją w nienormalnych warunkach, a inni ludzie wymagają od nich świętości? Opiszę tylko, jak zakończyła się moja rozmowa z Anią.

Dziewczyna, po tym jak wyplakała się na moim ramieniu, przyłgnęła do mnie całym ciałem. Nie przeszkadzał w tym ani jej habit, ani moja sutanna. Całowałem jej łzy płynące po twarzy i mocno, bardzo mocno tuliłem - tak mocno, żeby starczyło jej ...na resztę życia.

ROZDZIAŁ III

NOCNE OBJAWIENIE

Zdarzyło się to mniej więcej 15 lat temu. Byłem nastolatkiem, gdzieś około II i III klasy liceum. Rodzice - pełni uwielbienia dla księży - widzieli we mnie ciągle gorliwego ministranta (byłem nim od I Komunii) i potencjalny materiał na kapłana. O

tej ostatniej wizji nie śmieli nawet mówić. Zdradzały ich pałające oczy i podniesione głowy, widoczne ponad głowami innych ludzi w kościele, kiedy przy ołtarzu służyłem do Mszy. Kiedykolwiek chciałem im zrobić przyjemność, wyrażałem ciche pragnienie - jeszcze wówczas pełne wątpliwości

- „...a może bym tak poszedł do seminarium, na księdza...?” Skłamałbym mówiąc, iż wywierali na mnie choćby cień nacisku. Jednak w ich westchnieniu można było bezbłędnie odczytać w takich chwilach, jak bardzo tego pragnęli. Nie namawiali; na ogół nawet nie odpowiadali, bo... nie chcieli spłoszyć marzenia.

Faktem jest, że dawałem im realne przesłanki i powody, aby spodziewali się kiedyś po mnie takiej decyzji. Przede wszystkim jednak, to ja sam, w głębi swego młodzieńczego serca, czułem powołanie do służenia Bogu. Jeszcze nie wiedziałem dokładnie jak to będzie wyglądało, ale coś się już zatliło i Ktoś wyraźnie czuwał, żeby nie zagasło. Obracając się ciągle w kręgu księży katolickich, w naturalny sposób, wśród nich właśnie widziałem swoje miejsce jako przyszły uczeń, apostoł Chrystusa. Tymczasem biegałem codziennie na Msze, adoracje, spotkania ministranckie; wyjeżdżałem na wycieczki do Częstochowy, Lichenia; czytałem z zapartym tchem Pismo Święte

- chociaż ksiądz katecheta przestrzegał mnie przed samodzielnym czytaniem. Ta moja idylla na łonie Kościoła trwała mniej więcej do końca pierwszej klasy liceum. Później stopniowo mój zapal stygnął. Pod wpływem nowego środowiska rówieśników, które zaczęło wywierać na mnie coraz większy wpływ; rodziły się wątpliwości co do zachowania niektórych księży, jak też odnośnie samej wiary. Było to wówczas oczywiste: kapłani, Bóg, sakramenty, Msza Święta, Biblia

- to wszystko stanowiło niepodzielną całość i nawzajem się uzupełniało. Nie było, przynajmniej w moim środowisku, innej alternatywy, innej formy służenia Bogu - jak tylko na łonie Kościoła, pod przewodem kapłanów. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że sprawy Boże stoją często w sprzeczności ze sprawami ludzkimi tj. - w tym przypadku - z doktryną Kościoła. W każdym razie przebywając z rówieśnikami sceptycznie nastawionymi do jakichkolwiek przejawów religijności (a taka jest w większości młodzież), sam przejąłem od nich przynajmniej symptomy takiej postawy. Moich rodziców wyraźnie zaniepokoiło coraz częstsze opuszczanie przeze mnie wszelkich kościelnych imprez. O ile to właśnie przynosiło mi samemu pewnego rodzaju ulgę (od jakiegoś czasu zacząłem się męczyć, zwłaszcza na dłuższych nabożeństwach) i dawało więcej wolnego czasu na młodzieńcze zbytki; to jednak

sumienie zaczęło wyrzucać mi zupełnie coś innego - zaniedbanie modlitwy, lektury Pisma Świętego i przytłumienie tego „czegoś”, co zakiełkowało gdzieś w głębi serca.

Od kiedy po raz pierwszy, więcej z nudów niż z ciekawości, wziąłem do rąk przekład czterech Ewangelii (podczas przymusowego leżenia w łóżku, w czasie choroby), moje młode życie nabrało jakiegoś drugiego wymiaru. Miałem wówczas 8, może 9 lat. Zacząłem czegoś szukać, sam nie wiedząc dokładnie czego i szukałem ciągle po omacku. To zbliżyło mnie, jak niektórych moich kolegów ministrantów, do Kościoła i księży, ale „buntowniczy wiek” dał w końcu o sobie znać. Mając ukończone 17 lat poczułem się panem samego siebie - wrzuciłem do jednej beczki: mądrości i refleksje płynące z lektury Biblii, pouczenia - nawet znajomych i lubianych księży; a także wymówki rodziców, coraz bardziej zaniepokojonych moją postawą. Najzwyczajniej w świecie cała sfera życia, związana z wiarą i praktykami religijnymi zesłała u mnie na drugi, a nawet trzeci plan. W tym czasie po raz pierwszy zacząłem próbować alkoholu i papierosów. Parę razy uciekłem z domu, w którym - z mojego powodu - zaczęły wybuchać raz po raz gromkie awantury. Coraz trudniej było mi znaleźć wspólny język, szczególnie z porywczym ojcem. Trwało to wszystko około roku i skończyło się pewnej nocy, kiedy odwiedził mnie Jezus Chrystus.

Muszę w tym momencie przerwać dla paru zdań wyjaśnienia. To, co za chwilę opiszę, zdarzyło się naprawdę (jak wszystko w moich książkach) i nie jest ani fikcją literacką (czyt. „bajerem”), ani też relacją z narkotycznego snu. Wspomnę jeszcze, że w wieku 17 - 18 lat byłem wyjątkowo sceptycznie nastawiony do historii, z których jedna, podobna, akurat wówczas mi się przydarzyła. Będąc ministrantem, wielokrotnie słyszałem opowieści „nawiedzonych” staruszek o ich wielkiej zażyłości i częstych kontaktach z Matką Boską, Jezusem lub też kilkoma, większej rangi świętymi. Widziałem, jak księża ze zrozumieniem przytakują „wizjonerom”, aby zaraz po ich odejściu wyśmiać ich i wyszydzić na całą zakrystię. Śmiałem się ze wszystkimi... aż do tamtej, pamiętnej nocy.

Spać poszedłem o przyzwoitej, jak na kawalera, porze - około 22.30 (na trzeźwo!). Pamiętam, że coś mi się śniło, ale to nie istotne. W każdym razie nagle sen się skończył i odzyskałem pełną świadomość... ciągle śpiąc. To było przedziwne uczucie - spać i wiedzieć o tym! Nie ocknąłem się, nie mogłem też otworzyć oczu. Moja pełna świadomość znalazła się gdzieś w niebycie. Wyrwałem się z „objęć Morfeusza” i pamiętałem na świeżo historię, która mi się śniła, ale z pewnością nie byłem też „na jawie”. Ten zaskakujący stan, w jakim się znalazłem, ustąpił wkrótce

miejsca czemuś o wiele bardziej intrygującemu. Zachowując ciągle pełną kontrolę i bystrość umysłu, poczułem wyraźnie, iż... „opuszczam” własne ciało. Wiedziałem o tym, gdyż moja dusza oraz towarzysząca jej zdolność postrzegania nabrała nagle nowego wymiaru i nowych możliwości. Uzyskała pełną władzę zmysłów, a nade wszystko - niezwykle wyostrzony, duchowy „wzrok”. Po chwili całym moim jestestwem zawładnęło jedno przejmujące wrażenie oczekiwania na coś wielkiego i niezwykłego.

Oczami duszy, bardzo wyraźnie zobaczyłem zbliżające się Światło. Byłem tym wszystkim do głębi poruszony i trochę przestraszony, ale cudowna, ogarniająca mnie Jasność, która w ogóle nie oślepiła, bardzo szybko ukołysa wszelki strach. Owładnęło mną ciepło, miłość; żywe promienie emanowały troską i zrozumieniem. Nie wiem ile mogło trwać to ukojenie. Czas jak gdyby przestał istnieć. Szczęście przepełniające wówczas moją duszę mogę porównać do odczuć zagubionego dziecka, tulonego później w objęciach matki, kiedy się w końcu odnalazło. Światło miało wyraźny status Osoby. Nie miałem wątpliwości, że to Sam Jezus Chrystus trzyma mnie w ramionach! Czuję się taki bezpieczny, spokojny; najważniejszy na całym świecie! A On był moim starszym Bratem. W pewnej chwili przemówił do mnie. Nigdy nie „słyszałem” bardziej wyraźnych słów, chociaż żaden głos, żaden dźwięk nie dobiegł moich uszu. To jedno zdanie po prostu wryło się w mojej duszy, jak w kamiennej tablicy - wyraźnie, głośno i dobitnie - lecz z jakże ogromnym ładunkiem troski i miłości:

„ - . NIE BIERZ PRZYKŁADU Z TEGO WSZYSTKIEGO CO JEST ZŁE...”

Przeniknęło to do podstaw mojej egzystencji, a duch mój załkał ze wzruszenia. Oto mój Pan przemówił do mnie! Ten sam, do którego mama składała mi dziecięce rączki i pokazywała na wielkim obrazie w sypialni. Odezwał się w końcu - po kilkunastu latach milczenia - kiedy przyzwyczałem się już do tego, że najbardziej żarliwa modlitwa jest zawsze i tylko monologiem. Denerwowało mnie nawet ostatnio, jak księża mówili, że trzeba z Bogiem „rozmawiać”, „wysłuchiwać się w Jego głos”. Aż tu nagle coś takiego!!!

Światło tymczasem zaczęło się oddalać. Chciałem za wszelką cenę z Nim pozostać, tym bardziej, iż czułem wyraźną, obopólną tęsknotę, towarzyszącą naszemu pożegnaniu. Nagle ocknąłem się w swoim cieple i wszystko prysnęło jak bańka mydlana.

Rzuciłem się natychmiast z łóżka na podłogę i dłuższy czas, leżąc na twarzy,

modliłem się do Jezusa. To była nade wszystko modlitwa wdzięczności i uwielbienia. Dziękowałem za niezwykle wyróżnienie, które mnie spotkało. Właśnie mnie! Z czasem zdałem sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności i zobowiązania. Otrzymany dar musi procentować. Nie wolno go „zakopać” na później lub co gorsza zupełnie zaprzepaścić. Tymczasem jednak cały trząłem się ze wzruszenia i uniesienia, jakiego nigdy przedtem w swoim życiu nie doświadczyłem. Zacząłem w końcu pospiesznie analizować treść przesłania. Zrozumiałem, że odnosi się ono zarówno do terażniejszości, jak i do całej mojej przyszłości. Mój aktualny stan ducha tłumaczył doskonale słowa upomnienia i przestrogi. Nie miałem cienia wątpliwości - Jezus przyszedł aby mnie ostrzec, wyprostować życiowy zakręt, w który bezmyślnie wszedłem. Nie zrobił tego w formie nagany, jako sędziego. Wyczułem w Nim raczej przyjaciela, starszego brata albo ojca, który podtrzymuje swoje dziecko, uczące się bezradnie stawiać pierwsze kroki.

Zerwałem się z podłogi i wybiegłem z pokoju. Wiedziałem, że muszę powiedzieć wszystkim o Jego miłości i o tym, że ON NAPRAWDĘ JEST! Przyszedł do mnie i uzdrowił z duchowej niemocy, marazmu, niewiary. Tchnął w moją duszę ożywiający tchnienie nadziei, pewności... iż On jest ze mną i nigdy mnie nie opuści! Zaczynało świtać.

„Mamo, Tato wstawajcie!!!” - darłem się na całe gardło. Postawiłem na nogi cały dom. Rodzice zrazu mi nie dowierzali, ale przekonał ich mój pałający wzrok i niezwykle wzruszenie. Cieszyli się razem ze mną, ale tego było mi za mało. Chciałem (autentycznie!) biec do dzwonnicy - obudzić całe miasto, nawracać i nauczać wszystkich na rynku. Niemal siłą zatrzymali mnie w domu - „...dziecko, kto ci uwierzy; wyśmieją cię tylko, wezmą za wariata!...” Bardzo powoli przyszło opamiętanie i zdrowy rozsądek wziął górę nawet nad „mocą z wysoka”, którą czułem w każdej komórce swojego ciała, wypełnionej nowym tchnieniem. Jakże rozumiałem wówczas apostołów nawracających tłumy po Zesłaniu Ducha Świętego albo idących na śmierć męczenników z imieniem Jezusa na ustach. „...Skoro Bóg z nami, któż przeciwko nam!...” „...Cóż może uczynić nam człowiek!...”

- brzmiały mi w sercu słowa Pisma Świętego.

Jednak spasowałem, oprzytomniałem, a z czasem nabrałem nawet pewnego dystansu do tego wydarzenia. To było niezwykle tylko z ludzkiego punktu widzenia. Przekonałem się nie raz, iż „...Bóg jest z tymi, którzy Go miłują...”, a jeszcze bliżej - grzeszników zagubionych i znękanym życiem. Stoi obok każdego z nas. Patrzy, jak

Jego dzieci bawią się zabawkami, które im dał. Cieszy się naszym szczęściem, smuci naszymi porażkami. Jest dumny z naszych dobrych wyborów. Jak każdy rozsądny ojciec, który ukształtował swoją latorośl, aby oddać ją światu - tak i On, szanując naszą wolność i nie ingerując w nasze życie, czeka cierpliwie na efekty swojego wychowania. Pozwala dzieciom bez opamiętania grać w „totka”, „rznąć” na całego w „pokera” zwanego życiem i zegrać się do ostatniego grosza, do cna wszelkiej przyzwoitości i zdrowego rozsądku. Wie bowiem najlepiej, że na końcu tego miotania się w całym tym ziemskim gównie czeka nas „magiczna szóstka” i „rozbitny bank”

- Niebo.

To, iż wobec mnie zachował się inaczej - ingerując w tak ewidentny sposób - może świadczyć o moim szczególnym wybraniu i przeznaczeniu lub (równie dobrze) o jego kaprysie Władcy. Z dwojga tych powodów wołałbym już ten drugi. Tak wielka łaska Boga domaga się bowiem odpowiedzi ze strony człowieka. Z perspektywy czasu coraz bardziej zacząłem sobie z tego zdawać sprawę. Chwilami byłem nawet zły. Przecież taki dar fizycznego wręcz objawienia to ogromne zobowiązanie i ciężar na resztę życia! Pożytek z tego jeden: mam 100% pewności że Bóg istnieje, a to jest bardzo ważne - niemal każdy człowiek ma co do tego, choć chwilowo, pewne wątpliwości. Ja ich nie mam, ale za to mam poważną zgryzotę. Jak echo brzmią w moich uszach inne słowa Zbawiciela: „...Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie...”. Dziękuję więc pięknie za takie wyróżnienie!

Spotkanie z Jezusem i posłanie, które zostawił zaowocowało moją natychmiastową i w miarę trwałą przemianą. Setki, tysiące razy powtarzałem sobie ten maleńki fragment Objawienia Bożego skierowany tylko do mnie. Robiłem setki, tysiące egzegez i rozmyślań nad tym jednym, jedynym zdaniem. Jakże wielka mądrość jest w nim zawarta! Bóg dał jasno do zrozumienia, że nikt z nas nie jest tak naprawdę zły, a jedynie naśladujemy „...to wszystko, co jest złe...” - nie (złych) ludzi zatem, ale zło - obiektywnie, realnie wokół nas istniejące. Celowo mówię tu ogólnie o „nas”, chociaż to przesłanie odczułem wówczas wybitnie indywidualnie. Przekonałem się wielokrotnie, że obawa przed jakimkolwiek wybraniem akurat mojej osoby, tkwi we mnie podświadomie niemal jak obsesja. Słowa wryte w duszy, niejako wbrew woli, wywarły wpływ na moje dalsze losy.

Zmieniłem radykalnie swoje postępowanie. Życiowe decyzje, jak dawniej starałem się konsultować z wolą Bożą, a konkretnie z ewangelicznymi pouczeniami Jezusa. Do dzisiaj taki właśnie jest mój podstawowy „przepis” na bycie dzieckiem

Boga, bratem każdego człowieka i spokój sumienia - zawsze, gdy mam dokonać wyboru, stawiam na swoim miejscu Jezusa i czekam na natchnienie: jak On zachowałby się na moim miejscu? Biorę przykład ze wszelkiego dobra, które mój Nauczyciel zasiał na ziemi, a przynajmniej usilnie, z różnym skutkiem się staram. Wkrótce zerwałem z nieodpowiednim towarzystwem - po tym jak, z jednym wyjątkiem, okazało się nieprzychylnie mojej nowej ewangelizacji. Wróciłem też do namiętnej lektury tekstów biblijnych; częściej, prywatnej modlitwy - czasami aż do „utruty tchu” i zupełnego zapamiętania. Jednym słowem wyprostowałem swoje życiowe zakręty i zgodnie z nowym motto zacząłem „po Bożemu” załatwiać swoje sprawy. Niestety, a może ...kto wie ... tak musiało się wszystko potoczyć, „po Bożemu” znaczyło wówczas dla mnie „po kościelnemu”. Siłą rzeczy przygląnąłem więc na powrót do Kościoła, księży i ...tak doszło do mojego wstąpienia do Seminarium Duchownego we Włocławku. Reszta jest znana z mojej pierwszej książki, więc nie będę się powtarzał.

Powyższą historię zamieściłem dopiero teraz, gdyż w pierwszej pozycji pragnąłem skupić się raczej na prozie kapłańskiego życia, bez głębszych kontekstów i dalszych dociekań. Nade wszystko jednak bałem się łatki „nawiedzonego dziwaka” lub po prostu „świra”, a w konsekwencji odrzucenia całej książki. Teraz, po niezwykle ciepłym przyjęciu „Byłem księdzem”, mogę już sobie na to pozwolić. To cudowne objawienie będące, bez wątpienia, punktem zwrotnym w moim życiu, relacjonowałem niewielu ludziom. Uznałem, iż najwyższa pora żeby to nadrobić. Ci nieliczni, którzy słyszeli o wszystkim z moich ust - uwierzyli mi. Pragnę z całego serca, aby powyższa historia pogłębiła również Waszą wiarę - Drodzy Przyjaciele - i przemieniła Wasze życie. Co do jej autentyczności: ręczę za to swoją własną duszą! Amen.

Pragnę jeszcze, w kontekście tego co opisałem, poruszyć sprawę mojego odejścia z kapłaństwa. Pisałem o tym dość obszernie w poprzedniej książce, ale nie wspominałem, jak wielki wpływ na tę decyzję miało posłanie Jezusa, skierowane do mnie przed laty. Chociaż postawiło to jedynie kropkę nad „i”, to bez wątpienia zaważyło o wiele bardziej niż np. moja znajomość z obecną żoną. Naturalnie kluczem do zrozumienia motywów tamtej decyzji i pierwszorzędym powodem było niemal równie cudowne nawrócenie z drogi kłamstwa i obłudy. Zresztą, nie potrzeba było nadzwyczajnej ingerencji „z góry”, żeby zobaczyć o co naprawdę chodzi w hierarchicznym Kościele Katolickim. Błędny system, którym od wieków rządzi i

kieruje MAMONA oraz pragnienie władzy, dominacji - to wszystko zraziło mnie i miało decydujący wpływ na moją decyzję o odejściu z kapłaństwa. Dla nikogo jednak - z wielu względów - nie jest to decyzja łatwa ani przyjemna. Kiedy więc, przyszło do jej ostatecznego powzięcia

- przypomniałem sobie słowa Zbawiciela: „Nie bierz przykładu z tego wszystkiego, co jest złe” - i... nie wahałem się ani chwili dłużej.

ROZDZIAŁ IV

Z CZEGO SPOWIADAJĄ SIĘ LUDZIE?

Zanim poruszę ten jedyny w swoim rodzaju temat i spróbuję odpowiedzieć na powyższe pytanie, chciałbym uspokoić obrońców wiary i moralności, a także wszystkich penitentów, którzy w ciągu trzech lat mojej pracy w kapłaństwie dzielili się ze mną swoimi słabościami, bólami, rozterkami; często smutkiem i tragedią, ale też dumą i radością.

Miałem wielkie duchowe rozterki przed napisaniem tego rozdziału mojej książki. Skrupuły, które mną kierowały są chyba dla wszystkich oczywiste - spowiedź była, jest i pozostanie najbardziej intymną sferą i czynnością, jaką wykonuje człowiek. Wyznawanie werbalne swoich najskrytszych tajemnic; przyznanie się, zwłaszcza przed drugim człowiekiem, do swojej małości: własnych świństw, błędów i porażek - jest ogromnym wysiłkiem duchowym, ofiarą i pokutą samą w sobie. Samo nazwanie głośno, po imieniu własnych grzechów stanowi dla większości trudność nie lada. Z trudem i oporem uznajemy w głębi serca nasze słabości, niesprawiedliwość i zło, które rozsiewamy wokół nas, a o ileż trudniej wyrazić to wszystko nie myślą, ale słowem, gdy w dodatku słucha nas Sam Chrystus, a przede wszystkim Jego „święty” kapłan.

Spieszę zatem z wyjaśnieniem, iż dotykając tak delikatnego, a zarazem trudnego tematu - dochowam świętej tajemnicy spowiedzi tj. nie ujawnię danych personalnych konkretnych penitentów, ani też żadnych okoliczności, mogących naprowadzić kogokolwiek na osoby przeze mnie spowiadane. Wszelkie skojarzenia są również bezprzedmiotowe i zbędne, gdyż same miejsca, w których odbywały się te spowiedzi, trudno jest mi dzisiaj zliczyć. Z pewnością nie będą to dwie lub trzy, ale około setki parafii - na wsiach i w miastach; przy okazji odpustów, wizytacji biskupich; rekolekcji - adwentowych, wielkopostnych, okresowych, okolicznościowych, stanowych i wielu, wielu innych, a także wielokrotnie w tych

samych miejscach.

Zawsze uważałem i będę uważał, iż relacjonowanie treści spowiedzi przez kapłanów (choćby bezosobowo) jest wielkim nietaktem. Niestety, jest to jeden z dominujących tematów księzkowskich spotkań, odpustów, a zwłaszcza - na gorąco - rekolekcyjnych biesiad przy wspólnym stole.

Dlaczego mimo to chcę poruszyć, a nawet pokusić się o zgłębienie tego zupełnie wyjątkowego tematu? Przede wszystkim z dwóch powodów: w celu ujawnienia prawdy (jest to pierwszorzędny cel tej książki) oraz dla próby odpowiedzi na zasadnicze pytanie, które dręczy wielu spośród nas - czy tzw. spowiedź uszna jest w ogóle konieczna i potrzebna? Zresztą, nie będę robił nic innego jak tylko, wzorem rekolekjonistów, potępiał grzechy, a nie tych, którzy je popełniają! Księża dość często przytaczają przykłady konkretnych spowiedzi, np. na kazaniach, w celu „duszpasterskiego pouczenia”. Choć wypadłem z „branży”, pozwolę sobie i ja na pewne refleksje.

Pan Jezus nigdy nie sprecyzował na czym powinien polegać sakrament pokuty i czy w ogóle powinien być sakramentem. Powiedział tylko: „...Którym odpuszcicie grzechy są im odpuszczone, a którym zatrzymacie są im zatrzymane...” - co może odnosić się nie tylko do uczniów, ale do każdego człowieka, który „odpuszcza swoim winowajcom”. Założyciel Kościoła nie wspominał ani słowem o konieczności wyznawania grzechów apostołom czy też kapłanom, których wcale nie powoływał. Sam odpuszczał je bez żadnych spowiedzi, ale Jemu nie były potrzebne wyznania. W Kościołach Protestanckich również nie ma czegoś takiego, jak spowiedź indywidualna - uszna; jest natomiast wspólnotowe, ogólne przyznanie się do słabości i popełnionych win, poprzedzone osobistym rachunkiem sumienia. Ma to miejsce w czasie nabożeństwa i przypomina naszą spowiedź powszechną na Mszy Świętej: „Spowiadam się Bogu Wszchemogącemu i Wam Bracia i Siostry, że bardzo zgrzeszyłem...” itd. - po której kapłan wypowiada formułkę rozgrzeszenia. Według doktryny katolickiej, tzw. Confiteor gładzi jednak tylko grzechy lekkie, czyli powszednie. Wszystkie inne, tj. ciężkiego kalibru, wymagają osobnego wyznania i odpuszczenia. Jakoś jednak ludzie bez tego żyli, skoro dopiero IV Sobór Laterański w 1215 r. wprowadził obowiązek dorocznej spowiedzi świeckich u swoich proboszczów (ten sam Sobór usiłował usankcjonować celibat). Od teorii do praktyki nigdy jednak nie było w Kościele zbyt blisko. Dopiero w 1614 r. nakazano wyposażać wszystkie świątynie w konfesjonały, nazywane dziś przez księży - „budami”, „dziupłami” i

„kibłami” (od zostawianych przez ludzi „nieczystości”). To, co ludzie opowiadają na spowiedziach, może być tematem dramatów, kryminałów, erotyków i powieści biograficznych. Na temat ludzkich spowiedzi można by napisać całą bibliotekę rozpraw i prac naukowych. Jest to, bez wątpienia, jedna z najbardziej interesujących dziedzin w szeroko pojętej nauce o człowieku. Kapłani występują tu zarówno w roli profesorów jak i uczniów; lekarzy i pacjentów. Przede wszystkim są jednak, a raczej mają okazję być wspaniałymi badaczami, dla których (zwłaszcza tych młodych) - po latach teoretycznych przygotowań i bezowocnych poszukiwań - otwierają się nagle niezgłębione, niewyczerpane pokłady wiedzy twórczej - namacalnej i inspirującej. Taka wiedzę gwarantuje ludzka dusza ze wszystkimi jej zakamarkami. Spowiedź to dla księdza ogromne pole do działania, a jednocześnie jedna z najlepszych dróg samorealizacji osobistego powołania. Może uczynić z niego dusz - pasterza, w pełnym tego słowa znaczeniu lub nawet dusz - uzdrowiciela. Taki niezwykle bliski, intymny kontakt z drugim człowiekiem daje niepowtarzalną okazję przebicia się przez maskę pozorów i zahamowań, którą nosi każdy z nas; wniknięcia do głębi ludzkiego wnętrza, przy którym najbardziej skomplikowany układ mikroprocesorów jest prosty i banalny jak gra w kółko i krzyżyk.

Zamknięty, wewnętrzny świat pojedynczego człowieka wcale nie jest „mały” (jak zwykliśmy go określać). Jest raczej pomniejszonym, mikroskopijnym odbiciem całej ludzkości. Każdy człowiek jest wypadkową innych ludzi - świata w którym wszyscy żyjemy. W tym świecie przenikają się nawzajem miłość i nienawiść, prawda i fałsz, cierpienie i złuda szczęścia. Nieliczne chwile spełnienia i radości zlewają się ciągle z goryczą smutnych i tym bardziej dotkliwych porażek, im wspanialszy wydawał się sukces, który je poprzedzał. Człowiek wydaje się ciągle żyć w wielkim, pierwotnym ogrodzie, który stworzył dla niego Bóg. Wędrując po ścieżkach tego ogrodu ludzie, najczęściej po omacku, zrywają z napotkanych po drodze drzew różne owoce. Są to owoce dobra i zła. Kto skosztuje skażony złem owoc - przekaże jego cierpki smak innym. Podobnie jest z owocem dobrym - jego słodycz przyciąga tych, którzy sami go wcześniej szukali. Ten ogród ma jednak niewiele wspólnego z Rajem. Wielu stworzyło jego własną mapę. Sami nanieśli na niej drogi; znaki nakazu, zakazu i przyzwolenia. Ci synowie Ewy spróbowali już kiedyś owocu z drzewa poznania dobra i zła, a następnie sami określili gatunki poszczególnych drzew w ogrodzie.

Tych samozwańczych „ogrodników” przybywa i przybywać będzie proporcjonalnie do wymierania ostatnich, prawdziwych przewodników po ogrodzie

życia. Powszechny na całym świecie kryzys autorytetów moralnych, w tym zwłaszcza autorytetu kapłana, musiał przynieść cierpkie owoce zła. Ludzkość przełomu drugiego i trzeciego Tysiąclecia jest już genetycznie skażona relatywizmem moralnym i sobiepaństwem. Przejawia się to w wybiórczym - selektywnym traktowaniu Przykazań Bożych. Człowiek sam najchętniej postawiłby się na miejscu Boga i Najwyższego Prawodawcy. Prawo naturalne, zaszczipione w sercu każdego człowieka, nie stanowi na ogół ostatecznej instancji przy wyborach pomiędzy dobrem i złem. Ludzie coraz częściej naginają je i dopasowują do własnej drogi, którą sobie obrali w życiu. Tłumaczą to trudnymi warunkami, złożoną sytuacją, sprzysiężeniem losu itp.

Zdrada żony przestaje być zdradą, gdy np. małżonek ją zaniedbuje albo sam zaczyna być podejrzanym o niewierność.

Nadużywanie alkoholu to „naturalna konsekwencja” życia w ciężkich czasach i „konieczność odreagowania” stresów.

Kłamstwo, choć czasem bywa wskazane, np. w wypadku czyjejś nieuleczalnej choroby, jest chyba najłatwiejsze do wytłumaczenia.

Zawyżanie cen, oszustwa w interesach, podatkach - to domena ludzi „operatywnych i przedsiębiorczych”, mających tzw. bajer i smykałkę do robienia pieniędzy, a więc cechy wybitnie pozytywne, których się zazdrości.

Nawiasem mówiąc Kościół Katolicki, w odróżnieniu np. od kościołów protestanckich, w ogóle nie piętnuje takich (powszechnych przecież) zachowań, związanych z szeroko pojętą sferą uczciwości i kultury.

Kradzież w miejscu pracy nie jest już kradzieżą, ale usprawiedliwioną, np. niską pensją, koniecznością dorobienia. Niekiedy jest wręcz zasługą, w imię godnego utrzymania rodziny.

Słuchałem przedziwnie szczerych spowiedzi ludzi, którzy mieli autentyczne wyrzuty sumienia, ponieważ nie wykorzystali sprzyjających okoliczności do... złodziejstwa! Naturalnie ich grzech polegał na tym (mieli tego świadomość), iż nie powinni mieć takich wyrzutów. Ogromna większość nie ma podobnych skrupułów, a możliwość „zorganizowania” sobie czegoś na boku - określa mianem życiowej zaradności i sprytu.

Kiedyś spowiadałem zawodowego kieszonkowca, z kilkuletnim stażem i „bez wpadki” (jak sam zaznaczył!) - tłumaczącego swoje postępowanie w dość makabryczny sposób. Na początku lojalnie zadeklarował się jako złodziej, ale „nie

bez sumienia i wrażliwości”; okradał mianowicie tylko „dzianych” gości - nigdy starców i dzieci (napomknął mimochodem, że i tak nie opłaca się w takich wypadkach ryzykować). Na swoje usprawiedliwienie miał cały szereg argumentów. Przede wszystkim - jest bezrobocie, a on nie ma innego wyuczonego zawodu. Okrada tylko z tego, co ludzie noszą w kieszeniach - pozbawia ich zatem tylko niewielkiej części środków do życia. Przez swoje występki, zmusza ofiary kradzieży do większej ostrożności i daje im (co prawda nie darmową) naukę na przyszłość. „Zresztą” - podsumował - „w moim fachu jest taka konkurencja, że gdybym odszedł - o mój rewir by się biło zaraz kilku innych doliniarzy”.

Wbrew pozorom cieszyły mnie takie spowiedzi i to bynajmniej nie ze względu na ukryty w nich humoryzm. Samo podejście do konfesjonału człowieka o tak zwicniętym sumieniu jest wielkim zwycięstwem maleńkiej cząstki isierki Bożej Miłości, która tli się jeszcze w zakamarkach jego duszy. Trzeba ją tylko rozdmuchać i przenieść z kopcidla na palenisko, ale to niezwykle trudne zadanie. Zawsze starałem się w takich wypadkach, już na początku, uświadomić penitentowi to wielkie zwycięstwo, które już odniósł. Pan Bóg sam szuka i najbardziej kocha owce, które są daleko od Niego i zagubiły się, a największą radość sprawiają Mu powroty tych marnotrawnych. Im bardziej są wyłajdaczony, splugawione i wyzute z godności Jego dziecka - tym bardziej raduje się z ich powrotu.

Jeśli już jesteśmy przy Siódmym Przykazaniu, to warto wspomnieć o nagminnie wyznawanym grzechu okradania rodziców przez dzieci. Te ostatnie, jeśli w ogóle się z tego spowiadają, robią to przeważnie „dla porządku” - „co to za kradzież, kiedy bierze się praktycznie ze swojego”? Dziwić się dzieciom, skoro 99% proboszczów wydaje pieniądze z „tacy” i puszek - przeznaczone na utrzymanie świątyni i inne, często charytatywne cele - na swoje własne potrzeby! Różnica polega na tym, że oni się z tego nie spowiadają. Wielu nie zadaje sobie nawet trudu wymiany drobnych na konkretną kasę, jeżdżąc z sakwami moniaków i płacąc za wszystko: od pietruszki, po „loda” u przydrożnej „tirówki”.

Jednym z najczęściej poruszanych tematów podczas spowiedzi jest cała sfera kontaktów młodych ze starymi - najczęściej są to antagonizmy pomiędzy dziećmi i rodzicami. Wprost nie do wiary, jak ogromne żniwo zbiera w naszych domach - odwieczny zresztą - konflikt pokoleń. Bez przesady - chyba w co drugiej spowiedzi rodzica lub rodzicielki słyzałem narzekania, a czasem nawet gromy i pioruny rzucone pod adresem własnych „pociec”. Tak samo było w odwrotną stronę, z tą jednak

różnicą, że w bardziej oględny i wyważony sposób. Zdarzały się skrajne wypadki, kiedy rodzice (korzystając zapewne z bliskości Pana Boga i okazji natychmiastowego rozgrzeszenia) złorzeczyli swoim dzieciom, a nie do rzadkości należało wyrażanie swojego żalu z powodu wydania na świat wcielonego „diabła”. Zazwyczaj w takich wypadkach przypominałem „wołam jak cielętami byli”, ale często w duchu musiałem przyznać im rację. Jak powszechnie wiadomo „w młodym ciele, młode ciele” nie zawsze wie to, co wie wół - chociażby z racji swego wieku, a i samo młode ciało rzadko sprzyja głębszej refleksji. Nie trudno się domyśleć, że młodzież najczęściej zarzuca „wapniakom” ograniczanie wolności i ogólnie pojętych praw jednostki. „Dopóki jest na moim utrzymaniu ma robić to co mu (jej) każe” - to najczęściej używany argument rodzicieli. Bezprzeczenie jednak rodzicami kieruje zawsze troska o własne potomstwo. Fakt, że zagłaskać można czasem „na śmierć”, a trzymanie milusińskich „pod kloszem” przeważnie nie wychodzi im na dobre; ale przyznam się, że w przypadkach takich konfrontacji zazwyczaj brałem stronę starszyny. Zadziwiające, iż młodzi ludzie znajdują sobie często popleczników wśród dziadków i babć. Nierzadko dzieje się to ze szkodą dla samych pupilków; nie sprzyja ich wychowaniu, a już na pewno ogólnej atmosferze w rodzinie.

Podobnym problemem są przysłowiowe już antagonizmy w relacjach teściowa - synowa, zięć (zdecydowanie rzadziej podpada teść). Tu, jeśli dojdzie już do wojny - jest ona długa i wyczerpująca dla wszystkich, często krwawa (dosłownie!), a jej wynik to zwykle rozpad młodego małżeństwa. Reszta włosów jeżyła mi się na głowie, gdy słyszałem klątwy rzucane na znienawidzone synowe albo obmierzłe do cna „teściówki”. Ze zdumieniem rozpoznawałem często w tych ostatnich, wierne aktywistki kółka różańcowego, które na wyścigi łykały „opłatek” przy ołtarzu. Na ich szczęście Chrystusa pod postacią chleba przyjmuje się do „serca”, a nie do żołądka - gdyż niechybnie dostałyby niestrawności. Do takich starych sekutnic prawie nie docierały argumenty o prawie młodych do własnego wyboru, wypracowania wspólnego kompromisu, nieskrępowanych decyzji; a także o tym, że prawda leży często po środku, a ukochany synuś nie musi mieć ciągle racji i być zawsze pokrzywdzony. Znałem wiele zgodnych, kochających się małżeństw, które zniszczyło ciągłe włożenie z buciorami w ich własne życie. Obłudne więdźmy miętołące całymi dniami różaniec; największe przydupasy proboszczów i jednocześnie ich największe „obrabiarki”, dla których podżeganie i podjudzanie stało się pożywką na starość, a może raczej eliksirem młodości, który trzyma je przy siłach i nadaje „sens” życiu!

Te pełne zaciętości i jadu konfesyjne wyznania „skruszonych pokutniczek” przywodzą mi na myśl scenę i (dla odmiany) komiczny tekst z filmu pt. „Sami swoi”, kiedy to seniorka rodu Pawlaków czując, że niedługo przeniesie się do „krajny wiecznych łowów”, pouczała resztę rodziny jak muszą walczyć z „Kargulowym plemieniem” - do grobowej deski i ostatniego Kargula. „Sądy sądami, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie!” - skwitowała staruszka, wymachując w rękę ponemieckim granatem.

Nie sądźcie, że potępiam w czambuł wszystkie świekry jak leci. Broń Boże! Znam chyba tyleż przykładów negatywnych co pozytywnych, ale jednego z nich nie zapomnę do końca życia. Uczestniczyłem w całym tym dramacie jako postronny obserwator i bynajmniej nie w charakterze spowiednika.

Cała rzecz rozegrała się w Ozorkowie. Był tam zwyczaj odwiedzania wszystkich chorych, którzy nie mogli o własnych siłach przychodzić do świątyni. Spowiedź, Komunia Święta i parę minut rozmowy z kapłanem, która polegała na mniej lub bardziej udanej próbie pocieszenia, miało dać tym nieszczęsnym ludziom choćby namiastkę kontaktu z Bogiem i odrobinę nadziei. Czuli się w ten sposób autentycznie dowartościowani - przychodził do nich ksiądz! Miało to miejsce w każdy pierwszy piątek miesiąca. Na podstawie otrzymanego od proboszcza planu - odszukiwałem ludzi przykutych do łóżek, wózków inwalidzkich, poruszających się o kulach lub zbyt słabych, aby dotrzeć do progów kościoła. W jednym z takich domów natrafiłem na matkę, która z ciężkim sercem zaprowadziła mnie do pokoju córki, leżącej bezwładnie na łóżku. Choroba mówiła sama za siebie - stwardnienie rozsiane w ciężkim stadium. Dziewczyna około 30 - letnia nie mogła się już wypowiadać. Nie była w stanie wypowiedzieć żadnego zrozumiałego słowa. Jej ręce trzepotały po pościeli, a z oczu (kiedy mnie ujrzała) popłynęły łzy. Historię nieszczęsnej córki opowiedziała mi matka.

Agnieszka wyszła za mąż przed ośmiu laty. Była zakochana i szczęśliwa jak nigdy w życiu. Jej wybranek był tym pierwszym, wymarzonym, z którym chciała spędzić resztę swojego życia. On, czuły i kochający - zdawał się nie widzieć poza nią świata. Zapewniał o dozgonnej miłości i wierności. Początek bajkowy, jakich wiele. Kłopoty zaczęły się w chwili, gdy dziewczyna spostrzegła pierwsze oznaki choroby. Zaczęła walkę z czasem. Niemal instynktownie zapragnęła mieć dziecko i niemal w ostatniej chwili udało się jej, gdyż mąż dowiedziawszy się o chorobie żony zaczął się od niej odsuwać, a po paru miesiącach wyprowadził się do swojej matki - po usilnych

namowach tej ostatniej. Co więcej - matka kategorycznie zabroniła mu odwiedzać żonę, bo w przeciwnym wypadku wyrzuci go z domu i... „będzie musiał do końca życia podcierać dupę kalece”. Tymczasem kaleka, jeszcze wówczas całkiem sprawna, szczęśliwie urodziła piękną, zdrową córeczkę. Wkrótce po tym wydarzeniu jej stan pogorszał się z tygodnia na tydzień. Wycieńczona ciężkim porodem dziewczyna, nie miała dość sił do walki ze straszną chorobą. Trzymała się jednak bardzo dzielnie. Motywacją i całą nadzieją była teraz dla niej (po odejściu męża) maleńka Dorotka. Dzieckiem opiekowała się wspólnie z matką która, choć mieszkała w innym miejscu, każdego dnia spędzała wiele godzin z córką i wnuczką. Tymczasem teściowa nie próżnowała - postanowiła za wszelką cenę odebrać dziecko matce. Nie kierowały nią bynajmniej żadne wzniosłe uczucia, a już na pewno nie dobro maleństwa. Według jej planu - syn miał na zawsze pozostać z nią, a dziecko odbierze Agnieszce „za karę”. Była przekonana, że Agnieszka z pełną świadomością i premedytacją wyszła za Andrzeja, wiedząc o swojej chorobie, aby związać mu życie i zrobić z niego pielęgniarza. W końcu dopięła swego - sąd przyznał ojcu opiekę nad dzieckiem, uznając jednocześnie matkę za niezdolną do jego wychowania. Po wyroku stan Agnieszki znacznie się pogorszył. Mogła już tylko leżeć i płakać z żalu za dzieckiem. Razem z nią rozpaczała zboliała matka. Ta maleńka istota, którą im zabrano, była dosłownie jedyną radością ich życia, które w przypadku córki wypalało się teraz z każdym dniem. Babcia Dorotki na kolanach prosiła teściową i zięcia, aby choć na kilka minut w tygodniu pozwolili przyprowadzić ją do córki - bezskutecznie. Nowa opiekunka stwierdziła bez ogródek, że „widok ciężko chorej kobiety mógłby przestraszyć małą”.

Trudno mi opisać ból, jaki wyrażały zmęczone, przekrwione oczy Agnieszki. Ściskała w rękach oprawiony obrazek dziecka. Wyła, trzęsła się i łkała nie mając już łez do płaczu. Straciła wszystko co miała - małżeństwo, młodość, marzenia, plany, jedyne dziecko i wszelką nadzieję. Czekwała na śmierć. Cóż miałem jej powiedzieć - że „Bóg Jest Miłością?”

Powyższą historię, nie mającą wiele wspólnego z tematem spowiedzi, przytoczyłem nie bez powodu. Niech będzie ona przeciwwagą dla innej, jeszcze bardziej makabrycznej, której finałem było prawdziwe morderstwo.

Popełniła je synowa na znienawidzonej świekrze. Przez kilka miesięcy podtruwała ją, dodając systematycznie do posiłków niewielkie dawki trucizny na szczury. Prawie 80 - letnia staruszka, nie mająca do tej pory poważniejszych kłopotów

ze zdrowiem, zaczęła nagle odczuwać silne bóle brzucha i opadać z sił. Miejscowy doktor nauk medycznych zalecił kurację ziołami i ścisłą dietę. W aromatycznych ziółkach strychnina rozpuszczała się nadzwyczaj dobrze. Kobiętę nękały notoryczne wymioty. Umierała powoli pod wpływem trucizny i ciągłego niedożywienia. Lekarz, na podstawie czarnej barwy wymiocin, wydał ostateczną diagnozę: zaawansowany rak żołądka. Po tym wyroku synowa, „opiekująca się troskliwie” zboleła „mamusią”, zwiększyła radykalnie dawki i wkrótce nastąpił zgon. Naturalnie z okazji pogrzebu zrozpaczona morderczyni, wraz z innymi członkami rodziny, przystąpiła do spowiedzi. Zatajając śmiertelny grzech, przyjęła następnie świętokradzko Komunię Świętą.

Zamordowana starsza kobieta była za życia uosobieniem dobroci i serdeczności. Kochała i szanowała ją cała rodzina. Cieszyła się ogólną sympatią sąsiadów i znajomych. Cicha, pokorna; zawsze skora do pomocy dzieciom, zwłaszcza odkąd zmarł jej mąż - pragnęła poświęcić się im bez reszty. Chciała spędzić resztę swego życia ciesząc się ich szczęściem oraz upragnionymi wnukami. To właśnie było głównym powodem, dla którego oddała synowi i jego wybrance solidny, przestronny dom i niemałe gospodarstwo. Popełniła jednak jeden błąd, który kosztował ją życie - zatrzymała dla siebie jeden (zdaniem synowej - „najpiękniejszy”) spośród czterech pokoi. Jej „ingerowanie” w życie młodych sprowadzało się do gotowania dla nich obiadów i pomocy w gospodarstwie, na miarę nadwątłych wiekiem sił.

Jednak młoda synowa zapragnęła być jedyną panią domu i gospodynią „całą gębą”. Marzył jej się duży salon z kominkiem w pokoju teściowej. Mierzyła ją obecność „starej” kiedy przyjmowała w domu swoje towarzystwo, choć tamta siedziała wówczas za dwoma ścianami. Starzy ludzie - jak później wyznała - zawsze działali na nią przygnębiająco: „wydawało mi się, że w moim nowym, wymarzonej domu po prostu śmierdzi od tej starej”.

Minęło ponad pół roku od zbrodni. Wyrzuty sumienia przywiodły ją w końcu do krtek konfesjonału. Po łamiącym, pełnym rezygnacji i wzruszenia głosie wyczułem, iż nie będzie to zwyczajna spowiedź. Była jeszcze młodą dziewczyną. Popełniając tę straszną, wyjątkowo bezsensowną zbrodnię myślała, że świat leży u jej stóp i trzeba za wszelką cenę go sobie podporządkować. Chciała, choćby po trupach, żyć pełnią życia; pokonać wszelkie przeszkody na drodze do wyznaczonych celów i szczęścia, którym wówczas była dla niej pełna niezależność. Według jej słów, miało to podłoże w domu rodzinnym, gdzie traktowano ją wyjątkowo surowo, a despotyczni

rodzice, na przekór buntowniczymu usposobieniu córki - do końca, tj. do jej ślubu i odejścia z domu - podejmowali za nią wszystkie, nawet najdrobniejsze decyzje.

„Wyrwałam się od nich jak pies z łańcucha, ale w tej nowej, nareszcie własnej „budzie” zawadzała mi ta biedna, stara kobieta” - załkała z wielkim bólem w głosie dziewczyna.

„...Nie miałam żadnego powodu żeby jej nienawidzić; chciałam ją tylko... usunąć. Potem, gdy już to się stało, nie odczułam ulgi - raczej pustkę. Z czasem zaczęło mi nawet brakować „starowinki”; jej pomocy, porady, dobrego słowa, którego nigdy mi nie szczędziła. Dopiero wówczas uświadomiłam sobie, co tak naprawdę się stało. Od tej pory nie przespałam spokojnie jednej nocy. Chciałam sama nadać sobie jakąś pokutę, bo nie wyobrażałam sobie, że mogę kiedykolwiek wyjawić komuś swój grzech. Czy jest jednak coś, co może go zmasać? Jak mam z nim dalej żyć!?”

Z pewnością nie „coś”, ale Ktoś mógł to uczynić. To, co u ludzi jest niemożliwe - jest możliwe u Tego, Który nas wszystkich powołał do życia i umarł na krzyżu za największych grzeszników. Może był to podszept Ducha Świętego, a może tylko moja ludzka intuicja - wiedziałem jednak, że ta zbłąkana owca już otrzymała przebaczenie. Jej Niebieski Ojciec wyszedł na drogę i przez pół roku czekał na nią, a kiedy wróciła - Jego przebacząca miłość była tym większa i bardziej oczywista, im głębszy był jej żal i niepewność.

„Idź i nie grzesz więcej” - powiedziałem, udzielając jej rozgrzeszenia.

Długo w nocy myślałem o tym, jakie tragiczne i pokrętne scenariusze potrafi pisać życie. Byłem do głębi wstrząśnięty tą całą historią. Kiedy w końcu zasnąłem, miałem sen - wizję. Zobaczyłem Chrystusa wiszącego na bardzo wysokim krzyżu. Z głębokich ran Zbawiciela płynęła obficie krew, której całe strugi - spadając - w powietrzu dzieliły się na miliony mikroskopijnych kropelek. Pod krzyżem ujrzałem młodą zabójczynię, pełną bólu i skruchy - stojącą ze zwieszoną głową. Nagle jedna z czerwonych drobinek krwi upadła na nią. Dziewczyna podniosła głowę i uśmiechnęła się - została oczyszczona!

„Chwała na Wysokości Bogu!” - powitałem głośno nowy dzień, wstając rano z łóżka.

Charakter pracy kapłańskiej, a zwłaszcza kontakty z ludźmi w konfesjonale, wielokrotnie zmuszały mnie do refleksji nad wartością ludzkiego życia. Nie myślę w tej chwili o wartości nadprzyrodzonej, bo to jest zupełnie inny wymiar i inna perspektywa. Patrzyłem po prostu na ziemską wegetację tego rozumnego pyłu, którym

jest każdy z nas. Obserwowałem ludzi różnych stanów, w różnym wieku; bogatych i biednych, mądrych i głupich, wolnych i żonato - zamężnych. Być może zgodnie z zasadą „głodnemu chleb na myśli” - szczególnie intrygował mnie i ciekawił stan małżeński.

Jak wygląda życie we dwoje, z perspektywą rozwoju tj. powiększenia rodziny? Co robić żeby osiągnąć szczęście w małżeństwie, rodzinie - pokój i miłość we własnym domu? Tyle razy widziałem rozanielone, rozpromienione oblicza nowożeńców. Ile w ich oczach było radości, nadziei - co tam nadziei - pewności, że oto zaczyna się dla nich prawdziwe życie, będące pasmem uniesień i spełnionych marzeń.

„Trudności owszem - będą, ale razem, we dwoje pokonamy wszelkie przeszkody na drodze do wspólnego szczęścia; przecież nasze małżeństwo jest wyjątkowe. Nam musi się udać!” Takie nastawienie do nowej drogi życia cechuje 99% młodych par.

Nie muszę się chyba zbytnio rozwodzić nad tym, jak często te obopólne, błogie oczekiwania są boleśnie weryfikowane przez czas, okoliczności; po prostu przez samo życie. Im bardziej kolorowe są sny, tym bardziej przykre bywa przebudzenie. U podstaw tego wszystkiego leżą ludzkie słabości i wrodzona skłonność każdego człowieka do zła. Tak było, jest i będzie. Nigdy nie warto obiecywać sobie po tym świecie niczego nadzwyczajnego. Lepiej przeżywać miłe niespodzianki, aniżeli bolesne rozczarowania. Ogromna większość ludzi, których spowiadałem, była ogólnie niezadowolona ze swojego życia. Te kilka zdań refleksji, to również część wniosków będących efektem „pracy” spowiednika.

Rozczarowania związane z małżeństwem są szczególnie dotkliwe, gdyż nadzieje i oczekiwania z nim związane należą do największych w życiu człowieka. Związek kobiety i mężczyzny jest podstawowym zamysłem Bożym; naturalnym stanem ich ziemskiej egzystencji, a wiadomo, iż wszelkie odstępstwa od natury sprzyjają wynaturzeniom.

Młodzi ludzie nie powinni zatem bać się małżeństwa, ale też nie podchodzić do niego z zaślepiającą euforią. Nastawiać się trzeba raczej na trudy i wyrzeczenia; pogodzić z koniecznością rezygnacji z własnego JA. Bez tego żadne małżeństwo nie ma przed sobą przyszłości. Naturalnie, jeśli np. przyszły małżonek woli szczęście „procentowo - wyskokowe” od rodzinnego - to nie należy rezygnować z siebie, ale raczej z niego. Dojrzały wybór właściwego kandydata (kandydatki) ma więc ogromne,

kluczowe znaczenie. Jednak podstawą, fundamentem jest wzajemna, prawdziwa miłość.

W ciągu trzech lat kapłaństwa wypowiadałem bez wątpienia kilkanaście tysięcy małżonków w różnym wieku i o różnym stażu małżeńskim. Niemal wszyscy opowiadali mi o swoich mniejszych lub większych problemach, związanych ściśle z wzajemnym pożyciem. Co najmniej parę tysięcy z nich w najdrobniejszych szczegółach wprowadziło mnie w najbardziej intymne tajniki swojego życia małżeńskiego. Zwłaszcza kobiety potrafią nieraz tak szczerze otworzyć się przed spowiednikiem, że ten - po wysłuchaniu „naraż” kilkudziesięciu spowiedzi - mimo pewnej nieuniknionej rutyny, osłupieje i musi nagle rozpiąć pod szyją guziki od sutanny. Sam byłem wielokrotnie zażenowany tą otwartością, często (powiedzmy sobie otwarcie) niepotrzebną. Naturalnie, niepowtarzalna okazja samego wypowiedzenia się bez żadnych zahamowań, pod świętą tajemnicą spowiedzi, jest dla wielu kusząca. Takiej okazji, zwłaszcza jeśli chodzi o problemy moralne, nie zapewni ani psychoterapeuta, ani tym bardziej koleżanka z pracy. Problem jednak leży właśnie w charakterze poruszanych problemów i oczekiwanej porady.

Niektóre kobiety pytają dla przykładu jaką mają przyjąć... pozycję podczas stosunku, aby odczuwać maksymalną przyjemność albo co robić żeby w ogóle mieć orgazm.

„Mój chłop to ledwo włoży i... aby aby - już jest „gotowy”. I tak to jest prośbę księdza ponad 50 lat! Co ja mam robić?” - żaliła mi się pewnego razu prawie ...80 - cioletnia wiejska kobiecina. Trzeba mocno zaznaczyć, iż mimo tak szybkiej „gotowości” męża, nigdy go nie zdradziła, ale też małżonkowie nigdy (w ciągu 50 - cium lat!) nie konsultowali swojego problemu ze specjalistą! Przez cały ten czas kobieta, wstydząc się wyjawic komukolwiek delikatny, małżeński problem

- ograniczała się wyłącznie do porad u każdego „nowego” kapłana
- spowiednika.

Ksiądz, z natury rzeczy, nie powinien nic wiedzieć na takie tematy; ba, ignorancja w tym względzie powinna być mu poczytana za oczywisty atrybut i cnotę. Wiem jednak, iż wielu ojców duchowych świetnie sobie radzi z tego typu problemami. Pamiętam, jak kilka razy kobiety bardzo nieufnie słuchały moich zakłopotanych wyjaśnień, że to nie ten adres - że nie jestem żaden Rasputin, Kaszpirowski czy inny „speolog”. Brak mi wiedzy teoretycznej (wszechstronne wykształcenie seminaryjne nie sięgało aż tak daleko) i hmm... hmm... tym bardziej

praktycznej.

Myślicie, że kobiety dawały temu wiare?! „Niech ksióndz nie opowiada takich dyrdymałów, wszystkie wiedzą, a ksióndz jedyn nie wi...” - zachnęła się kiedyś rezolutna niewiasta ze wsi, której ambicją było chyba ukończenie zaocznych studiów seksuologii w rodzimym konfesjonale. Jedna zawiedziona, tylko raz ze zrozumieniem stwierdziła - „No tak, ksiądz jeszcze młody - niedoświadczony”. Myślę, iż gdybym wówczas posiadał taką wiedzę, dzieliłbym się nią bez wahania i na pewno bez obłudy (bo tej nienawidzę chorobliwie). Ciągłe jeszcze w niektórych środowiskach wiejskich parafianie - „wszystko mają to za całe zdrowie, co im ksiądz na kazaniu powie”. Trudno więc winić duszpasterzy, że dla szeroko pojętego dobra swoich owieczek sięgają czasem do skarbnicy swoich własnych doświadczeń...

Bardzo wielu penitentów, w tym chyba większość chłopców i dorosłych mężczyzn, ma najróżniejsze skrupuły i wątpliwości dotyczące etyki życia płciowego. Do najczęściej stawianych pytań należą: „czy pocałunek, seks oralny jest grzechem?”; „czy stosunek przerywany, onanizm to grzechy ciężkie czy lekkie?”. Co najmniej połowa tych problemów dotyczyła antykoncepcji.

Niestety - obsesyjna, chorobliwa wręcz ciekawość ustawodawców kościelnych: co i jak „normalni” ludzie robią pod pierzyną oraz idące za tą ciekawością konkretne nakazy, zakazy i sankcje - zbierają smutne żniwo. Lojalni wierni także w tej materii „słuchają się” tylko Kościoła. Wielu ludzi zamiast się cieszyć w łóżku seksem - darem Stwórcy i jedną z niewielu radości życia; odreagować stresy i znaleźć ukojenie - popada w nerwice i poważne wyrzuty sumienia. Boją się poprosić w aptece o pigułki antykoncepcyjne, a jeśli już uda im się je zdobyć - chowają w ostatnie dziury, żeby nikt ich nie posądził o niemoralne współżycie. Ręce im się trzęsą gdy zakładają prezerwatywę!

Bo też wszystkie w/w zachowania i praktyki są według katolickiej teologii moralnej - „grzeszne, niegodne dzieci Bożych i sprzeczne z ich naturą”; a ostatnio na określenie farmakologicznych środków zapobiegających zapłodnieniu oraz prezerwatyw - używa się bardzo modnego w kręgach kościelnych określenia - „nieekologiczne”.

Takie głupie, bezduszne prawa mogą ustanawiać tylko niewyżyte, obleśne staruchy za wielkimi biurkami w Watykanie. Przypomina się stare, ludowe porzekadło: „Pies gnota nie zeżre i drugiemu nie da...”. Szeregowi księża nie mają z tym nic wspólnego, poza bólem głowy w czasie spowiedzi od ciągłego tłumaczenia

„nieomylnych” - pomyłonych „przykazań” kościelnych.

„Gdzie ja mam się do cholery spuszczać?...” - wyrzucał mi z nerwami, podczas wizyty w kancelarii, pewien mężczyzna - „...do środka boję się nawet w atestowanej prezerwatywie, bo mam już trójkę dzieciaków, a poza tym podobno „w gumowcu” - grzech śmiertelny. Babie na brzuch - grzech; samemu - grzech. Ale ja się do zakonu nie nadaję. O nie!!!”

„Proszę księdza, mam bardzo dużego penisa. Kochamy się z żoną tylko raz w miesiącu, a ją i tak potem cały tydzień wszystko boli. I ona zaspokaja mnie więc często ręką i ustami - czy tak się godzi; proszę księdza, czy to nie grzech albo zboczenie”.

Ludzie na Boga! Dajcie sobie luz! Przestańcie zawracać głowę tym biednym spowiednikom podobnymi bzdetami. To są tylko i wyłącznie Wasze sprawy i nikt nie może Wam dyktować co i jak macie robić we własnej sypialni. Poza tym - po co niepotrzebnie „napalać” duszpasterzy, którzy i tak mają wyostrzony apetyt. Brakuje tylko tego, żeby kapłan po udzieleniu ślubu uczestniczył także w nocy poślubnej, spisując później odpowiedni protokół - „consumatum czy non consumatum?” (tak przecież naprawdę kiedyś bywało!). A jeśli zatroskany o Wasze zbawienie ojciec duchowy okaże się zbyt dociekliwy w tej materii - to znaczy, że się ślini słuchając takich kawałków albo jest służbistą. W obydwu przypadkach trzeba mu koniecznie dać jasno do zrozumienia, żeby powtórzył sobie 10 Przykazań Bożych, w których nie znajdzie takich, jak np:

- Nie będziesz się kochał ze swoją żoną inaczej jak tylko „po bożemu”!
- Będziesz miał tyle dzieciaków - iloma pobłogosławi cię Pan. Jeśli spróbujesz ingerować w błogosławieństwo Najwyższego - niechybnie umrzesz!

- Masz być wierny jednej kobiecie, z wyjątkiem takiej, która dopuściła się cudzołóstwa ze... spiralą, globulką, wkładką lub innym kapturkiem! Taka ma być przez ciebie oddalona!

- Kto stosuje gumę lub chemię w naturalnym współżyciu ze swoją żoną jest winien śmierci. Jeśli kawałek gumy na twoim członku ma być dla ciebie powodem grzechu - odetnij go!

- Pamiętaj, że onanizm jest zastrzeżony tylko dla Moich kapłanów!

Dzięki Bogu, ludzie w coraz mniejszym stopniu dają się ogłupiać i sobą manipulować. Zdecydowana większość przychodzi do spowiedzi z prawdziwymi problemami i grzechami.

Jeśli jesteśmy przy małżonkach, to niewątpliwie najbardziej bolesnym jest grzech zdrady małżeńskiej, zrywający tę cudowną i niepowtarzalną, duchowo - cielesną więź pomiędzy kobietą i mężczyzną. To prawdziwa katastrofa dla małżeństwa i błąd, zazwyczaj nie do naprawienia. Nie potrafię powiedzieć kto częściej zdradza - mężczyźni czy kobiety; chyba mniej więcej po równo. Jedno jest pewne - ci pierwsi robią to zdecydowanie z powodu samczej żądzy. Natomiast babami kieruje wrodzona u nich ciekawość. Powszechnym, zwłaszcza w przypadku mężczyzn, jest usprawiedliwienie w stylu - „pieprzyć mogę cały babiniec, ale kochać zawsze będę tylko tę jedną, jedyną: moją żonę. Słuchałem bardzo wiele takich historii i mam w związku z tym dwie rady.

Po pierwsze - jeśli już zdradziłeś (zdradziłaś) i szczerze tego żałujesz - nigdy nie przyznawaj się do zdrady, a twoją najlepszą „pokutą” niech będzie jeszcze większa miłość do partnera. Uratujesz w ten sposób swoje małżeństwo; możesz je nawet wzmocnić. Mając ciągle wyrzuty sumienia łatwiej, nawet mimo woli, wynagradzać własne winy drugiej stronie. Szczerze wyznanie zdrady, połączone z równie szczerą skruchą i zapewnieniami, że „nigdy więcej”... prawie zawsze - prędzej czy później - niszczą najbardziej trwałe związki. Posiana nieufność i zawiedzione nadzieje rodzą raka, który stopniowo toczy osłabiony, zraniony organizm. Jeśli widać już jego symptomy (choćby sporadyczne wypominanie, i tzw. trucie) - proponuję poważnie zastanowić się nad rozwodem. Będzie to jak najbardziej zgodne z prawem, które dał Jezus.

Na tej samej zasadzie, nigdy nie należy przyznawać się (zwłaszcza kobieta mężczyźnie) do swoich przygód, romansów i prawdziwych miłości przeżytych przed ślubem. W tych wyjątkowych wypadkach szczerść nie popłaca - dla samego dobra małżeństwa i całej rodziny.

Odwieczne i najczęstsze problemy małżonków mają jednak swoje podłoże nie tyle w łózkowych skrupałach moralnych czy też nawet małżeńskich zdradach, lecz w różnicach charakterów, temperamentów czyli tzw. niedobranii się. To może wyjść, a raczej (wówczas) wybuchnąć, nawet po kilkudziesięciu latach małżeństwa.

Przytoczę jeden, chyba najbardziej charakterystyczny przykład. Mężczyzna „po czterdziestce” odbył u mnie długą spowiedź ze swojego 20 - letniego małżeństwa. Początek, jak wiadomo - sielanka. Chłopak był niesamowicie ambitny. Postanowił zapewnić sobie, a przede wszystkim ukochanej żonie i przyszłym pociechom, wszelki dostatek i komfort. Z małego, wiejskiego gospodarstwa, po kilku latach uczynił

siedzibę prężnej firmy transportowej i budowlano - remontowej. Odniósł prawdziwy sukces finansowy. Wzrósł niepomniernie prestiż jego rodziny w całej okolicy. Parterowy dom teściów zamienił na budynek gospodarczy, a obok wystawił 2 - piętrową willę z jedenastoma pokojami. Niestety, wszystko ma swoją cenę - mężczyzna przez cały czas ciężko pracował. Inwestycje, które prowadził, wymagały jego ciągłych pobytów poza domem. Sukcesem było, jeśli wpadał dwa razy w tygodniu na kilka godzin. Bolał nad tym, ale przecież... „Moja żona miała wszystko - każdy ciuch, pierścionek; dom jak z bajki. Dwa razy w roku jeździła na wycieczki zagraniczne. Dwójka dzieci szpanowała najwspanialszymi zabawkami. I nagle ona - moja żona, którą tak kocham - chce rozwodu!!!”

„A po co jej - durniu jeden...” - pytam się go wkurzony - „...były te ciuchy i pierścionki, skoro nie mogła ci się nawet dobrze w nich pokazać? Pytam się - po jaką cholere jej ta chałupa, w której siedziała sama całymi dniami na skórzanej kanapie i gapiła w 40 - ca - lowy, najnowszy japoński telewizor. A z kim miała się kochać w długie, samotne noce? - z atlasowym baldachimem nad łóżkiem czy mosiężną klamką w sypialni?!

Dacie wiarę, że facet oprzytomniał. Olśniło go! Gdyby wcześniej porozmawiał z żoną, z pewnością powiedziała mu dokładnie to samo. Ale on uniósł się honorem, walnął drzwiami i poszedł wyzalić się do księdza - jaką to ma niewdzięczną babę. Po paru dniach przybiegł cały w skowronkach i ze łzami w oczach dziękował mi, że uratowałem mu małżeństwo. Guzik prawda, ale cieszyłem się szczerze razem z nim. Miał chłop wielkie szczęście, że żona naprawdę go kochała i nie znalazła „pocieszenia” w ramionach sąsiada czy inkasenta, kiedy jej pan i władca budował innym domy, burząc w tym czasie swój własny.

Każde małżeństwo, rodzina ma swoją specyficzną i jedyną atmosferę - własne radości, problemy i sposoby na ich przeżywanie (chodząc po kołędzie przekonałem się, że każda rodzina ma nawet swój własny zapach!). Nie istnieje więc jedna, jedyna metoda uzdrowienia i uszczęśliwienia wszystkich. Są jednakże prawidła i sposoby uniwersalne, co do których wszyscy mogą się z powodzeniem stosować.

W łagodzeniu ogromnej większości konfliktów pomiędzy małżonkami a ich dziećmi; teściami, dziadkami, rodziną, obcymi - jednym słowem - w relacjach międzyludzkich - istnieje jedna, złota zasada «POSTAW SIĘ NA MIEJSCU DRUGIEGO CZŁOWIEKA ». To wielka sztuka, ale jednocześnie miara Twojej ludzkiej wartości

- jako męża, żony, ojca, matki, dziadka, babki, teściowej, synowej, szefa, podwładnego, królewicza, żebraka itd. Każdy ma w sobie dar zrozumienia motywów, które kierują innymi ludźmi, ich intencji i przyjmowanych (często na pokaz) postaw, ale niewielu chce ten dar rozwijać. A to jest właśnie klucz do udanego małżeństwa, kontaktów z szefem czy teściową. Trzeba dosłownie wejść w skórę drugiego człowieka; spojrzeć na dany problem jego oczami. Do tego potrzebna jest też obiektywna samoocena i dużo, dużo pokory. To wcale nie łatwe - uświadomić 17 - latce miłość matki, wyrażoną w zakazie pójścia na „nocną” prywatkę. Trudno pogodzić się z niedołęstwem starszych ludzi, a jeszcze trudniej uznać ich dziwactwa, nerwowość, podejrzliwość, ale jak by nie patrzył - mają do nich naturalne prawo _ czas i zmagania z losem pozostawiają na każdym jakieś piętno.

Tak to wtedy tłumaczyłem (śmiejem twierdzić - niegłupio) moim zagubionym, kochanym owieczkom i tak bym tłumaczył dziś. 90% pokut, które zadawałem w „konfliktowych” spowiedziach były dobrymi uczynkami lub innymi formami sympatii okazanej „wrogowi”.

Trzeba zawsze pamiętać, że wszyscy ludzie są dziećmi Bożymi i tym samym naszymi braćmi - już choćby z tego powodu winniśmy okazywać im wyrozumiałość i przebaczenie. Wszyscy też jesteśmy grzeszni i mamy wręcz prawo popełniać błędy. Ale w każdym człowieku tli się choć maleńka iskierka Bożej miłości. O wiele łatwiej ją stłumić aniżeli rozdmuchać.

Nie mamy jednak obowiązku postępować w taki sposób z ludźmi - hienami (bo i tacy bywają), którzy tylko czekają na dobrodusznego, dobrotliwego, życiowego „fajtlapy”. Na pewno spotkaliście takie typy „bez sumienia” - żerujące na krzywdzie i cierpieniu innych. Wasza kultura i dobroć może być przez nich potraktowana jako przejaw słabości. Nie nadstawiajcie im drugiego policzka! Można się za nich modlić i pościć, ale trzeba też z nimi walczyć, gdyż gotowi zniszczyć Was i Waszych najbliższych. Walka z chamstwem i dziadostwem jest konieczną i chwalebłą samoobroną. Jest też pewnego rodzaju „świętą wojną”. Na co zasługują wielokrotni mordercy? Bez cienia skruchy śmieją się szyderczo z nieudolnego prawa, które za wielokrotne morderstwa, za śmierć niewinnych ludzi gwarantuje im utrzymanie i dach nad głową na 15, 20, 25 lat, a nawet do śmierci! Powinni być eliminowani jak pasożyty z niszczonego przez nich środowiska! „Miejcie wstręt do złego...” - poucza nas św. Paweł.

Może trochę mnie poniosło, ale Wierście mi - nasłuchałem się na

spowiedziach (i nie tylko) takich historii, że na samo wspomnienie czasem „nóż się w kieszeni otwiera”. Jakże podli potrafią być ludzie!!! Pamiętajmy jednak zawsze o podstawowej zasadzie - «zawsze bardziej trzeba walczyć ze złem, które jest w człowieku aniżeli z samym człowiekiem».

Jeśli już mi się ten „nóż otworzył” to wspomnę o tym, co najbardziej wstrząsało mną na spowiedziach. Bywały takie zwierzenia od których „uszy puchły” i chciało się czasami wyjść z „budy” i najwyczejniej nawalić gościowi po ryju.

Wyobraźcie sobie taką spowiedź. 40 - letni mężczyzna opowiada o molestowaniu seksualnym własnych dzieci:

„...Zacząłem się od Justynki. Jak miała półtora roczku zacząłem wyręczać żonę w opiece nad nią. Szczególnie lubiłem ją kąpać. Obmacywanie pulchnego ciała Justysi sprawiało mi coraz większą przyjemność. Potem - „dla zabawy” - lizałem po kąpieli jej „szparkę”. Pewnego wieczoru, kiedy żona wyszła na dłużej do koleżanki, nie wytrzymałem - wszedłem do łóżeczka małej, nasmarowałem dokładnie wazeliną ją i swojego penisa i... „zrobiłem to”. Justynka płakała, ale ponieważ byłem bardzo podniecony, długo to nie trwało. Bałem się, że dzieciak będzie tak chlipał do przyjścia żony. Dałem więc Justynce silne środki nasenne, po których zaraz zasnęła. Powtarzałem to prawie zawsze, kiedy byłem z nią sam w domu; czasami także w ciągu dnia”.

Justyna miała w czasie spowiedzi ojca 15 lat. Najpierw przekupywana, a później szantażowana, pełna wstydu - nikomu nie wspomniała o dramacie dzieciństwa. Stała się zamknięta w sobie i znerwicowana, choć „tatuś” nie współżyje z nią już od kiedy poszła do pierwszej klasy. Akurat w tym czasie jego uwaga zaczęła się skupiać na jej młodszej siostrzyczce. Historia dokładnie się powtórzyła - kolejne dziecko przeżyło swój „pierwszy raz” z ojcem - pedofilem.

„Kiedy nasza druga córka skończyła osiem lat zapragnąłem kolejnego dziecka” - zwierzał się dalej troskliwy tato - „...byłem zły, bo urodził się... chłopak. Wydaje mi się, że wtedy moja żona zaczęła się czegoś domyślać. Teraz Tomuś ma dwa latka, a ja zaczynam rozmyślać... jak mogę to z nim robić? CHYBA coś jest ze mną nie w porządku. Przecież to mój własny syn...”.

Ten człowiek wydawał się być pozbawiony ludzkich - wyższych uczuć. Przez kilka minut potrafił niemal z dumą opowiadać, jak starał się bardzo delikatnie „wchodzić” w dziewczynki. „Ja w zasadzie ...wyrażałem w ten sposób swoją miłość do nich” - skonkludował zboczeniec.

Nie wiedziałem co z nim zrobić - nie miał właściwie świadomości popełnionego grzechu, a więc również poczucia winy i żalu. Musiałem wpięrować go, żeby uświadomić mu, że tylko nieliczne, bardzo prymitywne zwierzęta posuwają się do podobnych praktyk. To był wyjątkowo ciężki przypadek - typ bezdusznego racjonalisty; przy tym wcale nie głupi facet. Długo nie mógł jednak załapać gdzie leżała jego, jakże wielka wina. Nie dałem mu tego dnia rozgrzeszenia. Spotkaliśmy się jeszcze trzy razy zanim uznałem, że rozumiał wreszcie - kim był i co zrobił. Ja „uznałem”, ale czy uznał to Bóg!?

Spowiadałem chyba kilkunastu pedofili, ale zawsze spowiedzi te poruszały mnie do żywego. Najbardziej przerażające jest to, że największą grupę wśród nich stanowią ojcowie gwałcący własne dzieci oraz księża, powołani do obrony „maluczkich”.

Psychika i zachowania ludzkie stanowią zawsze nieodgadnioną zagadkę. Są typy zdolne autentycznie do wszystkiego. Większość ludzi ma na szczęście swoje granice występku. Istnieją jednak tacy, którzy swoimi zwierzeniami potrafią zaszokować nawet najbardziej zaprawionych w boju spowiedników. Księża później opowiadają sobie takie historie, od których włos jeży się na głowie, a czasem ...brzuch boli od śmiechu. Takie reakcje są efektem rutyny i naturalnego wśród wieloletnich spowiedników „otraskania”. Z całą pewnością, o ile już się przytacza publicznie treść spowiedzi (naturalnie anonimowo), nie powinna być ona przedmiotem żartów czy też kpin. Nie miałem osobiście takiego przypadku, aby ktoś przyszedł do konfesjonału pożartować. Bywało jednak, że człowiek mimo woli się uśmiechnął.

Kiedyś spowiadałem dziadka (86 lat!) o niebywałym temperamencie seksualnym. Jego ślubna „wysiadła” jakieś ćwierć wieku wstecz. Dziadek jednak nie dawał za wygraną. Od tego czasu zdążył „zaliczyć” większość wdówek i innych samotnych niewiast w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, na terenie kilkunastu wiosek. Robił to za cichym przyzwoleniem żony. Niespożyty Don Juan przyznał uczciwie - jak na spowiedzi - że jeśli codziennie sobie „nie zamoczy” to ...”dzień ma z głowy i nie może w nocy zasnąć”. Poza tym, był to bardzo uczciwy i wierzący człowiek. Dzięki dużej krzepie, prócz pracy w swoim gospodarstwie pomagał też sąsiadom, zwłaszcza ...sąsiadkom. Nigdy, jak twierdził, nie uwiódł mężatki. Miał tylko jeszcze jeden „wstydlivy grzech” - notorycznie się ...onanizował.

Takie spowiedzi kochliwych 80 - latków (obojga płci) wcale nie należały do rzadkości. Temperament seksualny jest wyjątkowo indywidualną sprawą. Najbardziej

„ekscytującymi” spowiedziami z dziedziny erotycznej były jednak historie z cyklu „wszystkie zwierzęta małe i duże” albo - „zwierzę, najlepszym przyjacielem człowieka”.

Prawdziwym, zapalonym „miłośnikiem” zwierząt był pewien starszy kawaler, mieszkający na wsi ze swoją matką. Jego gospodarstwo różniło się od innych wyjątkowo urozmaiconym „pogłowiem” zwierząt. Czego tam nie było! Rogacizna wszelkiej maści, a oprócz tego:

konie, oślica, kilka owiec, świnie, króle, kury, kaczki, gęsi - wszystkiego po trochu, ale zwierzyńiec niczego sobie! Okoliczni gospodarze chwalili rolnika za inwencję we wszechstronnej hodowli i duże „zacięcie do bydła”. Bo i rzeczywiście - własną matkę tak nie „doglądał” jak swoje zwierzęta.

„ ...Jak miałem se radzić, kiedy wszystkie dziewczuchy ino za miastowymi się oglądają? Ani w żyto, ani do żeniaczki nie chcą. A że nieśmiały i trochę szpetny jezdem to i żem zaczął se kombinować ze stworzonkami...”

Uwierzycie!? Robił to ze wszystkimi swoimi zwierzętami!? Nie wyłączając świń, drobiu i skundlonej suki w domu!? Początkowo był wierny jednej owieczce, ale wkrótce zaczął ją zdradzać z innymi i... tak to się rozwinęło. Wiadomo - krew nie woda!

Pomyślałem z początku, że facet ma po prostu bardzo żółte papiery i urwał się na przepustkę z jakiegoś „kukułczego gniazda” albo robi mi głupi kawał. Na wszelki wypadek udzieliłem mu jednak stosownej (jak mi się wydawało) nauki i rozgrzeszenia. Wątpliwości co do „pionu pod jego sufitem” pozostały we mnie aż do następnej, podobnej spowiedzi. Tym razem natrafiłem na wielkiego miłośnika ptactwa domowego, a w szczególności kur. Twierdził, że potem... „lepiej się niosły”.

Być może kościelni „obrońcy moralności” zarzucą mi, iż zbyt wiele miejsca poświęcam w tym rozdziale sprawom związanym z 6 Przykazaniem, a raczej z jego łamaniem. Zapewniam więc ich pospiesznie - czynię to celowo i posłusznie w duchu kościelnym. Przecież to właśnie „Uświęcona Tradycja” oraz „Nieomyślne Nauczanie” Kościoła Katolickiego, ustami „nieskałanych” jego piewców głoszą, że: „Wszelkie zło i każdy grzech bierze swój początek z grzechu nieczystości”.

W powyższym stwierdzeniu jest dużo prawdy, ale niekiedy prawda (tak jak medal) ma dwie strony. Powiedziałbym nawet prowokująco i antyreklamowo, że tak, jak nadmierne wybielanie zniszczyło niejednego materiał, tak też ciągle pieprzenie o świętości - odsłoniło wiele brudu w strukturach Kościoła. Programowe robienie „na

chama” z ludzi aniołów - w przypadku spowiedzi wydało wyjątkowo cierpkie owoce. Chcę w tym miejscu poruszyć bardzo bolesny problem, nieodłącznie związany z sakramentem pokuty, od chwili jego praktycznego wprowadzenia przez Kościół, czyli powiedzmy od XIII - go wieku.

Jak wcześniej wspomniałem - Sobór Laterański II zajął się równocześnie dwoma zagadnieniami: obowiązkiem spowiedzi i celibatu. Konsekwencja usankcjonowania tego drugiego była taka, że nagle księża - pozbawieni pod przymusem żon i dzieci - stali się pokaźną drużyną wolnych strzelców, wiecznych kawalerów. Duża część duchowieństwa była - i jest obecnie - zupełnie usatysfakcjonowana takim stanem rzeczy. Utrzymywanie konkubiny i okazjonalne „przygody” na ogół mniej kosztuje niż posiadanie żony, na dodatek z przychówkiem. Najbardziej zamożnej warstwie społecznej nigdy nie nastęczało większych trudności zorganizowanie sobie czegoś na boku. Na dodatek wspaniałomyślna Matka Kościół od samego początku dała możliwość wykorzystywania spowiedzi do „podrywu”. Problem molestowania seksualnego penitentów podczas sakramentu pokuty stał się z dnia na dzień (obok niezliczonych skandali obyczajowych papieży i biskupów, nagminnego łamania przez księży celibatu oraz ciągłych utarczek z władzą świecką) jedną z największych rys na ogromnej budowli Kościoła.

Historycy średniowieczni słyną jak wiadomo z wielkiej skrupulatności w szczegółach opisywanych zdarzeń. Jeśli wierzyć jednemu z nich, to dla przykładu - pewien ksiądz z miasteczka Yepes we Francji miał jednego dnia stosunki z 9 - cioma Bernardynkami, które wcześniej kolejno wyspowiadał. W trakcie orgii zakonnice biczowały się przed nim nago w akcie pokuty. To chyba najbardziej drastyczny przypadek, ale istnieją setki historycznych zapisków relacjonujących podobne praktyki. Ze względów oczywistych wiadomo, iż jest to tylko wierzchołek faktycznej góry lodowej. Należy przypuszczać, że problem ten istnieje nadal i stał się znacznie bardziej powszechny, tak jak Kościół. Obecna praktyka przykrywania wszelkich brudów szatą świętości i nieomyślności oraz utajniania teczek personalnych księży w piwnicach kurii biskupich - może świadczyć tylko o naprawdę niepokojącej skali tego zjawiska.

Sam mogę złożyć na ten temat świadectwo - w ciągu trzech lat kapłaństwa co najmniej kilkanaście osób informowało mnie (najczęściej podczas spowiedzi), iż byli osobiście (lub ich najbliżsi) nakłaniani przez kapłanów do współżycia. Najczęściej miało to formę niewinnej z pozoru propozycji, typu: „...dziecko, wpadnij do mnie

dzisiaj wieczorem to rozwiniemy ten temat...” albo „...jesteś taka samotna - zupełnie jak ja, wyjedźmy gdzieś razem za miasto...”. Zdarzały się naiwne, które nie przeczuwając podstępu, „wpadały” i „wyjeżdżały” - podyskutować z inteligentnym człowiekiem o swoim życiu, problemach... aż tu (o zgrozo!) księżulo sprowadzał je na ziemię, a raczej do łóżka. Bywały też propozycje „wprost”.

Z historycznych zapisków i sygnałów, które sam odbierałem wynika, że w konfesjonałach molestowane były i są nie tylko kobiety, ale także mężczyźni (np. spowiadający się ze swoich praktyk homoseksualnych) zakonnice i dzieci.

Konfesjonał daje niepowtarzalną okazję do flirtów i podrywu. Jedną i drugą stroną obowiązuje tajemnica spowiedzi, a z nią nie ma żartów. Wyznawanie najbardziej wstydlivych, delikatnych szczegółów ze swojego życia; intymne zwierzenia w warunkach fizycznej bliskości

- to wszystko działa nadzwyczaj pobudliwie na (bądź, co bądź) „wygłodniałą” seksu świadomość duchownych.

Kościół od początku starał się ograniczać te „godne ubolewania praktyki” przez sankcje prawne nakładane na „świntuszących” księży. Ewentualne, bardzo rzadkie kary, miały jednak zawsze charakter wewnętrzny - kościelny, aby sprawie nie nadawać rozgłosu. We współczesnym Kodeksie Prawa Kanonicznego jest przewidziana kara dla kapłana „który w akcie spowiedzi albo z okazji lub pod jej pretekstem nakłania penitenta do grzechu przeciw Szóstemu Przykazaniu Dekalogu”. Karą tą może być zakaz odprawiania Mszy Świętych, spowiadania, głoszenia kazań itp; a zatem ukarany ksiądz ma wówczas mniej pracy i więcej czasu na „balety”.

Tylko w bardzo skrajnych przypadkach, tzn. kiedy sprawa staje się bardzo głośna dla pospólstwa, prawodawca przewiduje wydalenie ze stanu duchownego. W praktyce jest to prawie niemożliwe, gdyż zazwyczaj Kościół do końca „idzie w zaparte”. Podobnie rzecz się ma w przypadku księży, którzy: usiłują zawrzeć małżeństwo, żyją w konkubinacie, gwałcą - dorosłych, dzieci, zakonnice itp. Są oni karani tylko wówczas, gdy ich grzechy staną się „publiczne” i wywołują powszechne zgorszenie.

Nawiasem mówiąc - cały system panujący w Kościele nastawiony jest na robienie dobrego wrażenia i zręczny kamuflaż. Świadczy o tym zręczna konstrukcja Prawa Kanonicznego, np: „Za tajne przekroczenie nie należy nigdy nakładać pokuty publicznej”.

W poprzednim prawodawstwie Kościoła zawarta była sankcja ekskomuniki

dla kapłana udzielającego rozgrzeszenia kobiecie, z którą współżył. Udzielone rozgrzeszenie było poza tym nieważne. Ekskomunika to praktyczne wydalenie z Kościoła, łącznie z zakazem przyjmowania Komunii. W przypadku księży sprowadzało się to do niemożności pełnienia swoich funkcji, a tym samym utraty źródła utrzymania. Była to bardzo ciężka kara - od dawien dawna... niestosowana.

Do przeszłości należy również obowiązek donoszenia na molestującego spowiednika. Praktycznie jednak nigdy nie było takich denuncjacji, a wyjątkowo nieliczne - szybko upadały przed kościelnymi sądami. Jedynym świadkiem był bowiem sam molestowany. Poza tym kobiety (bo o nie najczęściej chodziło) bały się posądzenia o niemoralne prowadzenie, gdyż nakłaniane do współżycia były na ogół te, które wyjawiały na spowiedzi swoje najbardziej intymne słabości.

Dzisiaj stosuje się raczej środki zapobiegawcze. Przykładowo w Archidiecezji Łódzkiej istnieje, uchwalony przez lokalny synod, zakaz spowiadania kobiet poza świątynią, np. na plebanii. Spowiednicy zapraszali bowiem nierzadko co urodziwsze „grzesznice” do siebie, aby w bardziej sprzyjających warunkach nakłaniać je do... bardziej „dogłębnego” przeżywania „wiary”. Księża generalnie śmieją się z takich zakazów, ale jeśli już ktoś jest wyjątkowym służbistą lub też boi się denuncjacji - zaprasza dziewczę na „rozmowę duchową”, a nie spowiedź. Cel pozostaje zawsze taki sam: najzwyczajsza samczo - samicza kopulacja. Pewna dziewczyna (która niestety uległa) opowiedziała mi podobną przygodę. Według relacji owieczki, która szukała autentycznego duchowego wsparcia, gościnny i troskliwy kapłan już na wstępie zaserwował jej kilka drinków na odwagę, przed „koniecznym otwarciem się...”

Ogromnym błędem byłoby sądzić, że wszyscy czy też większość kapłanów nakłania swoich penitentów w czasie spowiedzi do współżycia. Postępuje w ten sposób zapewne tylko niewielki procent. Niestety, molestowanie seksualne w konfesjonale to niezaprzeczalny fakt. Powód też jest oczywisty - przeklęty celibat, który (wbrew zamysłom kościelnych ustawodawców) zamiast uczynić z księży wy - sterylizowane barany, popycha ich odwiecznym prawem natury ku ponętnym owieczkom. Znakomita większość spowiedników nie posuwa się jednak do wykorzystywania w tym celu konfesjonału. Siedzą za to posłusznie w „kiblu”, przyjmują wszelkie „odchody”, „podcierają Wasze grzeszne tyłki” i...chwala im za to!

Naturalną rzeczą, zwłaszcza u kapłanów z wieloletnim stażem, jest pewna rutyna i konfesyjne znużenie. Znałem takich, którzy mieli na widok „budy” odruch wymiotny. Jeden, pracujący obecnie w Łodzi kiedyś naprawdę wymiotował w czasie

spowiedzi i to w pierwszym roku kapłaństwa, ale w jego przypadku chodziło o „oddecho - wstręt”. Był po prostu przewrażliwiony na punkcie wyziewów z ludzkich gardzieli.

Nagminną postawą jest tzw. olewanie konfesjonału, bo trudno inaczej nazwać np. wyspowiadanie dwustu penitentów w ciągu stu minut. Bywają tacy artyści, którym ręka chodzi na okrągło - albo żegnają, albo stukają. Ale takie podejście jest też w dużej mierze konsekwencją podejścia ludzi świeckich. Traktowanie przez nich spowiedzi jest nadzwyczaj zróżnicowane. Można tu wyodrębnić co najmniej kilka zasadniczych postaw.

Najczęściej jednak wierni nie przejmują się okolicznościowymi „sprawozdaniami” u miejscowego plebana. Nawiasem mówiąc - prawie zawsze woła obcych. Spowiadają się na tyle rzadko i w tak błyskawicznym tempie, że z pewnością ważniejsza jest dla nich okresowa kontrola u stomatologa. Te drobne epizody w ich życiu - powtarzające się zwykle co rok, co kilka miesięcy lub okazjonalnie, np. z okazji pogrzebu bliskiej osoby - traktują jako zło konieczne, do „odbębnienia”. W takim traktowaniu Sakramentu Pokuty utwierdzają ich sami spowiednicy, którzy często sami popędzają swoich penitentów. W ten sposób koło się zamyka. Na usprawiedliwienie kapłanów trzeba lojalnie przyznać, iż gdyby chcieli „z sercem” podejść do wszystkich pokutników to, np. podczas rekolekcji wielkopostnych, fizycznie nie dali by rady wyspowiadać nawet połowy z nich. Większość ludzi idzie więc do spowiedzi przed świętami, żeby się dobrze poczuć - uspokoić sumienie - „że się było”. Rzadziej chodzi o autentyczne i głębokie pragnienie oczyszczenia, zerwania ze złem, rozpoczęcia nowego życia. Nie bez znaczenia jest tu również presja ze strony rodziny, a zwłaszcza rodziców względem dzieci. W małych środowiskach wiejskich o tym, że Józek Śmietana nie był u spowiedzi na Wielkanoc, a Jagna Boryny nie dostała rozgrzeszenia - wiedzą wszyscy, najpóźniej następnego dnia.

Dla mnie osobiście najbardziej bolesne i trudne do zaakceptowania jest to, co z naturalną ludzką potrzebą pokuty i przemiany uczyniły struktury Kościoła. Dla człowieka wierzącego oczywista jest zarówno jego grzeszność, jak też konieczność nawrócenia i walki z grzechem. Obecna praktyka spowiadania się przed Bożym Narodzeniem, a zwłaszcza Wielkanocą (obowiązek pod sankcją grzechu ciężkiego) i wyznaczanie w tym celu konkretnych dni, a nawet godzin - kłóci się z przesłaniem Pisma Świętego, które mówi wyraźnie, iż człowiek nie może zerwać ze złem siłą własnej woli czy też pragnienia. Konieczna jest tu interwencja Nadprzyrodzonej Łaski

Bożej, a Duch Boży, jak czytamy w Biblii „tchnie kędy chce”.

Raczej trudno jest przewidzieć, że Jan Kowalski otrzyma Łaskę nawrócenia 3 kwietnia 1998 roku o godz. 15.30 - bo właśnie na ten czas jego proboszcz wyznaczył spowiedź wielkanocną dla mężczyzn. Tym bardziej niewiarygodne jest to, że jego córka Ania dostąpi podobnej Łaski i postanowi od 30 marca być lepsza, ponieważ w tym dniu otrzymała od siostry na religii „kartkę do spowiedzi”. Czy jawno grzesznica wiedziała kiedy podejdzie do niej Jezus i odpuści jej wszystkie grzechy?! Czy Szawel nawrócił się, bo Święty Piotr potwierdził mu na piśmie odbytą spowiedź?! Idźmy dalej! Czy ludzie idą do Nieba w nagrodę za ofiary składane w czasie kolędy?! Czy Jan Nowak ma iść do piekła za to, że nie zapłacił proboszczowi 25% od pomnika, który postawił swojej zmarłej żonie na cmentarzu?! Czy proboszcz ma być potępiony - bo zamiast odmówić obowiązkowy kawałek brewiarza, dłużej niż zwykle odwiedzał chorych w 1 - szy piątek?! Do czego zmierzam?

Wiary, odczuć religijnych czy też miłości do Boga nie da się zasufladkować ani zamienić na świstek papieru; nie można jej kupić za pieniądze ani też nakazać!

Czy wiara, nadzieja lub miłość lubią przymus, kontrolę, rozgłos?! Wręcz przeciwnie - sprzeciwiają się wszelkim nakazom i wyznaczonym regułom, a mimo to, na tych Trzech Cnotach Boskich opiera się cały Majestat Boga i wszystkie Jego plany. Kościół w założeniach Jezusa nie miał być hurtownią sakramentów, bankiem danych, biurem nieruchomości, policją skarbową albo agencją świadczącą usługi - oprawę zewnętrzną ślubów, chrztów i pogrzebów! Posłanie Założyciela było jednoznaczne - „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu!”

Naturalnie czasy się zmieniają i Kościołowi potrzebne są samochody, budynki, stacje radiowe czy telewizyjne, ale czy to ma być celem, czy też raczej środkiem do celu. Zdecydowanie za dużo jest w Kościele instytucjonalizmu, planowania, polityki, wyrachowania. Spójrzcie na Glempa, Pieronka albo Muszyńskiego - wypowiadających się przy różnych okazjach w TV. Przecież to są doskonali politycy, mężowie stanu! A jak potrafią zręcznie grać na uczuciach ludzi! Przypatrzcie się ich wyreżyserowanej dyplomacji; posłuchajcie wyważonych komentarzy. Każdy z nich mógłby być z powodzeniem marszałkiem Sejmu albo ministrem spraw zagranicznych; tym bardziej, że ani nie są kształceni na duszpasterzy, ani nie są nimi z doświadczenia! To największe, najzdolniejsze, najbardziej lojalne seminaryjne „kujony” i „przydupasy”, wybrane przez swoich biskupów do „wyższych celów”. Ci ludzie, odgradzeni od świata grubymi murami pałaców, kurii, pancernymi szybami

mercedesów - nie tylko nie potrafią zrozumieć szarych ludzi - uwikłanych w „jakieś” rodziny, pracę, dzieci - ale obce są im nawet problemy ich własnych kapłanów pracujących w terenie.

Tacy ludzie rządzą dzisiaj Kościołem i tak dzisiaj wygląda Kościół. Wróćmy jednak do Sakramentu Pokuty.

Poza bezsprzecznie największą grupą tych, którzy nie przykładają większej wagi do spowiedzi, jest też dość liczna grupa systematycznie korzystających z tego sakramentu. Są to na ogół praktykujący i zadeklarowani Katolicy. Starają się być - w zgodzie z sumieniem - wierni zasadom własnej wiary i w miarę gorliwi. Spowiadają się co dwa, trzy miesiące, a niektórzy „odprawiają” co miesiąc tzw. pierwsze piątki. Ci najbardziej cierpią na „luzackim” podejściu wielu kapłanów do spowiedzi. Ich dobra wola i gorliwość stają w konfrontacji z rutyną i zgorzknieniem spowiedników. Tylko nieliczni spotykają zaangażowanych, odpowiedzialnych, ideowych - którzy na serio traktują konfesjonał. Pół biedy jest wówczas, kiedy ksiądz „dostosowuje” się do penitentów - jeśli słyszy dojrzałą spowiedź traktuje ją w sposób dojrzały. Starsi kapłani, niechętni nowym trendom w Kościele (oazom, ruchom religijnym, urozmaiconej liturgii i muzyce sakralnej) zwykle więcej czasu spędzają „za kratkami”. Jeden z nich przekazał mi kiedyś bardzo dosadnie starą księżowską maksymę: „ksiądz jest od spowiadania - jak dupa od srania...”

Pouczenia spowiedników, jeśli takowe są, spotykają się z bardzo różnym przyjęciem ze strony wiernych - od infantylnego do bardzo dojrzałego. Infantylna bywa młodzież, „spędzana” przez swoich katechetów na okresowe spowiedzi do świątyni. Niektórzy z nich traktują parę chwil przy konfesjonale jak dobrą zabawę i ciekawostkę. Infantylni bywają także dorośli, którzy całą swoją edukację religijną „opékali” w kilka dni nauk przed I Komunią i Bierzmowaniem. Nierzadko słyszy się „wyznanie grzechów” szacownego 40, 50 - cioletka, „...Mamusi nie słuchałem. Paciorka nie mówiłem. W piątek zjadłem serdelka. Więcej grzechów nie pamiętam...”. Spowiedź żywcem przeniesiona z dzieciństwa i nie mająca nic wspólnego z autentyczną pokutą! Gdzie tu widać dojrzały rachunek sumienia?! Bez uprzedniej głębokiej auto - refleksji, dotarcia do korzeni własnego „ja” - jako dziecka Bożego - spowiedź jest tylko niepotrzebną stratą czasu. Ludzie są na ogół zupełnie tego nie świadomi i to ich generalnie usprawiedliwia. Dojrzałego rachunku sumienia, tak samo jak dojrzałej wiary, powinni nauczyć ich księża.

W swojej praktyce spowiadania stykałem się również z penitentami, którzy

powrócili na łono Kościoła po wielu latach pozostawania poza nim. Takie nawrócenia zdarzały się z wielu powodów.

Zdumiewające - jak wielki wpływ, w odstępstwach i powrotach ludzi do praktyk religijnych, mają postawy kapłanów. Zło lub dobro - doznane od jakiegoś księdza ma wręcz znaczenie decydujące. Wierni szczególnie boleśnie odbierają pazerność i nietakt przy okazji pobierania opłat za pogrzeby oraz różne przejawy chamstwa. Dziesięć lat „na łonie” Kościoła (od wstąpienia do seminarium) przekonały mnie, że od księży najczęściej oczekuje się - poza posługami duszpasterskimi oraz pomocą w rozterkach duchowych - zrozumienia, uczciwości, kultury i zwykłego, ludzkiego ciepła. Widać to wyraźnie właśnie podczas spowiedzi. Jest w tych wszystkich oczekiwaniach dużo podświadomego szukania wzorca, autorytetu; przekonania samego siebie, że jednak można żyć „po Bożemu” i warto się starać.

Spowiadałem ludzi, którzy od 10, 20 - tu lat nie byli w Kościele, nie mówiąc o spowiedzi. Do krutek konfesjonaułu przywodzi ich na ogół: inna osoba, refleksja nad przemijaniem (często śmierć kogoś najbliższego), przeżyta ciężka choroba, życiowa bezradność, lektura Biblii itp.

Dokładnie te same powody, może poza ostatnim, powodują (odwrotnie) odstępstwa od Boga. Kwestią otwartą i indywidualną jest czy odejście lub powrót do Kościoła równa się odejściu lub powrotowi do autentycznej wiary. Z moich doświadczeń wynika, że nie jest to jednoznaczne. Wiary nie można mierzyć wypchanymi nogawkami w kolanach ani liczbą odklepanych „zdrowasiek”.

Bywają naturalnie Katolicy bardzo dojrzałe traktujący Sakrament Pokuty i nauki spowiedników; mający prawidłowo wyprofilowane sumienia i zdrowe podejście do kapłanów. Ci najwięcej korzystają ze spowiedzi. Czasami potrafią zawstydzić samych księży i „wyprostować” ich postawy.

Prawdziwym „przekleństwem” dla spowiedników są jednak ludzie o przeczulonych, nadwrażliwych sumieniach. Prym wiodą wśród nich członkinie kółek różańcowych i aktywistki Radia Maryja. Spowiadają się dosłownie ze wszystkiego, że np. „powąchały w piątek salceson”; „...23 razy powiedziały brzydkie słowo «kurcze»; „56 razy źle o kimś pomyślały”; a „raz nawet pomyliły się w różańcu...” itp.

Mnie osobiście najbardziej wpieniały zwierzenia skrajnego odłamu powyższego ugrupowania. To były dopiero dewoty! Przychodziły do spowiedzi po to tylko, żeby... „błysnąć” przed księdzem (a nuż zapamięta!). Taka spowiedź wyglądała

mniej więcej tak:

„No ...hmm ...do kościoła chodzę codziennie. Nie byłam tylko w zeszłą środę, ale bardzo bolała mnie noga, bo ja właściwie w ogóle nie chodzę, ale do kościoła - a jakże! Różaniec odmawiam systematycznie, raz tylko miałam „rozproszenie” w czasie odmawiania. Poza tym - ze wszystkimi żyję w zgodzie; daję ofiary na Kościół. Więcej grzechów nie pamiętam...”

Tak wyglądają autentyczne spowiedzi i wcale nie należą do rzadkości (także z uwagi na ich częstotliwość - mniej więcej raz na trzy dni!).

Za to najmłodsze pociechy spowiadają się fantastycznie. Są zwykle bardzo przejęte i skupione. Z wielkim namaszczeniem deklamują swoje grzechy, wpatrując się w kratki konfesjonału okrągłymi oczkami. Staralem się często je wyluzować, gdyż niektóre bywały nie na żarty znerwicowane. Zwłaszcza pierwsza pokuta przed I Komunią bywa dla wielu berbeciów prawdziwym horrorem. Słowa więzną im w gardle, grzechy się płaczą, w popłochu zerkają na ściagi i co najmniej połowa ma wtedy biegunkę. Miałem parę takich przypadków, kiedy dziecko zrywało się nagle z klęczek i z płaczem wybiegało z kościoła bo... „popuściło”.

Jeden z I - szych „komunistów” był taki zawzięty, że „zerznął” się w spodenki i dalej bohatercko kontynuował spowiedź. Jakżeby miał przerwać pierwszy sakrament w swoim życiu! Gdy, zafrapowany przykrym zapachem, spojrzałem na niego przez kratki - zobaczyłem tak wielką determinację w oczach malca, iż nie odważyłem się interweniować w jakikolwiek sposób. Dotrwałem jakoś do końca, zaprowadziłem go do drewnianej budki nieopodal świątyni, dałem rolkę papieru i kazałem po wszystkim iść do domu. „Nie martw się mocarzu...” - klepnałem go po ramieniu - „...prawie każdemu to się zdarza”. To niewinne kłamstwo wywołało wreszcie cień uśmiechu na jego zawstydzonej buzi.

A z czego spowiadają się księża? Jak wyglądają ich spowiedzi??? Są z pewnością bardziej profesjonalne i rzeczowe. Dotyczą w 90% sfery seksualnej, bo trudno żeby „głodny” nie myślał o chlebie albo nie próbował go sobie w jakiś sposób zorganizować. Księżowskie spowiedzi bywają również nierzadko głębokie i refleksyjne. Szary zjadacz chleba zwykł patrzeć na kapłanów jak na ludzi wielkiej wiary, idących przez życie pod rękę z Panem Bogiem. Tymczasem wielu księży podczas spowiedzi odkrywa i ujawnia swoje wielkie wątpliwości, a niekiedy zupełny brak łączności z Bogiem. Zwątpieniem napawa ich zwłaszcza sens własnego posłannictwa. Ich życie to przecież ciągła gra, udawanie, pozory. Głoszą homilie,

kazania i nauki sprzeczne z osobistymi przekonaniem. Przytaczają argumenty „naczelstwa”, z których w głębi serca sami się śmieją.

Bardzo wielu przywyka do roli bezwolnej „tuby” głoszącej „nieomylną prawdę objawioną Kościoła”. Jakikolwiek sprzeciw kapłana wobec watykańskiej doktryny jest traktowany przez jego przełożonych z największą surowością. Tu dopiero wchodzi w grę prawdziwe kary kanoniczne tzn. te niosące za sobą realne sankcje, które sprowadzają się do pozbawienia części albo całości wynagrodzenia za posługi duszpasterskie. Drastyczne przypadki załatwia się ekskomuniką tj. całkowitym wykluczeniem z Kościoła. Jako kleryk i ksiądz słyszałem kilkakrotnie o przypadkach suspendowania kapłanów tj. pozbawienia ich możliwości wykonywania zawodu za przewinienia typu: publiczne poddanie w wątpliwość nieomylności papieża; pokpiwanie z dogmatów, encyklik lub innych form nauczania papieskiego; krytykowanie posunięć biskupa diecezjalnego, prymasa itp. Kary za niesubordynację i krytykę doktryny (choćby w dobrej wierze), nijak się mają do rutynowych upomnień za konkubinat, zgwałcenie dziecka, złupienie parafii itd. W takich i podobnych przypadkach najcięższą karą dla duchownego jest zmiana placówki.

W Łodzi, za panowania biskupa Rozwadowskiego, o mały włos nie stracił pracy ksiądz „odszczepieniec”, który namawiał rodziców do stosowania prezerwatyw. Miało to miejsce podczas kolędy. Młody kapłan, rodem z „zabitej dechami wsi” był z usposobienia niedbały o konwenanse i bardzo bezpośredni. Na parafii w mieście czuł się nie najlepiej. Słownictwo i ogładę, jak przystało na lokalnego patriotę, zachował był z domu rodzinnego. Kiedy wszedł do kolejnego mieszkania, a raczej paru brudnych klitek wypełnionych wrzaskiem szóstki rozkrzyczanych dzieciaków, jak zwykle w takim przypadku ogarnęło go współczucie. Ojciec rodziny - narobiony, przygarbiony z rękami do kolan i wychudzona, zmęczona życiem matka, tłumaczyli się ze spuszczonej głowami, że nie mają na „ofiary”, a „parę groszy” wstydzą się dać. Wzruszyli tym do reszty pocziwego „chłopo - księżule”. Sięgnął głęboko do teczki z pieniędzmi, wyjął garść papierów i powiedział: „Mata tu na jedzenie i cukierki dla dzieciaków ...a za resztę kupta se kondonów...”. Nie zawsze dobre chęci popłacają. Prawomyślni ludziska „nie poczuły blusa”; wykazały się niezwykłą lojalnością wobec władzy duchownej i zakablowały młodego duszpasterza, pełnego szczerych intencji. „W nagrodę” został pozbawiony na ładnych parę lat środków do życia.

Wracając do kapłańskich spowiedzi - trzeba przyznać, że mniej więcej połowa

z nich ma znamię otwartego i odpowiedzialnego stanięcia przed Bogiem. Siłą rzeczy są one „profesjonalne” i rzeczowe. Księża, jak nikt inny, zdają sobie sprawę ze znaczenia „warunków dobrej spowiedzi”; znają pełną interpretację przykazań. Mają po prostu nieporównywalnie większą świadomość religijną. Ci, którzy zachowali jeszcze Boga w sercu, idą do spowiedzi ze szczerymi intencjami, ale na ogół bez większego entuzjazmu. Cóż, trudno wymagać od nich spektakularnych nawróceń, skoro przez lata są nieprzerwanie „sługami Stołu Pańskiego”, „powiernikami Słowa Bożego” i „szafarzami łask wszelkich”. Z czego i po co się nawracać? Większość parafian utwierdza swoich kapłanów w głębokim przeświadczeniu co do ich wyjątkowości, nieomyślności lub wręcz świętości. Zwłaszcza niektóre starsze „kobiety Kościoła” potrafią tak namiętnie nadszakać swoim „księżykom”, wmawiając im przy tym wszystkie zalety świata, iż ci stają się niemal bezwolni, a przede wszystkim bezkrytyczni względem samych siebie. Oczywiście jest to, że człowiek łatwiej i szybciej akceptuje i przyjmuje za swoje - opinie przychylnie sobie. To przecież oni są namaszczeni świętymi olejami i posłani po to, żeby nawracać grzeszników. Jakże łatwo w takiej sytuacji zapomnieć o własnej grzeszności i potrzebie nawrócenia. Mimo to jednak wielu księży stara się raz na jakiś czas stanąć w prawdzie przed Bogiem i samym sobą. Nie spowiadają się częściej niż inni śmiertelnicy (czasami nawet raz na kilka lat!), ale ich spowiedzi wyglądają zupełnie inaczej. Przebija w nich wyraźnie wielki ciężar, jarzmo „garbu” kapłaństwa. Człowiek żyjący jak Pan Bóg przykazał - w małżeństwie i na łonie rodziny - ma o wiele większe szansę na uczciwe życie, a po moralnym upadku - na autentyczną przemianę. Weźmy na przykład zdradę małżeńską, grzech wynikający najczęściej z pożądania. Mąż porzucający kochankę ma przeważnie szansę powrotu do swojej żony oraz naprawienia krzywd, które wyrządził swoim najbliższym. Jego pożądanie, mające swoje źródło w naturalnej potrzebie miłości i bliskości z kobietą, będzie mogło na nowo realizować się w kontaktach z żoną. A co ma zrobić ksiądz, który postanowił zerwać ze swoją kochanką; do kogo ma wrócić? Gdzie i z kim spełniać się jako mężczyzna? Wyznając grzech nieczystości i życia w nieformalnym związku - ksiądz ma świadomość, iż prędzej czy później ulegnie naturalnemu popędowi i powróci na drogę występku. Najczęściej jednak kapłani po takich spowiedziach nie mają zamiaru rozstawać się z konkubinami, tłumacząc sobie często, że popycha ich do tego natura. Dla świętego spokoju wyznają grzech, w który sami do końca nie wierzą. Ważność spowiedzi domaga się jednak spełnienia wszystkich jej warunków, a więc również

«postanowienia poprawy» czyli zerwania z grzechem. Pokutnik wie o tym doskonale, ale co bidok ma zrobić - z naturą nie wygra! Całą odpowiedzialnością obarcza „przeklęty” celibat i ma nadzieję, że Pan Bóg go nie ustanowił, a nawet Jest mu zdecydowanie przeciwny. Z całą pewnością tak jest i trudno odmówić słuszności takiemu rozumowaniu. Księża dobrze kombinują, ale w głębi swoich serc i sumień czują ciągły niedosyt. Przeżywają wieczne rozdarcie, bo nie żyją ani w formalnych związkach, ani też w zgodzie z tym co głoszą i jak ich postrzegają ludzie. Życie w ciągłym rozdwojeniu i zakłamaniu nie sprzyja pracy kapłana, a na pewno nie wpływa pozytywnie na jego osobistą duchowość. Niemoc wobec ograniczeń systemu, takich właśnie jak celibat, rodzi w konsekwencji niemoc w pracy nad sobą i przekreśla możliwość nawrócenia. To właśnie miałem na myśli mówiąc o braku entuzjazmu w kapłańskich spowiedziach. Jak można robić coś z przekonaniem, z nadzieją na powodzenie, gdy wszystko z góry skazane jest na niepowodzenie?! Bardzo wielu spośród księży, których spowiadałem próbowało (z różnym skutkiem) szczerze wyznać swoje grzechy. Wyczuwałem u nich szczerą pragnienie oczyszczenia, ale nierzadko ja - spowiednik i on

- penitent dochodziliśmy do wspólnego wniosku, że księdzu niezwykle trudno jest żyć w zgodzie z własnym sumieniem. Niektórzy sami, już w pierwszych słowach, utyskiwali na system, który zrobił z nich sterylne, urzędnicze roboty. Skarzyli się na przymusową samotność

- powód ich zgorzknienia, pijaństwa, materializmu i „skoków na boki”.

Nie do rzadkości, szczególnie wśród starszego duchowieństwa, należały również spowiedzi bardzo rutynowe i beznamiętne. Nie było w nich cienia nadziei na możliwość przemiany ani wiary w sens czy potrzebę nawrócenia. Ci ludzie przyzwyczaili się do swojego życia

- jego rozterek i obłudy, która mu towarzyszy. Według nich, po prostu tak musi być. Niektórym obcy jest jakikolwiek konflikt sumienia.

Wstają rano z ciepłego łóżka od kochanka lub kochanki; idą do kościoła i głoszą kazanie o czystości. Udzielają Komunii, choć jeszcze przed godziną tymi samymi rękami obmacywali ciało partnera (- ki). Gromią wiernych na spowiedzi za chleb z pasztetówką zjedzony na piątkowe śniadanie, a im samym odbija się wypita poprzedniego dnia „połówka”. Napominają młode dziewczęta na lekcjach religii, że pocałunek i przytulanie to grzechy nieczystości, aby po przyjściu na plebanie zonanizować się na wspomnienie ich krótkich spódniczek. Czytają na Mszy

Ewangelię i mówią kazanie o konieczności ubóstwa, a po skończonym nabożeństwie „załatwiają” pogrzeb za 7, 8 „baniek”. Takie przykłady można mnożyć niemal bez końca! Znam je doskonale z własnych obserwacji i księzowskich spowiedzi. Są naprawdę na porządku dziennym. Czy można jednak winić za to wszystko samych kapłanów? Nic podobnego! To ustawodawcy kościelni zapomnieli, że ksiądz to też człowiek - musi od czasu do czasu trochę „spuścić z krzyża”; jest łasy na pieniądze jak większość ludzi, a samotność, którą mu „zafundował” kilkaset lat temu jakiś papież, najlepiej topi w szklaneczce gorzały.

Bywają oczywiście przegięcia samych plebanów. Mój kolega z branży - młody ksiądz jak ja, opowiedział mi kiedyś taką spowiedź. Jeden z szanowanych proboszczów (nazwiska oczywiście nie zdradził) wyznał mi na spowiedzi, że nakłonił swoją konkubinę do usunięcia ciąży i opłacił zabieg. Mirek był wówczas świeżo upieczonym wikarym i zszokowany nie na żarty zdębiał pod wpływem tego, co usłyszał. Zastanawiał się bardzo poważnie czy powinien udzielić rozgrzeszenia. Na to jego starszy brat w kapłaństwie obruszył się i oznajmił, iż on sam nie uważa by popełnił grzech ciężki. „Szkoda było dzieciaka, ale to był dopiero drugi miesiąc... no wie ksiądz... embrion... Przecież nie będziemy słuchali wszystkiego co nam wciska papież i biskupi. A co, miałem dziewczynie życie zawiązać...?!” - spuentował.

Osobiście nie spotkałem się z takim przypadkiem, ale słyszałem od innych księży, że niektórzy duchowni nie spowiadają się częściej, jak co kilkanaście lat albo wcale. Znam też przypadek, kiedy kapłan odmówił spowiedzi na łożu śmierci. Wiąże się to ściśle z (moim zdaniem) ciągle narastającym problemem, jakim są księża... niewierzących. Naturalnie nie sposób zgłębić tajników ludzkiego serca, ale jestem przekonany, iż wielu duszpasterzy - ateistów sam spotkałem na mojej drodze kapłaństwa. Są to typowi urzędnicy - „kasiarze”; względnie nawet poprawni, rzetelni pracownicy (często służbiści) pracujący w firmie „Kościół Katolicki” Sp. z o.o.

Nie brakuje oczywiście także zupełnych „olewusów”, którzy wiarę i powołanie (jeśli je kiedykolwiek mieli) zamienili na dobry interes. Ci bez oporów korzystają z „dobrodziejstw” celibatu - prowadzą hulawczy tryb życia; zmieniają kochanki jeszcze częściej niż samochody i śmieją się tak ze ślubów które złożyli, jak i z tych, którzy włożyli na nich ręce w akcie uświęcenia. Zazwyczaj właśnie oni przysparzają biskupom najwięcej kłopotów i podważają „dobre imię Kościoła”. Ich szefowie mają na nich wypróbowany sposób - przeniesienie na inną parafię, jeśli sprawy zajdą za daleko. Nie znam takiego przypadku, żeby kapłan za rozwiązań życie

- nawet dowiedzione i powszechnie gorszące - otrzymał większą karę. Może właśnie w tym wyraża się wielka mądrość władzy duchownej, która nie karze za zachowania będące konsekwencjami własnych dogmatów i ustaw? W każdym razie playboye w sutannach nie mają zazwyczaj większych oporów przed zmianą środowiska. Zbiega się to przecież często z ujawnieniem ich romansu albo przekrętu „na kasie”. Chętnie wówczas opuszczają „spalony” teren i na nowej „Ziemi obiecanej” w „Żarze młodości” rozpoczynają swoją „Modę na sukces”. Zapewniam - niektórzy księża to takie „koguty”, że Casanovą z Don Juanem chowają się pod habit Rasputina. Potrafią utrzymać przy sobie kilka kochanek jednocześnie i żadna, nie narzeka, a że to musi kosztować - ktoś musi też za to płacić. Tu głęboki ukłon w waszą stronę, Drodzy Parafianie!

Nie zawsze, ale dość często takie postawy kapłanów mają swoje źródło w ich braku wiary. Daję głowę, że ogromna większość tych ludzi straciła ją dopiero wtedy, gdy „czcigodna matka Kościół” wzięła ich pod swoje opiekuńcze skrzydła, często już w seminarium. Zobaczyli nagą prawdę o „matce” i autentycznie się zgorszyli. Rozczarowali się będąc u samego źródła i to jest w tym wszystkim najgorsze. Tacy kapłani są o wiele bardziej zasklepieni w swojej niewierze od ludzi świeckich. Gdyby nie Pan Bóg, który jest Wszechmogący - można by powiedzieć, że są to zupełnie beznadziejne przypadki. Podobnie jak wędrowiec - zaczerpnąwszy brudnej wody u źródeł rzeki nie chce już dalej podążać jej biegiem, ale idzie inną drogą - tak i oni wybierają swój własny sposób na życie. Urządzają się po swojemu w świecie, w którym przyszło im żyć.

A z czego się spowiadają? Księżowskie spowiedzi są zadziwiająco podobne do siebie, a konkretne grzechy wynikają przeważnie z charakteru ich pracy i sposobu życia. Każda kapłańska spowiedź sprowadza się przeważnie, jak już wspomniałem, do grzechów nieczystości. Na czoło wybija się zwłaszcza niespotykana wśród innych ludzi wyobraźnia seksualna (wiem to z autopsji), przybierająca nawet formy obsesji. Niektórzy z tych „marzycieli” żyją naprawdę bez żadnych kontaktów seksualnych, najczęściej ze strachu przed konsekwencjami. Nauczyli się za to zupełnie innego rodzaju seksu - „w myślach”. Wystarczy im „wykochanie” ładnej dziewczyny (chłopca) wzrokiem - wymyślona pozycja, kontakt i... spełnienie z ... własną prawicą w samotności klozetu. Inne „ofiary” celibatu „idą na całość”, wybierając „bramkę” wolności i nieskrępowanej miłości. Nasłuchałem się od nich różnych „harlekinów” i historii z pogranicza heavy metal porno.

Generalnie jednak najczęściej wyznawanym kapłańskim grzechem (jeśli uznamy to, wzorem Kościoła, za grzech) jest onanizm. Niemal równie częste są zaniedbania w odmawianiu brewiarza co - w doktrynie katolickiej - jest grzechem śmiertelnym kapłana.

Moim największym odczuciem podczas spowiadania księży było solidarne współczucie dla wielu wspaniałych mężczyzn, którzy kiedyś stanowili być może wspaniały materiał na przykładnych mężów, ojców i apostołów Chrystusa. Niestety, w Kościele poddani zostali serii nieludzkich doświadczeń - praniu mózgów oraz duchowej i praktycznej kastracji (na szczęście nie fizycznej). Robienie z normalnych facetów sterylnych eunuchów, wyraźnie nie udaje się Kościołowi, ale niekwestionowanym sukcesem katolickiej doktryny jest skuteczne wypaczanie kapłańskich sumień. O konsekwencjach działania takich zwichniętych, zranionych charakterów nie muszę już chyba więcej pisać.

Wspomniałem wcześniej o moim minionym kapłańskim zwyczaju nadawania pokuty w postaci dobrego uczynku, np. dla osoby którą się uraziło, dotknęło czy skrzywdziło w jakikolwiek sposób. Może nie było to zbyt mądre teologicznie, ale w praktyce zrobiło dużo dobrego. W zasadzie dobro uczynione drugiemu człowiekowi nie może być pokutą, czyli jakby za «karę». Jakie wobec tego nadawać pokuty!? Zawsze był to dla mnie dość poważny dylemat. Moim zdaniem generalnie powinno wystarczyć naprawienie wyrządzonego zła, przeprosiny i jakaś, najwłaściwsza w danej sytuacji, forma zadośćuczynienia. Kościół jednak, a przede wszystkim wielu ludzi, oczekuje czegoś więcej - „pokuty” - bardziej dla świętego spokoju i poczucia dobrze spełnionego obowiązku, niż z potrzeby serca. Kapłani wychodzą na przeciw temu oczekiwaniu i namiętnie nakładają na swych penitentów pokuty w postaci - litanii, różańca, „zdrowasiek” czy też innych modlitw - pojedynczo lub w liczbie mnogiej. To już jest zdrowe przegięcie. Taką praktykę uważam za szkodliwą i nie na miejscu. Sam nigdy tego nie robiłem. Modlitwa jest spotkaniem z Bogiem; zwróceniem się do Niego z wdzięcznością i oddaniem dziecka. Jest to spotkanie w szczęściu oraz bliskości stworzenia ze swoim Stwórcą. Nie może więc być zadośćuczynieniem i karą za popełnione grzechy!!!

Pora zastanowić się teraz nad pytaniem zadany na wstępie tego rozdziału - czy spowiedź uszna w konfesjonale jest dobrym rozwiązaniem, czy też można by znaleźć lepsze? Podchodząc pragmatycznie do sprawy - zważywszy na to ilu ludzi unika spowiedzi ze względu na jej obecny charakter - należałoby na ostatnie pytanie

odpowiedzieć twierdząco: tak, trzeba poszukać innego rozwiązania. Z drugiej jednak strony indywidualna pokuta zapewnia indywidualne podejście do każdego penitenta, daje kapłanowi możliwość wejścia w maleńki świat drugiego człowieka, a co za tym idzie - właściwego pouczenia go, wyprostowania jego ścieżek. Nie zapewni tego wizyta u najlepszego nawet psychologa. Niestety, księża na ogół nie wykorzystują tej wspaniałej szansy, jaką daje niepowtarzalny kontakt ze zbłąkaną owieczką, pod patronatem Najlepszego Pasterza i ochroną świętej tajemnicy. Co gorsza, spowiedź jest dla spowiadających nierzadką okazją do uskutecznienia ich podbojów sercowych i innych ubolewania godnych praktyk. Te fakty, jak również powszechny niemal „tumiwizm” spowiedników jest zrozumiałym powodem zgorszenia wiernych i przynosi skutki odwrotne do zamierzonych.

Wydaje się, iż można by pogodzić te wszystkie „za” i „przeciw” wybierając rozwiązanie salomonowe - pośrednie. Jest to moje rozwiązanie autorskie i w razie wprowadzenia liczę po cichu - jeśli nie na tantiemy, to przynajmniej na skromne popiersie w Bazylice Świętego Piotra. Umyśliłem sobie, że najlepiej byłoby zastąpić obecną spowiedź powszechnym, wspólnotowym wyznaniem grzechów w czasie Mszy Świętej. Ktoś powie, że to nic nowego i będzie miał rację, z jednym wszelako zastrzeżeniem - obecna spowiedź powszechna w Kościele Katolickim gładzi tylko grzechy lekkie; śmiertelne winy wymagają bezwzględnego pokajania przed księdzem. Taka innowacja nie byłaby niczym nowym, ponieważ funkcjonuje od wieków z dużym powodzeniem w kościołach protestanckich. Na dobrą sprawę, nie wiadomo do końca jaką koncepcję miał na myśli Jezus nakazując apostołom odpuszczanie grzechów - indywidualne, czy też wspólnotowe rozgrzeszenie. Za tym ostatnim przemawiają zaś wyraźnie inne wypowiedzi Zbawiciela, Który wielokrotnie podkreślał wyższość gremialnego zwracania się do Ojca. A także cały Stary Testament, ze swoją ideą pokuty i odpowiedzialności zbiorowej. Każdy świadomy Chryścjanin (i nie tylko) doskonale wie i rozumie (a katechizm tego uczy), iż grzechy wyznaje się i tak tylko samemu Bogu i „tylko On jest władny przebaczyć i rozgrzeszyć każdą winę człowieka” - co wielokrotnie podkreśla Biblia. Kapłan nie może nawet występować w charakterze adwokata - bo ani to sąd, ani kolegium. Samo zwierzenie się ze swoich grzechów w obecności słabego, grzesznego człowieka - jakim jest każdy ksiądz - jest żenujące i bezcelowe. Często przecież dzieje się tak, że jeśli jeden spowiednik nie udzieli rozgrzeszenia, idzie się do innego „łagodniejszego”, który nie ma takich skrupułów albo jest znajomy i... wszystko jest O.K.

Istotą sugerowanej przeze mnie zmiany miałyby być wprowadzenie

- oprócz spowiedzi powszechnej - rozmów duchowych kapłanów z wiernymi, mającymi bieżące rozterki lub wątpliwości dotyczące własnej wiary, postawy chrześcijańskiej itp. Odbываłyby się to naturalnie na zasadach dobrowolności, a duszpasterz mógłby pomóc w najbardziej odpowiedniej chwili, nie koniecznie wyznaczonej „kartką”. Takie zwierzenia - mające charakter luźnej rozmowy, wymiany zdań

- są potrzebą wielu ludzi wierzących. Należałoby jednak bezwzględnie obłożyć je tajemnicą równą obecnej tajemnicy spowiedzi, ze wszystkimi sankcjami dla kapłanów, którzy jej nie dochowają.

W ten oto sposób, nie naruszając w niczym prawa Boskiego, można skłonić do refleksji nad sobą, a może nawet do nawrócenia

- bardzo wielu potencjalnych członków Kościoła, którym w pełnym członkostwie przeszkadza nieprzejejdany konfesjonał - wstręt. O tym, że przy okazji wyeliminowałyby to lub uzdrowiło wiele niezdrowych okoliczności, towarzyszących praktykowaniu usznych spowiedzi

- już nie wspomnę!

Na koniec moich rozważań na temat spowiedzi pozwolę sobie na wyrażenie szczerego życzenia wobec milionów katolików, którzy z nadzieją, pełni bojaźni Bożej stają przed kratkami konfesjonałów. Pamiętajcie Moi Kochani, iż o wiele łatwiej jest się „dobrze wypowiadać” niż autentycznie nawrócić. Z punktu widzenia psychologii człowieka - spowiedź uszna jest idealnym uspokojeniem sumienia. Samo wyznanie grzechów, które w dodatku ksiądz „odpuścił”, traktuje się jako wystarczające. „Jestem czysty, mam znowu puste konto więc... mogę znowu zacząć grzeszyć. Dla przyzwoitości zaczekam najwyżej dzień lub dwa...” W ten sposób - świadomie czy też nie - kombinuje wielu z nas. Tymczasem zewnętrzna otoczka i subiektywne odczucia mogą nam zasłonić prawdziwy sens sakramentu pokuty. Jest nim szczerze nawrócenie, żal z powodu wyrządzonego zła, naprawa tegoż zła i PRZEPROSZENIE Boga za nasze słabości. Spowiednik, który będzie najbardziej świętym zakonikiem albo samym papieżem, nie zastąpi naszego skruszonego serca. Gorące i szczerze wołanie słowami celnika z Ewangelii: „Boże bądź miłościw mnie grzesznemu” - skierowane wprost do Boga - jest najlepszą spowiedzią. Jezus puentując pokutę celnika zdecydowanie oznajmi: „Powiadam wam - ten odszedł do domu usprawiedliwiony”.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ V

CIERPIENIE I STRACH

Po rozważaniach dotyczących sakramentu pokuty pragnę poruszyć jeszcze jeden niezmiernie ważny i kontrowersyjny temat

- problem sensu cierpienia w życiu człowieka. Chciałbym potraktować to zagadnienie częściowo w oparciu o spowiedzi ludzi cierpiących, ich refleksje i najskrytsze zwierzenia, ale także w oparciu o własne przemyślenia. Cierpienie jest bowiem - moim zdaniem - kluczem do zrozumienia sensu całej ludzkiej egzystencji na ziemi.

Na pewno każdy z nas wielokrotnie w swoim życiu zastanawiał się nad tym, jaką wartość ma jego życie - czy kończy się ono z chwilą śmierci; czy komuś zależy na jego przetrwaniu; czego może oczekiwać od doczesności, a czego od wieczności? Ten, kto zna statystyki najróżniejszych wypadków i katastrof, kto choć raz uczestniczył w ceremonii pogrzebu albo spenetrował dokładnie szpitalne zakamarki, powinien dojść do wniosku, że jego istnienie na ziemi jest tylko chwilą - błyskiem świadomości, niepewną złudą egzystencji, iluzją czegoś trwałego. Biblia porównuje życie człowieka do trawy, którą rozwiewa wiatr; pęcherzyka powietrza na powierzchni wody, gotowego pęknąć w każdej chwili. Niezależnie czy mamy 18 czy

też 80 lat

- nie ma nic pewnego w naszym życiu. Wszelkie plany i zamierzenia może w jednej chwili przeciąć ślepy miecz niezawinionej kary, zwykły przypadek, nieodgadniony splot okoliczności. Wielokrotnie sam byłem świadkiem upadku najwspanialszych marzeń. Widziałem na własne oczy, jak złudne są ludzkie zamiary. W najbardziej nieoczekiwanym momencie przychodzi choroba, kalectwo, śmierć. Ta ostatnia przyjdzie z całą pewnością; natomiast nagłe, szczególnie bolesne doświadczenie losu może przyjść, ale nie musi. Każdy jednak, bez wyjątku, powinien się liczyć z tym, że karta jego życia może się nagle odmienić. Co więcej - może stracić samo życie u szczytu formy, w apogeum możliwości, kiedy cały świat wydaje się stać przed nim otworem.

To nie jest smęcenie klechy. Chowałem „do piachu” niemowlęta, małe - kilkuletnie dzieci, młodzież i 30 - letnie „okazy” zdrowia; nie mówiąc o 40 - i 50 - cioletkach. Co do mężczyzn, to było ich (przedwcześnie zmarłych) tak wielu, że o facetach 70 - i 80 - cioletnich zwykliśmy z księżmi mawiać - „farciarze”. Nikt nie uchroni się przed przeznaczeniem. Mimo to jednak 99% ludzi nie chce mówić ani nawet myśleć o swojej śmierci. Naturalne dla nas jest to, iż wokół nas umierają różni ludzie w różnym wieku - często w sposób tragiczny, nagły, niezrozumiały i bezsensowny. My żyjemy jednak dalej! Ciągłe mamy przed sobą przyszłość i nadzieję na poprawę losu - naszego losu. Bolesne fakty przeczą nierzadko tej nadziei. Życie bywa bezlitosne, a los zupełnie „ślepy”. „Na kogo wypadnie na tego bęc” - dziecięca igraszka sprawdza się w świecie dorosłych. Dokładnie tak to wygląda.

Gdzie jest wobec tego miejsce na „opatrzność Bożą” - sztandarowe hasło Kościoła? Gdzie był Pan Bóg, kiedy bezlitośnie mordowano miliony istnień ludzkich w czasie II Wojny Światowej - gazowano i palono? Gdzie był Syn Boży - obrońca małych, uciśnionych; przyjaciel dzieci, gdy te ostatnie topiono tysiącami zaraz po urodzeniu w obozowych kubłach? Gdzie jest Ten, Który stworzył ludzi „z miłości” - troszczy się i pamięta o nich? Podobnie wołali Żydzi szukając Ziemi Obiecanej - Raju na „padole łez”.

Cierpienie oraz przedwczesna, „niezawiniona” śmierć - zwłaszcza ludzi bogobojnych i sprawiedliwych - była zawsze jedną z największych rozterek duchowych człowieka. Jak to wszystko pojąć w perspektywie bezmiarów Bożej miłości?! Czy to Pan Bóg „przesypia dyżury” nad ziemianami; czy też nam samym się wydaje, że opieka Wszechmogącego należy się nam jak psu kość. Bez wątplenia

wielu tak sądzi. Co więcej, niektórzy gotowi są przypisywać Bogu swoje życiowe porażki - no bo - jak opieka to opieka. Takie postawy są konsekwencją doktryny Kościoła, która głosi, że „Bóg opiekuje się Światem”. Jak to pogodzić z bezmiarem cierpienia na Świecie? Tutaj interpretacja „Świętego Oficjum” jest co najmniej mętna.

Zło i śmierć ma być konsekwencją grzechu pierwszych rodziców. Natura człowieka została skażona nieposłuszeństwem wobec Stwórcy. Wina za grzech pierworodny spadła na cały rodzaj ludzki i wszyscy uczestniczymy w jej gorzkich owocach. Chyba każdemu kto przeczytał Księgę Rodzaju nasuwa się wątpliwość - dlaczego mam odpowiadać za sprzeniewierzenie się pierwszej pary na ziemi? Co prawda Pan Bóg wielokrotnie stosował wobec ludzi odpowiedzialność zbiorową, ale też litował się nad całymi narodami i odstępował od kary przez wzgląd na kilku sprawiedliwych. Poza tym, Ten Sam Pan Bóg w tym samym Starym Testamencie, mówi często o odpowiedzialności osobistej, a nie dziedzicznej. Na potwierdzenie tego, przytoczę choćby jeden fragment Księgi Ezechiela:

„...Umrze tylko ta osoba, która grzeszy. Syn nie ponosi odpowiedzialności za winę swego ojca ani ojciec - za winę swego syna. Sprawiedliwość sprawiedliwego jemu zostanie przypisana, występki zaś występnych na niego spadnie”.

I dalej - „...Dlatego, domu Izraela, będę was sądził, każdego według jego postępowania - wyrocznia Pana Boga...”

Cały Nowy Testament i słowa samego Zbawiciela potwierdzają prawdę o sądzie jednostkowym.

Nie chcę się teraz wdawać w teologiczne rozważania, bo to byłby materiał na kilka następnych książek. Dla wszystkich oczywiste jest jednak to, że Stwórca nie karze jednego za grzechy drugiego. Skąd zatem wzięło się cierpienie i śmierć na świecie? Kto je na nas zsyła? Czy jest tak, jak głosi Kościół - że to nasza grzeszna natura jest wszystkiemu winna? Dlaczego więc cierpią sprawiedliwi? Skoro nie odpowiadamy za grzech pierwszych rodziców to może sam Stworzyciel od początku uczynił nas skłonniymi do czynienia zarówno dobra jak i zła? Przecież nikt nie zaprzecza, że jest wolny i ma prawo wyboru. W ten sposób doszliśmy do pytania zasadniczego, na które postaram się odpowiedzieć przy końcu moich rozważań - dlaczego Bóg, który jest Miłością i naszym miłosiernym Ojcem, patrzy spokojnie na morze nieprawości i łez; ogrom bólu i cierpienia - które dotyka Jego dzieci, skoro sam stworzył nas grzesznikami?

Mówi się też, że Bóg „dopuszcza” zło na ziemi - między innymi po to, aby człowiek poprzez zło nawrócił się do Niego. Rzeczywiście, czasami doświadczenie cierpienia i ulotności życia przybliżyła w sposób naturalny do Boga - Źródła ukojenia i Ostoi pewności. Na podstawie moich obserwacji mogę jednak stwierdzić, iż przeciwności losu mogą zarówno utwierdzić w wierze, jak też wręcz przeciwnie - dobić, pogłębić i zupełnie załamać. Jest to tak samo ludzkie i oczywiste, jak pragnienie życia i szczęścia.

Będąc w Seminarium Duchownym w Łodzi, przez dwa lata odwiedzałem starszych i schorowanych ludzi zamieszkujących cały kompleks budynków domów starców na ulicy Lodowej. To było naprawdę przejmujące doświadczenie. Nie będę opisywał wzruszających do głębi tragedii ludzkich, z którymi tam się zetknąłem. Każdy z nas mógłby przytoczyć podobne przykłady z własnego życia i z własnych obserwacji. Zaznaczę tylko, że nieszczęśnicy mieszkający na Lodowej byli w różnym wieku (choć był to dom starców spotykałem tam ludzi 30 - , 40 - letnich), za to wszyscy cierpieli na rozmaite choroby

- często nieuleczalne. Moim kolejnym, podobnym doświadczeniem były spotkania z takimi ludźmi podczas mojej pracy na parafiach. Byłem wielokrotnie wzywany z „ostatnią posługą” do chorych i umierających, chociażby z racji pierwszego piątku miesiąca oraz w wielu innych, nagłych wypadkach. Liczne rozmowy, zwierzenia, a czasem „spowiedzi generalne” z całego życia - odbywane przy okazji tych wizyt - pozwoliły mi na dojście do refleksji na temat sensu życia i cierpienia. Zastanawiałem się często - jaka jest tak naprawdę wartość ludzkiej egzystencji. Myślałem o Bogu, Który patrzy spokojnie na ból, zło i niesprawiedliwość. Czy to możliwe, żeby był głuchy na rozpacz i wołania swoich umiłowanych dzieci?!

Nie myślę tutaj o przeciętnych, niemal codziennych problemach każdego z nas. Bardzo łatwo urastają one w naszych oczach do miana tragedii. Warto wówczas pomyśleć o armii ludzi dotkniętych ciężką chorobą, kalectwem, śmiercią najbliższej osoby; osamotnionych w przygniatającej biedzie; załamanych - na krawędzi samobójstwa. Takich ludzi są setki, tysiące, miliony. Ja sam po raz pierwszy uświadomiłem sobie ilu ich jest, dopiero na szóstym roku seminarium. Odbywając diakańską praktykę w 15 - tysięcznej parafii otrzymałem ponad tysiąc (!) adresów ludzi starych, obłożnie chorych albo „przykutych” do inwalidzkich wózków - czekających na sakramentalną posługę. Przeciętny zjadacz chleba nie ma żadnej

sposobności zobaczenia, jak ogromna jest skala tych zjawisk. Dzieje się tak między innymi dlatego, gdyż chorzy i kalecy na ogół przebywają w domach; ewentualnie w szpitalach, sanatoriach i klinikach. Ich po prostu nie widać. Księża, jeśli można tak powiedzieć, są tutaj wyjątkowo uprzywilejowani. Mają z tymi ludźmi przynajmniej okazjonalne kontakty, tym bardziej, iż wielu z nich w naturalny sposób łączy do Kościoła. Szukają tam odpowiedzi na pytania, które postawiłem już wcześniej

- ile warte jest ich życie? Czy tylko tyle co wycierpią?!

Chyba najbardziej wyczerpującą odpowiedź na ten odwieczny problem można uzyskać analizując odpowiednie fragmenty Pisma Świętego, a także zwierzenia i spowiedzi nieszczęśliwych pokaranych przez los. Lekturę Biblii zostawiam każdemu z Was; odsyłam zwłaszcza do Księgi Hioba i Koheleeta oraz do opisów uzdrowień dokonanych przez Jezusa. Do tych ostatnich jeszcze zresztą wrócimy.

Teraz chciałbym zatrzymać się dłużej przy swoich przemyśleniach opartych na kontaktach z ludźmi bólu i cierpienia. Przed innymi robią oni często dobrą minę do złej gry, ale księdzu powiedzą wszystko. Generalnie rzecz biorąc ludzi tych można podzielić na pogodzonych ze swoją sytuacją oraz zbuntowanych wobec niej. Przeważnie łączy się to z postawami - za - lub - przeciw - Bogu. Istnieje jeszcze grupa niewierzących, którzy w sytuacjach krytycznych zazwyczaj utwierdzają się w swej niewierze; o wiele rzadziej (z reguły przed samą śmiercią) szukają kontaktu i pojednania ze Stwórcą. Trzeba również powiedzieć, iż przyjęcie takiej czy innej z ww. postaw wynika często z samego charakteru człowieka - jego wewnętrznej siły, woli życia; a czasami ...wiary w cuda.

Przyjmijmy za rzecz pewną, że każdy chce żyć i być tu, w tym życiu, szczęśliwym. Nawet zadeklarowany samobójca przed przysłowiowym skokiem z mostu nie pogardzi wyciągniętą ręką drugiego człowieka, zwłaszcza jeśli w tej ręce będzie rozwiązanie jego problemów. Widziałem, jak ludzie nieuleczalnie chorzy, do ostatnich chwil swojego życia mieli nadzieję na wyzdrowienie, a nawet snuli plany na przyszłość. To było niezwykle wzruszające. Nikt nie zrozumie do końca, jak bardzo można łaknąć choćby paru chwil istnienia, dopóki nie zobaczy oczu człowieka stojącego w obliczu śmierci. Tak, jak nie ma większego pragnienia od pragnienia życia, tak też nie ma bardziej przejmującego widoku. Człowiek stworzony do życia, w którego oczach odbija się śmierć, jest jak zaszczuty, otoczony przez sforę psów zając. Każda jego żyjąca wciąż komórka drży o swój los i woła o litość, próbując uniknąć przeznaczenia.

Na pewno o wiele „łatwiej” jest cierpieć i umierać ludziom głęboko wierzącym. Właśnie budzenie wiary, a w konsekwencji również przygotowanie człowieka do przejścia na „drugą stronę” powinno być jednym z głównych zadań Kościoła. Tymczasem jest to margines faktycznych obowiązków jakie wykonują kapłani. Na domiar złego ich postawy niejednokrotnie zrażają do religii ludzi najbardziej potrzebujących duchowego wsparcia.

Do końca życia nie zapomnę bardzo wielu spowiedzi i rozmów z tymi, którzy stracili swoją wiarę tylko i wyłącznie z powodu krzywd jakich doznali od Kościoła i księży. Czułem się wówczas obrzydliwie. Zgorszenie postawą kapłana bywa jedną z najczęstszych przyczyn odejścia od Boga. Ludzie w najtragiczniejszych momentach swojego życia chcą mieć przy sobie kogoś, kto natchnie ich serca otuchą, używając do tego nie tylko słów, ale przede wszystkim swojego moralnego autorytetu. Czy proboszcz znany w parafii jako złodziej i rozpustnik będzie odpowiednim przekąźnikiem Bożych Łask albo powiernikiem dla zagubionej duszy, która chce pojednać się z Bogiem. Na tym tle (zgorszenia postawą kapłana) miałem przynajmniej kilka przypadków odmowy spowiedzi - dosłownie... na łożu śmierci!

Powszechne jest stwierdzenie, że każdy powinien modlić się, chodzić do Kościoła i wierzyć - nie w księży i dla księży - lecz wyłącznie z uwagi na Obiekt czci i wiary, którym jest sam Bóg. To jest najświętsza prawda. Jeśli jednak Kościół Katolicki (a zatem jego ludzie) uzurpuje sobie jedyne i wyłączne prawo do świętości i przekazywania prawdy Bożej, a każdy papież jest „nieomylnym zastępcą Boga na ziemi”; jeśli każdy ksiądz mówi o sobie „alter Christus” („drugi Chrystus”) - to można chyba wymagać od nich, by byli przynajmniej porządnymi ludźmi. Sukcesorzy apostołów powinni przejąć po nich - nie władzę i bogactwa, których tamci nigdy nie mieli, ale nade wszystko przykazanie Jezusa - „Bądźcie moimi świadkami”, tzn. dawajcie świadectwo o mnie swoim życiem. To, że prawa którymi rządzi się Kościół przeszkadzają księżom w dawaniu takiego świadectwa już wiemy.

Widzimy sami po sobie, jak bardzo kochamy to podłe życie. Wyobraźmy sobie, że nagle (odpukać!) dowiadujemy się o swojej nieuleczalnej chorobie. Pozostało nam parę miesięcy życia. Naturalnie wpadamy w panikę - złorzeczymy Bogu, a w najlepszym wypadku wołamy z wyrzutem „dlaczego ja?!” Inną, równie powszechną reakcją jest pragnienie godnego odejścia i jak najlepszego przygotowania się na śmierć poprzez pojednanie z Bogiem i ludźmi. Niemal każdy wykorzystuje swoje ostatnie chwile na pozostawienie po sobie dobrego wspomnienia. Ci, którzy

mają kochające dzieci umierają spokojniejsi, że jakaś cząstka ich samych przetrwa i będzie życzliwie o nich myślała. Z drugiej strony - jakże trudno opuścić swoich ukochanych! Jakby się umierający człowiek nie pocieszał i jaką by nie przyjął postawę, zawsze łączy się ona z przeogromnym bólem. Ten ból bywa nieraz tak bardzo dotkliwy, że zupełnie paraliżuje zachowania człowieka. Staje się on wówczas kompletnie zrezygnowany i bezwolny. Widziałem ludzi, którzy bez chwili przerwy, przez kilka tygodni, łkali i wyli... aż w końcu umarli. Oczywiście bywają, choć niezwykle rzadko, przypadki odwrotne - pogodzenie z losem i śmierć z uśmiechem na ustach. Tak umierają jednak na ogół tylko ludzie wielkiej wiary i czystego sumienia albo bardzo podeszli w latach starcy, znękani chorobami i zmęczeni życiem, dla których śmierć jest ukojeniem. Nie bez powodu zahaczam ciągle o problem umierania. Łączy się on bowiem niewątpliwie z najbardziej dotkliwie przeżywanym cierpieniem, a właśnie o nim mamy mówić. Umierający ludzie poza ogromnym wewnętrznym bólem (często większym od bólu umęczonego ciała) pytają przeważnie o powód swoich cierpień.

Pewien 14 - letni, niezwykle zdolny i inteligentny chłopiec z wrodzonym zanikiem mięśni, leżąc bez ruchu na łóżku zapytał mnie kiedyś: „Wiem, wkrótce spotkam się z Bogiem. Jestem też pewien, że On wynagrodzi mi wszystko, czego nie doświadczyłem za życia. Na tamtym świecie będę chodził, biegał, grał w piłkę z kolegami. Nie mogę przecież grzeszyć, bo się nie poruszam więc na pewno pójdę do Nieba. Niech mi jednak ksiądz powie - po co Mu teraz moje cierpienia? Jeśli mnie kocha to dlaczego na to pozwala?...”

Inna młoda dziewczyna, umierająca na nowotwór krzyczała: „...Niech mi tu ksiądz nie mówi, że Pan Bóg jest moim kochającym Ojcem!!! Mój ojciec sprzedał wszystko z domu na lekarstwa dla mnie. Od miesiąca prawie nie odstępuję mnie przy łóżku. Powiedział, że gdyby mógł, oddałby za mnie swoje życie. To się nazywa ojciec...!!!”

Nie tylko młodzi ludzie chcą żyć i nie tylko oni buntują się w obliczu śmierci. Jest to uzależnione w dużym stopniu od tego, jak układało się całe życie. Na ogół trudniej jest odchodzić bogatym i tym, których oszczędzał los. Najzwyczajniej w świecie spодobało im się na Ziemi.

Przypomina mi się pewna zabawna historia niemal żywcem wyjęta z filmu pt. „Sami swoi”. Bardzo bogaty gospodarz, m.in. właściciel kilku wielkich szklarni, leży na łożu śmierci (według zapewnień lekarzy). Wokół męża, ojca i dziadka zgromadziła

się cała rodzina. Zbolały 80 - letni człowiek z postępującym paraliżem, po wylewie - patrzy pytająco i przenikliwie na pięcioro swoich dzieci z nadzieją, że choć jedno z nich osiadzie na stałe w ojcowiznie. Pyta o dalsze losy dorobku swojego życia, ale po jego pytaniu zapada cisza. Wszystkie dzieci są już „pożenione” i „na swoim”, z wyjątkiem najmłodszej córki. Wnuki jeszcze za małe, żeby przejąć ster po dziadku. W końcu nikt się nie zdobył na przejęcie „tatego sierpa”. Faceta tak to wkurzyło, że ku zdumieniu wszystkich podniósł się na łóżku i wykrzyczał: „...Co wy sobie kurwa macie myślicie - to po co ja zapieprzałem całe życie! Póki żyję nikt nic ode mnie nie dostanie...”. „To już nie długo może być”

- pomyśleli zapewne niedoszli żałobnicy, ale srodze się pomylili. Nie wiadomo: czy z tych nerwów krew zaczęła szybciej krążyć w dziadku, czy była to tylko wielka siła woli; faktem jest, że chłopina zdrowiał z godziny na godzinę. Po dwóch dniach był już na nogach, a po tygodniu pracował w gospodarstwie. Opowiadał mi o tym wszystkim przy kieliszeczku samogonu i śmiał się do łez z numeru, jaki wykręcił zupełnie niechcący swoim „szczeniakiem”. Kiedy spotkałem go po dwóch miesiącach, szykował się na ...rejs statkiem po Morzu Śródziemnym. „Nic gnojkom nie zostawię, wszystko sam przepuszczę, bo na to pracowałem!” - śmiał się dziadek. Nie wiem co się teraz z nim dzieje, ale - choć minęły już trzy lata - jestem niemal pewien, że ciągle ucieka przed „kostuchą” i nieźle się bawi.

Zobaczmy, jak wielka może być wola życia i jak bardzo niektórzy ludzie są przywiązani do tego, co muszą opuścić. Jeśli zawsze dążyli do jednego celu lub poświęcili się bez reszty jakiejś sprawie - nie odejdą spokojnie, zanim wszystkiego nie uporządkują, jak po każdym dniu pracy. Nie znaczy to wcale, że ci którzy mają niewiele do stracenia nie kochają życia. Zresztą powiedzmy szczerze - gdyby każdy wiedział na 100% o istnieniu tej „drugiej strony”, a do tego jeszcze miał wgląd w swoje akta w Sądzie Najwyższym i widoki na ułaskawienie, ewentualnie łagodny wyrok - z pewnością nikt nie bałby się śmierci. Ta jednak nie jest grą w golfa czy pokera; najmniejsza niepewność paraliżuje strachem o przetrwanie, które jest największym pragnieniem i głównym celem człowieka.

Cenimy to co mamy i to co widzimy, bo tylko to według nas jest pewne. Żyjemy w świecie materii postrzegając rzeczy materialne, a więc śmiertelne, zniszczalne, czasowe. Widzimy jak niszczeją i umierają na naszych oczach. Widok pośmiertnych szczątków ludzkich nie nastraja nas optymistycznie i przywodzi na myśl naszą śmierć i rozkład naszego ciała, będący tylko kwestią czasu. Dlatego wszyscy

- niezależnie od pozycji, kondycji, majątku - tak bardzo cenimy sobie tę podłą ziemską wegetację i okrutny, niewdzięczny los. Niektórzy w obliczu śmierci gotowi są oddać dorobek całego życia za jeszcze jedno „cudowne” lekarstwo, choćby miało im przedłużyć męki tylko o rok, miesiąc, tydzień, ...dzień. Chwytają się najmniejszego promyka nadziei. Edyta Gepert w swojej piosence „Kocham cię życie” chyba najlepiej oddała największą miłość człowieka. Bez wzajemności, na przekór wszystkiemu - cenimy i drżymy o coś, co i tak z każdą chwilą nam ulatuje. To chyba największy dylemat i paradoks istoty ludzkiej. Jest to jednocześnie tak bardzo naturalne. Nam, Katolikom taka postawa wydaje się być wręcz wpisana w naturę człowieka, ale nie do końca tak to wygląda.

Oprócz zrozumiałej niepewności przetrwania, która towarzyszy każdemu z nas, istnieje jeszcze coś innego - STRACH przed Bogiem i Jego Sądem, zaszczipiany przez Kościół kolejnym pokoleniom Katolików. Na całym świecie nie ma drugiej tak negatywnej i pesymistycznej religii, jak Religia Katolicka. Inne wyznania chrześcijańskie, a w szczególności protestanckie, nie „równają” się pod tym względem z Katolicyzmem. Większość religii oraz prądów religijno - filozoficznych i światopoglądowych, mówi o śmierci jak o «wyzwoleniu», «powrocie do domu Ojca», «ukojeniu po trudach i cierpieniach». Bóg występuje w nich jako wierny przyjaciel człowieka; po okresie próby niechybnie wynagrodzi mu wszelkie ziemskie niedogodności. Nie ma żadnych wiecznych męczarni i wiecznego potępienia!!!

Biblia mówi wyraźnie o Sądzie, który będzie miał miejsce podczas powtórnego przyjścia Chrystusa na ziemię. Ten fakt jest poza wszelką dyskusją; lecz tzw. Sąd Ostateczny będzie jedynie ogólnym objawieniem Bożych zamysłów i tajemnic, ciągle pozostających poza zasięgiem umysłu człowieka. Pan Bóg powie wówczas bez ogródek i wyjawi do końca: po co stworzył człowieka; dlaczego pozwolił mu cierpieć na ziemi; kto tak naprawdę pełnił Jego wolę (podzieli ludzi na „owce i kozły”), który z Kościołów był najbliższej prawdy o Nim; co przygotował wszystkim swoim dzieciom na wieczną nagrodę.

Zauważmy, iż na te pytania nikt z żyjących nie jest w stanie odpowiedzieć jednoznacznie i do końca. Gdyby tak było - nie istniałyby na świecie: sądownictwo, prądy filozoficzne i cała teologia; natomiast kwitłaby jedna religia dla wszystkich. Największa niepewność, która dręczy większość ludzi to ta... czy Bóg w ogóle istnieje. Niewiarę człowieka można przecież dość łatwo uzasadnić brakiem oglądu Boga, bezmiarem zła na ziemi, przesłankami naukowymi, ewolucją itp. Jakże więc w

obliczu tak wielkiej ułomności i ograniczoności ludzkiej, a także ogromnych i różnorodnych wątpliwości z nimi związanych - można przypuszczać, że Bóg osądzi i skarzę swoje niedoskonałe i nieświadome dzieci!?

Dręczenie miliardów ludzi perspektywą ognia piekielnego, które Kościół Katolicki skuteczniał przez całe wieki, uważam za jedną z największych mistyfikacji w dziejach ludzkości. Obok inkwizycji, potępień, dziesięciny i indeksów zakazanych ksiązek, był to zawsze i ciągle pozostaje największy „bicz” na rzesze wierzących, mający trzymać ich w ryzach uległości i strachu!

Już w pierwszych wiekach Chrześcijaństwa okazało się, iż nie wszyscy ludzie kochają Kościół jak należy. Niehumanitarne prawa, barbarzyńskie rządy papieży, chorobliwe zdzierstwo i zepsucie moralne duchownych dawało po temu aż nadto powodów. Kiedy hierarchowie zorientowali się, że wszystkich niepokornych nie uda się spalić na stosach - zaczęli straszyć swoje owieczki katastroficznymi wizjami zagłady dla każdego, kto nie podporządkuje się bez reszty kościelnej doktrynie. W Wiekach Średnich te praktyki osiągnęły swoje apogeum. Doszło do tego, iż powszechną stała się świadomość potępienia dla wszystkich z wyjątkiem duchownych. Były nawet na ten temat oficjalne wypowiedzi najwyższych dostojników kościelnych.

W Łądzie nad Wartą, w klasztorze księży Salezjanów wisi ogromnych rozmiarów obraz przedstawiający Sąd Ostateczny. Na rozstaju dwóch dróg rozchodzą się dwie nieprzeliczone masy ludzi: jedni, w sutannach i zakonnych habitach zmiierzają węższą drogą do Nieba; wszyscy pozostali, ze zwieszonymi głowami, podążają wprost do piekielnych czeluści. Okazuje się, że duch faryzeizmu zawsze wywierał na katolickich kapłanach niezatarte piętno. Presja wiecznej kary i surowego Boga jest także największym spoiwem utrzymującym obecny Kościół w jedności. Każdy wolnomyśliciel, odstępcza czy heretyk ma zaklepane ruszto i rezerwację wideł. Dopóki ludzie będą umierać i nie wyjaśni się dokładnie sprawa „życia po życiu” (czyli do końca Świata), tak długo najskuteczniejszym sposobem na przytarcie nosa nieprawomyślnym i zastraszenie całej reszty - pozostanie ciągle „podgrzewanie” piekielnych pieców. To bez wątplenia najbardziej uniwersalna i ponadczasowa metoda.

Teologowie i bibliści podpierają swoją teorię zagłady grzeszników konkretnymi fragmentami z Pisma Świętego. Rzeczywiście jest ich niemało. Konkretnie, obrazowe wizje Sądu nakreślił sam Jezus. Mowa jest również o karze,

mękach i wiecznym - nieugaszonego ogniu.

Katolicy badacze Pisma przyjmują te opisy niezwykle dosłownie. Dogmatem wiary katolickiej jest na przykład to, że kary piekła polegają na prawdziwym przypiekaniu potępieńców. Ma do tego służyć prawdziwy, fizyczny ogień lub żar - porównywany do... żaru słonecznego. Z tą „nieomylną prawdą Kościoła” łączy się następna - „...Kary piekielne są karami materialnymi...” - co jest już tak wielką bzdurą, iż trudno tu nie poddać się uczuciu politowania. Każdemu dziecku można wytłumaczyć, że niematerialna dusza nie może podlegać materialnym karom!

Prawdziwa mądrość katolickich mędrków polega na podkreślaniu tego, co w sam raz pasuje do katolickiej doktryny. Najlepiej jeśli jakiś fragment Biblii, wypowiedź świętego lub ojca Kościoła, potwierdza (nieważne w jakim kontekście) słowa papieża - tego czy poprzednich. Całe sztaby teologów głowią się nad tym, jak wybrnąć jakimś cytatem z kolejnych papieskich gaf i niedorzeczności. Na tej zasadzie i tym sposobem stworzono większą część doktryny katolickiej. Także w naszym temacie teologowie i bibliści wyszli na przeciw oczekiwaniom któregoś z papieży - wyszukali urywki o sędzie i karach, po czym zgodnie orzekli, że trzeba je brać dosłownie. O dziwo, ogólna opinia współczesnych uczonych w Piśmie o biblijnych opisach jest zupełnie odmienna. Przestrzegają bardzo mocno przed dosłownym, literowym tłumaczeniem, nawet słów samego Jezusa. Jeśli by przyjąć odwrotne podejście, trzeba by uznać, iż np. Jezus nie był jedynakiem („...oto Jego Matka i bracia stanęli na dworze...”, św. Piotr był szatanem, a zbawionych będzie tylko 144 tysiące.

O ile takiej interpretacji teologów (co do całej Biblii) nie można odmówić racji bytu, to trzeba też jasno powiedzieć, że tam gdzie jest im wygodnie czytają wszystko Jota w jotę” - jak leci, chociażby nie pasowało to nijak do całego kontekstu Słowa Bożego. Tymczasem z tego kontekstu jasno i wyraźnie wynika tylko bezmiar Bożej miłości i przebaczenia. Skoro za teologią katolicką przyjmujemy, iż nasz Stworzyciel i Odkupiciel posiada wszystkie swoje przymioty w stopniu najwyższym i doskonałym, to dlaczego jeden z nich «miłosierdzie» próbuje się na siłę ograniczać!?

Jak to więc w końcu jest? Hulaj dusza, piekła nie ma!?

Aby znaleźć klucz do odpowiedzi na to pytanie musimy znowu powrócić do problemu sensu życia, cierpienia i śmierci; łączy się to bowiem w oczywisty sposób ze sprawą wiecznej odpłaty i może być rozpatrywane tylko w całej perspektywie odniesienia Boga do człowieka. Klucz leży właśnie w tym - jak traktuje nas Bóg.

Nie ulega wątpliwości, a Pismo Święte mówi o tym wielokrotnie i bardzo wyraźnie, że stworzenie człowieka było przejawem Bożej miłości. Księgi natchnione mówią dalej o nieposłuszeństwie ludzi, którzy - począwszy od Adama i Ewy - zaczęli korzystać ze swojej wolnej woli, nie zawsze po myśli Stwórcy. Alegorycznego, bajkowego opisu grzechu pierworodnego i wygnania z Raju nie wolno traktować dosłownie. Bóg nie potępiłby człowieka za użycie jednego z darów, którym go obdarzył - PRAWA WYBORU. Wszechwiedzący najlepiej znał „dzieło rąk swoich”, które tym m.in. różniło się od zwierząt, że było wolne. W wolności również wyraża się najpełniej nasze podobieństwo do Boga, Którego może tylko smucić i ranić to, iż nie wykorzystujemy jej (wolnej woli) zgodnie z Jego przykazaniami. Cała dalsza Historia Zbawienia Starego Testamentu potwierdza tę tezę. Miłość Stwórcy dla własnych stworzeń nie dopuszcza potępienia, a jedynie ukierunkowanie (np. przez patryjarchów, proroków, biblijne teksty natchnione) na właściwe drogi. Tak zachowuje się każdy ojciec wobec swych dzieci - napomina, ciągle i do końca kochając. Szczytem tej miłości było poświęcenie Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, za grzechy całego świata. Dla Boga nasza grzeszność jest czymś oczywistym - wpisanym w naszą naturę; jest konsekwencją wolności. Ludzie sprawiedliwi, święci - nigdy nie byli przez Niego hołubieni i wywyższani, wręcz przeciwnie - wielokrotnie ich doświadczał. Nigdy nie liczyła się u Niego ilość odmawianych modłów i praktykowanie wyrzeczeń. Sam Jezus ganił składanie ofiar, wielomóstwo na modlitwie oraz faryzejskie, skrupulatne trzymanie się prawa Bożego! Wszystko to świadczy o tym, że Pan Bóg nie przykładła większej wagi do czynienia dobra, jako wartości samej w sobie. Jest to oczywiste - nie można „wzbogacić” dobrem Tego, Który ma wszystko w „pełnej obfitości”. Niebieski Ojciec cieszy się z każdego przejawu naszej dobrej woli; z każdego dobrego uczynku, ale to jakimi jesteśmy ludźmi nie przesądza o naszym ostatecznym losie, a tym bardziej nie może być powodem wiecznego potępienia. Jeśli ktoś tego nie rozumie, odsyłam go do cudownej „Przypowieści o Synu Marnotrawnym”, tłumaczącej wszelkie wątpliwości.

Syn będący stale przy ojcu, uwidacznia postawę człowieka bogobojnego. Ojciec traktuje go na zasadzie - „jak jesteś, to dobrze”. Prawdziwa ojcowska troska kieruje się w stronę tego, który zbłądził - syna marnotrawnego. O niego warto zabiegać, na niego czekać na drodze do domu, bo to on - będąc słabym i grzesznym - zbłądził. Ku niemu zwraca się cała miłość Ojca. A kiedy niewdzięczny, splugawiony największymi grzechami syn uznaje, że ani bogactwo, ani rozpusta nie dały mu

szczęścia - powraca skruszony, aby odebrać słuszną karę. Co czyni Ojciec? Rzuca się mu na szyję, ubiera w najpiękniejsze szaty, zakłada na jego palec pierścień (symbol władzy), karze zabić cielę, wyprawia wielką ucztę i ogłasza powszechną radość. Nie liczy się dla niego zło samo w sobie, które popełnił grzeszny syn. Miłość przekreśla najgorsze winy i wszystko przebacza. Ciężar gatunkowy wyrządzonego zła nie ma najmniejszego znaczenia. Im ktoś więcej nagrzeszył, tym większa jest radość z jego nawrócenia, choćby nastąpić ono miało w ostatniej chwili życia. Bóg rozumie nas o wiele lepiej niż nam się wydaje. On patrzy w głąb serca i najbardziej cieszy Go, kiedy sami przekonamy się co jest dla nas lepsze i że nasze miejsce jest przy Nim. Ludzkie grzechy, wbrew temu co mówi Kościół, nie szkodzą Bogu ani Go nie ranią.

Porównania do ran Chrystusa są czystą alegorią. Nie zapominajmy, iż opisy biblijne - nie mówiąc już o całej Tradycji Kościoła - to dzieło literackie; natchnione, ale stworzone przez ludzi. Bogu tak naprawdę zależy na tym, żeby jak najwięcej zatwardziały w grzechach synów marnotrawnych, odnalazło drogę do Niego. Na tych, którym to się nie udało albo którzy nie zdążyli, zawsze czeka maleńka kropla krwi Zbawiciela, obmywająca ze wszelkich win.

Czy można sobie wyobrazić, aby Kochający Ojciec potępił swoje dzieci, choćby nie wiem jak nabroili!? A rodzice ziemscy, czy wyrzekają się popełniających błędy własnych dzieci? Wręcz przeciwnie, są one obiektem ich nieustannej i szczególnej troski! Biblia mówi jasno: „Bóg nie chce śmierci grzesznika, lecz aby się nawrócił i żył”... „Ja nie mam żadnego upodobania w śmierci - wyrocznia Pana Boga...”

Kto twierdzi, że Bóg - Najlepszy Ojciec, Który Syna swojego dał na Ofiarę za nas - jest jednocześnie mściwym katem i oprawcą, wtrącającym za karę ludzi do piekła na wieczne męki - jest winien obraży Boskiej. Winni są wszyscy teolodzy i współcześni „uczni w Piśmie”, którzy straszą biednych ludzi Bogiem - sadystą.

Żeby nie wyglądało to w ten sposób - wymyślono przewrotną, szatańską tezę, iż to sam człowiek, popełniając grzech skazuje się na ogień wieczny, a Pan Bóg nie ma z tym nic wspólnego. Wyobraźmy sobie palące się w pożarze dziecko i stojącego obok spokojnie ojca. A może to teolodzy i bibliści są sadystami!? Nie posądzam ich o to, ale jak potrzebowali bicza na owieczki to go ukrećili! Prawda jest taka, że „Bóg za dobre wynagradza”, a zło puszcza w niepamięć nawróconym; przebacza zaś grzesznikom. Jeśli tak nie jest, to cóż warte byłoby nasze życie - ciężkie i pełne cierpienia, niepewności i strachu; kończące się śmiercią, sądem i mękami!? Już sama

wiara w Jezusa Chrystusa, a nie pełnienie dobrych uczynków, jest dla naszego Ojca wystarczającym powodem, aby przebaczyć nam nawet najcięższe winy. Jeśli ktokolwiek ma co do tego jakieś wątpliwości - musi koniecznie przeczytać List Świętego Pawła do Rzymian. Ja jestem tylko ułomnym człowiekiem i mogę kłamać, ale Słowo Boże nie kłamie!!!

Nie jest żadną tajemnicą, iż przesłania płynące z Biblii oraz moje poglądy odbiegają zasadniczo od stanowiska i dogmatów kościelnych. Nie waham się jednak występować otwarcie przeciw zwodniczym, anachronicznym naukom - nie mającym żadnego oparcia w Piśmie Świętym. Obecnie, teologowie katoliccy mają najwięcej pracy z „naciąganiem” skostniałej, niehumanitarnej doktryny - wyrosłej na autokratywnych rządach papieży - do współczesnej myśli ludzkiej.

Papieżę, począwszy od Jana XXIII a zwłaszcza Pawła VI, doskonale zdawali sobie sprawę, że to „ostatni dzwonek” dla Kościoła. Trzeba było (ciągle się to robi) wyprostowywać najbardziej okrutne prawa w historii świata, jak np. „wieczne pozbawienie oglądu Boga” przez maleńkie, nowonarodzone dzieci i wszystkich dorosłych, którzy nie zdążyli przyjąć Chrztu. Dopiero Paweł VI złagodził nieco tę katolicką naukę. Jak czuli się przez całe wieki rodzice martwych noworodków albo przedwcześnie zmarłych niemowląt, kiedy „na pociechę” po stracie dziecka, Kościół skazywał ich nieszczęsne maleństwa na męki w „nieugaszonym ogniu” - za „skazę” grzechu pierworodnego. Wystarczyło kilka sekund spóźnienia lub chwilowy brak wody do Chrztu i „pechowa” istotka szła do piekła, z powodu głupiego jabłka zjedzonego 6000 lat wcześniej przez oszukaną Ewę.

Kolejnym przykładem „nieomyślności” Kościoła może być odwrót od stanowiska w sprawie celu aktu seksualnego. Aż do czasów obecnych, każde zbliżenie mężczyzny i kobiety było grzeszne, nawet ...w małżeństwie. Tylko Maryja była „bez grzechu poczęta”. Niedawno dokonała się prawdziwa rewolucja - grzechu nie ma, „jeśli stosunek ma na celu poczęcie dziecka”. Najnowsze poglądy teologów moralnych mówią nawet nieśmiało już nie o prokreacji, ale o miłości jako głównym celu małżeństwa.

Takie przykłady można mnożyć. Teologowie mają masę pracy z zachowaniem choćby cienia pozorów stałości doktryny katolickiej - sztandarowego hasła Kościoła. Rezultat tych wysiłków jest jednak żałosny, a oczywiste zaprzeczanie nauce wcześniejszych papieży, dowodzi niezbitości ich omyślności.

ROZDZIAŁ VI

OPATRZNOŚĆ I JEJ BRAK

Powróćmy jednak do naszych rozważań i początkowych, kluczowych pytań - jak traktuje nas Bóg? jak pogodzić nieskończoną miłość Boga z bezmiarem zła i cierpień na ziemi? Spróbujmy jeszcze raz wyobrazić sobie całą ludzką niedolę - zarazy dziesiątkujące przez wieki całe narody, nieludzkie prawa i okrutne tortury, niewolnictwo, wojny, komory gazowe, nieuleczalne choroby; klęski głodu, żywiołów itd. Każdy z nas mógłby dopisać do tej listy własne życiowe udreki i zmagania z losem. Dlaczego Bóg dopuszcza (nie zsyła!!!) do takich rzeczy - czyniąc z ziemi, którą dał człowiekowi - „padół łez”!?

Aby to wszystko zrozumieć, należałoby spojrzeć na świat i ludzi z Jego perspektywy, która jest nieogarniona! My sami, zmagając się z problemami dnia codziennego, widzimy tylko czubek własnego nosa. Bóg widzi wszystko: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość - zamiary, działania i konsekwencje. Przede wszystkim jednak wie najlepiej, co będzie naszą nagrodą. Bez wątpienia gra jest „warta świeczki”, bo - jak zapewnia św. Paweł: „Ani oko ludzkie nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują”.

Dla nas, żyjących w ograniczonym świecie materii, życiowe fatum wydaje się zupełną tragedią; każde niepowodzenie - dotkliwą udreka; załamanie planów - sytuacją bez wyjścia; śmierć - końcem wszystkiego. Najlepiej świadczą o tym samobójstwa, popełniane już niemal na skalę masową. Tymczasem Bóg wie, że całe nasze ziemskie życie, wraz z jego bagażem radości i smutków, jest tylko chwilą - usychającym z każdą chwilą źdźbłem trawy. Przecież nawet małe dziecko z każdą sekundą przybliża się do śmierci. Dosłownie należy brać słowa Biblii, która mówi wielokrotnie: „Do nieśmiertelności Pan Bóg stworzył człowieka”. Ziemia nie jest naszą ojczyzną, ani naturalnym miejscem istnienia. Od Boga wyszliśmy i do Boga zdążamy. Obecne życie to tylko jedna wielka przygoda, jaką Ojciec zafundował swoim dzieciom. Jesteśmy tu jak dumne, dzikie zwierzęta, zamknięte tymczasowo w ogrodzie zoologicznym, które próbują się w nim jak najlepiej urządzić. Jest to jednocześnie czas oczyszczenia. Same niedogodności, których doświadczamy żyjąc na ziemi, automatycznie i bezpowrotnie gładzą nasze synowskie nieposłuszeństwa. Śmierć jest jedynie przejściem do prawdziwego życia i ukojeniem duszy po trudach

wcielenia. „Nasza bowiem ojczyzna jest w Niebie” - mówi Pismo Święte.

Nie ma żadnej Bożej opatrności nad światem, żadnego zwierzchnictwa - o którym tak często mówi Kościół! Nie istnieje żadna opieka!!! Gdyby przyjąć istnienie czegoś takiego, należałoby również odwrotnie - obciążyć Boga wszelkim złem i cierpieniem na ziemi. Opatrzność oznacza bowiem także pełny nadzór i kontrolę. Uwielbiamy Boga za słońce, deszcz, urodzaje - a co z suszami, powodziami i klęskami głodu! Dziękujemy za szczęśliwą podróż samochodem czy samolotem - a co z tymi, dla których podobne wojaże kończą się kalectwem lub śmiercią! Idąc konsekwentnie tokiem „kościelnego” rozumowania, należałoby obarczyć winą za to wszystko wcześniejszego „Dobroczyńcę” i nazwać Go teraz „mordercą”, „tyranem”, „sadystą”, a w najlepszym wypadku powiedzieć: „Bóg nas opuścił, gniewa się na nas...”. Przypomnijmy sobie, jak często w modlitwach błagaliśmy z całej duszy o to czy tamto. Fakt, iż Niebo pozostało głuche na nasze wołania ma oznaczać Boży gniew, nauczkę; albo to, że On nie istnieje!?! Według doktryny katolickiej - to pierwsze; ateści przyjmą drugie rozwiązanie. Obydwa są błędne. Naturalnie Wszechmogący może ingerować w życie ziemian i bez wątpienia często dzieje się to w indywidualnych przypadkach, ale nie uczynił tego wobec całego rodzaju ludzkiego od czasu Ukrzyżowania i Zmartwychwstania Chrystusa; zgodnie z zapowiedzią, że „żaden znak” nie będzie więcej dany ludzkości.

Kościół, który przypisuje sobie pośrednictwo Boskiej Mocy wydaje się być często zenująco naiwny w swoim przepowiadaniu i ograniczony w myśleniu, albo (co bardziej prawdopodobne) ma za takich, swoich własnych wiernych. Pytam się naszego drogiego papieża, dla którego mam wielki szacunek: jak wytłumaczyć to, że wkrótce po jego uroczystym apostolskim błogosławieństwie we Wrocławiu - ziemię tę zalały niszczące masy wody? Czy jest to dowód na Bożą opatrność; znak szczególnej łaski dla namiestnika Chrystusowego; a może fakt ten łączy się ściśle z mocą samego błogosławieństwa? Nie bez powodu trudno jest wytypować miasta, które nasz wielki Rodak ma odwiedzić podczas kolejnej pielgrzymki do Ojczyzny w przyszłym roku - Polacy boją się po prostu nadmiaru „łask”, które jak zwykle mają obficie spłynąć na Kraj, po wizycie „Ojca Świętego”.

Nie papież jest tu jednak winien, ale archaiczna, głupia doktryna, czyniąca go wielkim czarownikiem we własnym plemienu. Swoją drogą „zaklinanie” przez księży uciążliwych zjawisk pogodowych czyli tzw. modlitwy o słońce lub deszcz, przypominają do złudzenia czasy plemienne w historii ludzkości, kiedy funkcję tę

pełnili właśnie czarownicy. Wierzcie mi, że Pan Bóg też ma co innego do roboty niż topienie niewinnych ludzi albo nękanie ich gradem, suszą czy wichurą. Niemal dwa tysiące lat po Zmartwychwstaniu Tego, Który uciszał burze i wiatry - ludzie ciągle żądają „znaku”, a duchowni jak zwykle skwapliwie wychodzą naprzeciw zapotrzebowaniu klientów. Zawsze przecież można powiedzieć, że Msza albo modlitwa nie poskutkowała, ponieważ: „Pan Bóg ciągle się gniewa”; „daje znak swojej opatrności”; „napomina i ostrzega!”

„Macie oczy, a nie widzicie; macie uszy, a nie słyszycie? - światem po prostu rządzi PRZYPADEK!!! Bóg puścił sprawy na ŻYWIOŁ! Tylko On mógł to zrobić, bo tylko On wie, jakie będą nasze losy. Za cenę doczesnej przypadkowości czeka nas pocieszenie i wieczna nagroda po śmierci. To jedyne rozsądne wytłumaczenie tego, co dzieje się wokół nas; tego całego niezawinionego zła, pozbawionego jakiegokolwiek sensu.

Całe Pismo Święte potwierdza tę prawdę. Weźmy na przykład uzdrowienia, które dokonał Jezus. Iluż było na ulicach miast i wsi Izraela - niewidomych, epileptyków, trędowatych, chromych i opętanych? Były ich tysiące! Dlaczego Jezus uzdrowił tych, a nie innych? Czy ci inni byli mniej warci? Nic podobnego - na nich po prostu trafił Zbawiciel. Ta przypadkowość ingerencji Boga świadczy o zupełnej przypadkowości powodów tejże ingerencji. Nie znaczy to wcale, że Boga nie obchodzi co się z nami teraz dzieje, wręcz przeciwnie! Dał nam przecież najlepszy przykład Swojego Syna. Poświęcił go dla nas. Cierpienie i śmierć Jezusa Chrystusa mają nas nauczyć mężnego i wytrwałego znoszenia własnych cierpień, które posiadają moc oczyszczającą. Ofiara z Syna Bożego złączyła się z ofiarami wszystkich ludzi wszystkich czasów i tak jak one, ale w sposób najdoskonalszy (bo Boski), stała się zadośćuczynieniem za nasze złe wykorzystanie wolnej woli. Była także największym wyrazem miłości i solidarności w cierpieniach pomiędzy Bogiem Ojcem, a nami - Jego dziećmi. Kto twierdzi, iż po takiej Ofierze z samego Boga, człowiek może jeszcze cierpieć wieczne męki w piekle - podważa wartość Ofiary Chrystusa; neguje miłość Stworzyciela i Odkupiciela człowieka. To właśnie ono, tzw. Święte Oficjum Kościoła popełnia bluźnierstwo, a przy okazji sieje demagogię i fałsz.

Słowa, które napisałem nie pochodzą wprost ode mnie. Wyczytałem je w oczach cierpiących niewinnie ludzi - załamanych surowością życia, powalonych ciężką chorobą, stojących w obliczu śmierci. Widziałem w nich niemoc i strach przed czymś nieodgadnionym. Bezsilność doprowadzała ich do rozpaczki albo krańcowego

przygnębienia. Wszyscy zagubieni, przybici swoim losem ludzie wołają z całej duszy do Boga: „dlaczego!!?”, „za co!!?”. W ich wołaniu ukryta jest już odpowiedź - to wszystko nie ma najmniejszego sensu; jest tylko dziełem przypadku.

Co odpowiadają tym ludziom księża? - „...Cierpisz za grzechy swoje i całego świata”, „Wytrwaj do końca to będziesz zbawiony”, „Ofiaruj swoje cierpienia w intencji zatwardziałych grzeszników”, „Bóg tak chce ...ma w tym swój zbawczy plan...”

Kompletne bzdury!!! Obarczać winą Boga za cierpienia ludzi!!! Z tych biedaków robi się jeszcze na siłę ofiary. Przypomina to trochę rytualne mordy na niewinnych ludziach w kulturach pierwotnych. Oni też (np. palone żywcem dziewice) mieli być przebłagalną ofiarą dla różnych pogańskich bożków. Jak można dzisiaj wciskać ludziom takie bzdety!? Zresztą taka argumentacja wcale do nich nie przemawia. Wiem o tym doskonale, bo kilka lat wstecz sam próbowałem karmić ich takim „sianem”. Oni chcą żyć, cieszyć się życiem - do tego zostali stworzeni. Trzeba mówić im prawdę - o bezgranicznej miłości Boga, Który czeka na nich z utęsknieniem, aby oddać im stokroć więcej niż stracili przez zły los. Otumanieni kościelną demagogią nieszczęśnicy, tracą ostatnią nadzieję i gubią zupełnie sens tego, co ich spotkało. Tymczasem sami nie wiedzą, jak bardzo blisko Boga się znajdują, przez sam fakt cierpienia. Pozornie są jeszcze daleko - często zbuntowani, a nawet złorzeczący. Jednak wokół nich czuje się już Ducha Bożego, wszechogarniającą miłość Zbawiciela. On już tęskni za nimi i czeka na drodze, aby rzucić się na szyję swojemu zbłąkanemu dziecku, ubrać go w dostojne szaty i wyprawić na jego cześć wielką ucztę.

Stworzyciel patrzy na ubywający ciągle piasek w klepsydrach naszego życia. Wie, że na ziemi jesteśmy tylko prochem skazanym na poniewierkę, w zależności od tego jaki zawieje wiatr: dobry lub zły. Nie chce w to wszystko ingerować, pomagać, wspierać - bo wie, że wszystko co nas spotyka jest przejściowe.

ROZDZIAŁ VII

PIEKŁO DLA BIEDAKÓW

Piekło, jako miejsce czy też stan w jakim znajduje się po śmierci dusza, **NIE ISTNIEJE!!!** Zostało wykoncypowane przez służących wobec papieży teologów, którzy zręcznie manipulując biblijnymi fragmentami, wymalowali w świadomości ludzi wierzących dantejskie obrazy wiecznej pomsty Chrystusa nad grzesznikami.

Innymi słowy Jezus - Najlepszy Pasterz, jako Sędzia na końcu czasów, miałby skazywać swoje zabłąkane owieczki (o które zawsze najbardziej się troszczył) na: „wieczne potępienie”, „nieugaszony ogień”, „płacz i zgrzytanie zębów...”. Te określenia piekła były zawsze i są z lubością przytaczane przez tomistycznych teologów, biblistów i kaznodziejów. Kiedyś jeden z nich w rozmowie ze mną powiedział:

„...Trzeba, proszę księdza, jak najczęściej przypominać ludziom o śmierci i karze. Trzeba straszyć ich ogniem piekielnym, bo to ostatni ratunek przed zupełnym upadkiem moralnym i rozwiązością...”

Takie jest stanowisko całego Kościoła; tak też rozumuje i głosi swoje poglądy większość księży. W rzeczywistości chodzi o przywiązanie zastraszonego ludźmi do Kościoła, a więc - co za tym idzie - do: opłat za sakramenty, niedzielnej tacy, corocznej zbiórki (pardon - „wizyty duszpasterskiej”) i okazjonalnych „zrzutek”, intencji mszalnych; „frycowego” za place, pomniki na cmentarzach itp.

Jeden z biskupów włocławskich chwalił się kiedyś w gronie tamtejszych księży, jak to - będąc jeszcze proboszczem - wciskał ludziom na kazaniach wysrane z palca tzw. przykłady. Sprytny duszpasterz (przeważnie tacy zostają biskupami) opowiadał ludziskom, a one wierzyły: jak to wyrzucił złego ducha z opętanego nim człowieka; o nieboszczyku, który straszył w swoim byłym domu, dopóki duchowny nie odprawił za niego Mszy św. itp. Wszystkie te bajery „sprzedawał” swoim owieczkom „powodowany wielką troską o ich zbawienie”. „...A ile później babki Mszy pozamawiały; jaki respekt czuły przede mną...!” - chwalił się biskup.

Jeśli już jestem przy biskupie Andrzejewskim, krajowym duszpasterzu rolników - przypomina mi się dokładnie jego konferencja do kleryków w seminarium w czasie, gdy na krótko pełnił obowiązki ordynariusza diecezji, po śmierci biskupa Zaręby. Powiedział wówczas ni mniej, ni więcej: „...Jeśli ktoś z ludzi świeckich przyjdzie do was, aby skarżyć się na jakiegoś księdza, że zrobił to czy tamto - nigdy i pod żadnym pozorem nie wolno wam przyznać mu racji, choćbyście sami wiedzieli to samo co on! Mówcie zawsze z wielkim przekonaniem i naciskiem, że to oszczerstwo, nierealne, niemożliwe! Ja zawsze tak postępuję, a ludzie - jeśli nawet nie wierzą - przynajmniej mnie samego mają za bardziej świętego niż jestem; o tamtym zaś, który im podpadł, mówią: to musi być jakiś wyjątek...”

Nie strachem ani kłamstwem, ale miłością i przebaczeniem posługiwał się Jezus, chcąc przybliżyć ludziom Ojca. Tymczasem podstawową działalnością

Kościół jest szerzenie strachu. Najlepiej udaje się to w przypadku dzieci (już od przedszkola - w myśl konkordatu), u których na długie lata, a najczęściej do śmierci, pozostanie w świadomości obraz karzącego Boga. Strach nie jest metodą na nawrócenie czy też podniesienie poziomu moralności chrześcijańskiej. Zwykło się mówić, iż - przekonać kogoś do jakiejś idei; uzyskać poklask, akceptację, wielki posłuch i szacunek - można albo miłością albo strachem. Nie trzeba chyba dokonywać rozróżnienia skutków jednej i drugiej metody. Czyż nie o przemianę serc apelował Jezus?!

Cóż z tego, że morderca nie zabije ze strachu przed dożywociem czy strykiem, skoro w głębi serca już dawno kogoś „załatwił” i zrobi to w końcu naprawdę, jak tylko będzie miał dobrą okazję i przestanie się bać.

Czy lepiej jest, gdy żona zgadza się z mężem, ponieważ go kocha i szanuje? A może strach przed ciosem w szczękę jest lepszą motywacją?

Kiedy katolicki hierarchowie zorientowali się, że fanaberie papieża, feudalne zacofanie struktur kościelnych, pogardliwe i interesowne traktowanie wiernych oraz autokratyczne rządy Kościoła - nie staną się nigdy przedmiotem szacunku i miłości ze strony tzw. laikatu

- wymyślili na postrach piekło. Nie musieli się zresztą wielce wysilać
- wystarczyło jedynie „wziąć” kilka klasycznych fragmentów Biblii i dorobić do nich parę dobrze skrojonych scenariuszy dreszczowców. Propaganda z ambon „na dołach”, jak zwykle dopełniła całości wytycznych „góry”.

Niewielu jest ludzi, zwłaszcza tych wyrosłych z katolickich korzeni, którzy oparliby się takiej agitacji. W mniejszym lub większym stopniu każdy człowiek boi się śmierci, to jest naturalne.

Jeśli do tej naturalnej ludzkiej bojaźni dołączyć jeszcze strach przed wiecznymi mękami; rzucić parę dogmatów o świętości Kościoła, jego monopolu na prawdę oraz nieomylności papieża - to Powiedzcie mi - gdzie mają iść biedni, zastraszeni, skołowani ludzie? Pójdą do Kościoła!!! I o to właśnie chodzi. Kościół (czyt. duchowieństwo) bez ludzi upadnie, zginie, przestanie istnieć! To ludzie utrzymują go przy życiu swoimi ciężko zarobionymi pieniędzmi; nie modlitwami, postami czy cierpieniem, ale PIENIĘDZMI, bo TEN Kościół nie może istnieć bez pieniędzy w odróżnieniu od Kościoła Jezusa i apostołów - partego na wzajemnej miłości, silnego wiarą swoich członków. Pieniądze są głównym celem dzisiejszego Kościoła, a raczej jego możliwych strażników. Właśnie dla nich ten cel uświęca

wszelkie środki. Tak, jak Jezuici grabili i mordowali dla żądzy zamorskich bogactw, inkwizytorzy palili na stosach dla zagarnięcia dobytku swoich ofiar - tak też zawsze wizja piekielnych otchłani nagoniała ciemne owieczki do kościelnych „naw”, gdzie czcigodni pasterze „doili” je skutecznie z gotówki. Ten ostatni sposób, jak już wcześniej wspomniałem, okazał się najbardziej uniwersalny i ponadczasowy - przetrwał do naszych czasów i stał się największym bitem na „pospólstwo”. Czyż to nie jest największy szantaż w dziejach ludzkości - straszyć całe pokolenia, miliardy ludzi piekłem - po prostu dla kasy!!?

Szatan, który oczywiście istnieje, ale tylko po to, żeby zwodzić ludzi na ziemi - wykazał się w tym przypadku szczególną przebiegłością, co w niczym nie umniejsza zasług jego niezwykle pojętnych uczniów. Znalazł on w osobach współczesnych faryzeuszy najbardziej wdzięczny materiał do swoich szatańskich intryg.

Kary przewidziane dla potępieńców są wielorakie, a same źródła katolickie opisują je jako „nie do opisania”. O fizycznym ogniu i torturach już wiemy. Do tego dochodzi jeszcze wieczny „brak oglądu Boga” oraz obcowanie z szatanami i innymi potępieńcami. W całym tym towarzystwie panuje ciągła nienawiść; wszystko dzieje się w nieprzeniknionych ciemnościach i potwornym ...zimnie. Wielki ten koszmar toczy się „pod ziemią”.

Zaznaczam, że to nie są moje wymysły ani też żadne ubarwienia. Sam musiałem studiować te brednie m.in. w oparciu o „Katolicki Katechizm Ludowy”, napisany przez ks. Spirago (tom I,II,III) lub „Eschatologię” ks. M. Ziółkowskiego, który podpira kościelne mądrości - nie wersetami biblijnymi - ale wymysłami pierwszych zwodzicieli Chrześcijaństwa, np. św. Cyprianem:

„Skazanych będzie paliło zawsze rozpalone piekło i gorejącymi płomieniami pożerająca kara, a nie będzie niczego, skąd katusze mogłyby mieć kiedyś spoczynek lub koniec ... Nie wszyscy potępieni ponoszą jednakowe kary; jedni doznają większych cierpień, inni zaś mniejszych. Intensywność mąk piekielnych zależy od ilości i ciężkości grzechów”.

„Narzędziem kary zmysłów jest przede wszystkim ogień, i to ogień rzeczywisty, cielesny”.

„Wszyscy cierpią potworne męki, złorzeczą i rozpaczają... Straszne więc i nieznośne musi być to ciągle obcowanie z potępieńcami. Z pewnością sprawiedliwość Boża stosuje względem potępionych jeszcze inne kary dodatkowe, których jednak nie znamy”.

Powyższe barwne opisy, będące wymarzoną natchnieniem dla kaznodziejów i przyprawiające szarego śmiertelnika o gęsią skórę, nie mają absolutnie żadnego potwierdzenia w Biblii! Nie występuje tam w ogóle wyraz „piekło” ani też pojęcie „piekła” jako miejsca wiecznej kary. Dokładny przekład mówi o „szeolu” lub „hadesie”, a określenia te należy tłumaczyć - jako stan śmierci lub miejsce przebywania wszystkich zmarłych. Pojęcie „ognia” jest dość często spotykane, ale nigdy w odniesieniu do karania zmarłych. Ogień ma przy końcu czasów wyniszczyć wszelkie zło i spalić szatana na ziemi. To właśnie szatan w wyjątkowo przewrotny sposób zapragnął zmącić obraz Boga w sercach ludzi, aby widzieli w Nim żadnego zemsty sadystę i despotycznego tyrana, a nie wielkodusznego i kochającego Ojca. Źródeł całej katolickiej nauki o piekle należy upatrywać również, tak jak w przypadku czyśćca i wielu innych „prawd”, w filozofiach i religiach pogańskich. Kara, będąca naturalną konsekwencją złego postępowania, nie może ominąć złoczyńcy - tak pokrótce można oddać jeden z ponadczasowych i fundamentalnych aspektów ludzkiego wartościowania, obecnego niemal w każdej kulturze i religii. Wynika to z elementarnego poczucia sprawiedliwości, zapisanego w sumieniu każdego człowieka.

Jednakże Bóg nie ocenia i nie wyrokuje tak, jak ludzie. Mówi nam o miłości nieprzyjaciół i przebaczeniu bez granic nie po to, żeby nas samych w końcu osądzić, skazać, wtrącić do piekła i przez wieczność delectować się naszymi mękami. Nasz Stwórca zapewne z wielką troską patrzy na to, jak Go postrzegamy.

Współcześni faryzeusze - mąciocie w sutannach, którzy na straszaniu piekłem zbijają kapitał i zafałszowali nawet w tym celu obraz samego Boga - to, iż oni nie poniosą żadnej kary, wykracza już poza możliwości ludzkiego umysłu. Dla ich własnej satysfakcji, mógłbyś Panie przysmażyć ich choć trochę jakimś niebiańskim miotaczem ognia, sypnąć siarką i dźgnąć po tyłkach widełkami!

A jednak widzisz Boże i nie grzmisz!!? Tak, Jego miłosierdzie nie zna granic! On już teraz Bracie, (który Czytasz te słowa) patrząc na trudy Twojego życia, na Twoje codzienne zmagania z przeciwnościami losu, nie może się doczekać, kiedy wreszcie obdaruje Ciebie i mnie

- Nas wszystkich - swoją wieczną nagrodą! Poświęcił dla nas swojego Jedyne Syna - czy mamy jeszcze wątpić w Jego Miłość!? Pragnie dać nam nową Ojczyznę „i każdą łzę otrze Bóg z naszych oczu”. Jakże pięknie te Boskie pragnienia oddaje fragment z Księgi Proroka Jeremiasza:

„Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamyślam co do was

- wyrocznia Pana - zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, której oczekujecie ... Ja zaś sprawię, że mnie najdziecie ... i odwrócę wasz los, zgromadzę spośród wszystkich narodów i z wszystkich miejsc, po których was rozproszyłem - wyrocznia Pana - i przyprowadzę was do miejsca, skąd was wyгнаłem”.

Fakt, iż piekło nie istnieje, nie oznacza braku jakiegokolwiek kary. Nie znaczy to również, że można bezkarnie szaleć i pławić się do woli w grzechach - kraść, kłamać, zdradzać, zabijać itp. Takie nonszalanckie podejście do Bożych przykazań będzie karane bardzo dotkliwie. Ludzie, którzy nadużywają miłości Boga i za nic mają drugiego człowieka, poniosą po śmierci największą karę. Karą tą będzie pełna świadomość całego zła, które wyrządzili za życia. Tacy „potępieńcy” rzeczywiście będą „płakać i zgrzytać zębami” - widząc wyraźnie wszystkie konsekwencje swego złego postępowania. Będą też, mając doskonałe władze poznawcze, wręcz czuli ból skrzywdzonych przez siebie bliźnich. To będzie dla nich jedyna, ale jakże dotkliwa kara; tym dotkliwsza, gdyż znając już bezgraniczną miłość Boga i Jego przebaczenie - odczuwać będą niewypowiedziany wstyd i żal. Wyrzuty sumienia

- czynność władzy duchowej - odczuwane za życia, będą karą dla grzeszników po śmierci. W tym sensie rzeczywiście ludzie ci sami skazują się na takie duchowe męki, które mogą trwać całą wieczność.

Popełnione zło, zarówno za życia jak i po śmierci tego, który je popełniał, może być jednak zgładzone przebaczeniem ze strony ofiary zła. Uwalnia to również złoczyńcę od wiecznego żalu i zapewnia mu pokój duszy. Taki dobrowolny, wspaniałomyślny akt łaski, okazany komuś kto zniszczył nasze marzenia, skrzywdził najbliższych lub w jakikolwiek sposób dotkliwie nas zranił - przychodzi każdemu z ogromnymi oporami. To jeden z największych ludzkich wysiłków, często wręcz niemożliwy do zrealizowania. Wiedział o tym Zbawiciel, kiedy mówił, że Jego nauka jest „trudna” i przyrównał ją do dźwigania krzyża. Jeśli jednak za życia, chociażby w ostatnim jego momencie, przebaczymy „naszym winowajcom” możemy z całą pewnością liczyć na pełną amnestię po śmierci. Dlatego właśnie Jezus tak często wzywał do przebaczenia bez granic („77 razy” = zawsze), a nawet do miłości nieprzyjaciół. Taka rezygnacja z zemsty oraz odpuszczenie win, gwarantuje skutek adekwatny. Wspaniałomyślny pokrzywdzony sam dostępuje łaski przebaczenia - jego własne grzechy i związane z nimi wyrzuty sumienia - będą na zawsze zgładzone.

Komu mamy wierzyć: nadętym bufonom w sutannach czy też słowom Syna

Bożego, Który zapewnia nas:

„...przebaczcie, jeśli macie co przeciw komu, aby także Ojciec Wasz, który jest w Niebie, przebaczył wykroczenia wasze...”

„...a wasza nagroda będzie wielka i będziecie synami Najwyższego; ponieważ On jest dobry dla niewdzięcznych i złych. Bądźcie miłosierni, jak Ojciec wasz jest miłosierny...”

Nijak to się ma do nauki Kościoła, która przedstawia Boga jako wielkiego księgowego. Żadna myśl, słowo, najmniejsze przewinienie

- nawet nie do końca uświadomione - ma nie umknąć temu słuźbiście.

Aby odeprzeć ataki protestantów co do wartości spowiedzi usznej, teolodzy katolicy wymyślili ostatnio ciekawe rozwiązanie. Zarzuty „innowierców” brzmią mniej więcej tak: „...po co się nawracać, pracować nad sobą, skoro u Katolików można iść do spowiedzi, a ksiądz i tak odpuści wszystkie grzechy...” „Nasi” teolodzy, czując na sobie „nieomylny” oddech papieża, odpalili im w „try miga” - „...odpuszczenie grzechów podczas spowiedzi gładzi je, ale nie do końca”. Będziemy na Sądzie rozliczani ze wszelkiego, nawet najmniejszego zła, z którego się za życia spowiadaliśmy” - zdecydował Kościół.

Tymczasem Stwórca Wszechświata za nic ma nasze słabości, zwłaszcza te wynikające z grzesznej ludzkiej natury - popędów, namiętności, manii wielkości. Patrzy na to wszystko z przymrużeniem oka i kiwa z politowaniem głową. Z pewnością surowo ocenia wszelkie wynaturzenia - morderstwa, gwałty, bezlitosne traktowanie niewinnych i bezbronnych, a przede wszystkim dzieci, ale On - Źródło Miłości - nie odpłaca złem za zło, na wzór małodusznych ludzi.

Największymi zbrodniami, jakich może dopuścić się człowiek, są zgorszenia na wielką skalę oraz bluźnierstwa przeciw Duchowi Bożemu. To tak, jakby rodzice stracili miłość dzieci przez jedno, które zbuntowało wszystkie inne albo gdyby dziecko lżyło swoich rodziców za to, że dali mu życie i wszelkie warunki rozwoju. Bóg ofiarując nam życie wieczne, ma prawo wymagać dla siebie pewnej naturalnej czci i wdzięczności; choć bez wątpienia rozumie także niewierzących lub wątpiących w Niego.

W każdym razie, im więcej nabroimy w tym życiu - tym większy będzie nasz żal i związana z nim udręka po śmierci. Sam Bóg nie podniesie na nas swej „karzącej ręki”, jak to poetycko przedstawiali autorzy Starego Testamentu. Ich wizja Boga jako złowrogię, nieprzejednanego sędziego zrodziła się w okrutnych czasach, w których

nie było miejsca na przebaczenie, a okazana nieprzyjacielowi litość była oznaką słabości. Pan Zastępów, którego nawet imienia bano się głośno wypowiadać - nie mógł być słaby. Ten, który w proch rozbijał całe armie; kazał w pień wycinać miasta i całe narody, a swemu wybranemu ludowi dał przykazanie: „Oko za oko, ząb za ząb” - nie wiedział co to miłosierdzie, z wyjątkiem nielicznych wyjątków, przedstawianych przez kronikarzy - jako typowe kaprysy wielkiego władcy. Samo wybranie tylko jednego spośród tysięcy narodów, połączone z tępieniem pozostałych, było również pewnego rodzaju „widzimi się” monarchy.

Taki obraz Boga - tyrana, funkcjonował wśród Żydów podczas ziemskiej działalności Jezusa. On to dopiero objawił prawdę o swoim Ojcu. Trudno byłoby tutaj przytoczyć wszystkie fragmenty Jego wypowiedzi, mówiące o nieskończonej miłości Boga i przebaczeniu bez granic. Wystarczy choćby wspomnieć „Błogosławieństwa na górze”; zapowiedź całkowitego przebaczenia dla przebaczących, a także dla celników, cudzołóżnic, najgorszych łotrów, morderców - po prostu wszystkich! Na potwierdzenie swoich słów Jezus wybiera upadłych w grzechach ludzi na swoich największych przyjaciół i powierników swej nadprzyrodzonej misji: celnika Mateusza, cudzołóżnicę Marię Magdalenę, awanturnika i zdrajcę Piotra (którego nazwał „szatanem”); w końcu zaś mordercę Szawła - późniejszego św. Pawła - apostoła wszystkich narodów. Kiedy Zbawiciel wisiał na krzyżu przebaczył swoim oprawcom, a widząc żal i skruchę w oczach łotra

- nie musiał go rozgrzeszać z licznych zbrodni; stwierdził tylko: „Dziś ze mną będziesz w raju”. W słowach Jezusa nie znajdziemy wzmianki o jakiegokolwiek pomście Boga nad człowiekiem. Jeśli nawet ktoś chciałby w ten sposób interpretować niektóre z Jego wypowiedzi

- napotka zawsze, przy końcu każdej Ewangelii, na opis Ukrzyżowania, Śmierci i Zmartwychwstania Naszego Pana. Dwa pierwsze fakty stanowią Najdoskonalszą Ofiarę - Zadośćuczynienie za grzechy całego świata. Są jednocześnie obrazem losów każdego człowieka na ziemi - droga krzyżowa życia, kończącego się śmiercią. Kontynuacją, następstwem tego ciężkiego życia, jak w przypadku Jezusa, będzie zmartwychwstanie każdego z nas. Śmierć zostanie ostatecznie zniszczona wraz ze swoim „ojcem szatanem”. Stanie się to podczas powtórnego przyjścia Chrystusa. To, czego Ojciec nie powiedział przez swojego Syna, wyraził najpełniej ofiarując go za nas na śmierć. On zaś, uzyskawszy nad nią pełną władzę, unicestwi ją raz na zawsze, aby już nigdy żaden człowiek nie musiał przez nią przejść. Naszym

przeznaczeniem jest życie wieczne z Bogiem i niemożliwe jest istnienie człowieka bez Niego: „...bo w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy ...jesteśmy bowiem z Jego rodu”.

Cały porządek Wszechświata oraz zamysł stworzenia, mający swoje źródło w Bożej miłości, nie można pogodzić z istnieniem piekła. Wizja współistnienia przez wieczność dwóch rzeczywistości - wiecznego potępienia i wiecznej nagrody, kłóci się z Bożym Objawieniem, którego myślą przewodnią jest zrównanie dobrych i złych pod skrzydłami nieskończonej miłości Stwórcy. Jak czuliby się zbawieni w Niebie, patrząc na męczarnie potępieńców w piekle. A może ich nagroda polegać ma po części na satysfakcji z oglądania w „niebiańskim coloseum” cierpień skazanych przez boskiego Cezara. Tymczasem On jest dobry dla „niewdzięcznych i złych”, a więc Jego odpłata również będzie równa. Najlepiej obrazuje to „Przypowieść o robotnikach pracujących w winnicy”. Jezus na koniec stawia w niej pytania skierowane do wszystkich zadufanych w swoją świętość i wybranie, a także do tych, którzy pracując w Jego Kościele spodziewają się tylko z tego tytułu jakichś szczególnych względów:

„...Czy mi nie wolno uczynić ze swoim, co chcę? Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?...”

Nowy Testament, choć też pisany tylko przez ludzi będących zawsze pod określonymi wpływami i żyjących w określonej, narosłej na przestrzeni wieków świadomości, zmierza do jednej konkluzji: «BÓG JEST MIŁOŚCIĄ ».

Kościół pierwszych wieków kultywował tę prawdę i było to powodem wielkiej radości jego członków. Pierwsi Chrześcijanie wypełniali wolę Bożą nie z bojaźni przed karą piekła i potępienia, lecz z wdzięcznością i miłością. Chrześcijaństwo rozkwitło jako religia „nadziei, która zawieść nie może”. Paganie z niedowierzaniem i zazdrością patrzyli na szczęśliwych biedaków, roześmiane kaleki; skazańców idących na śmierć męczeńską, z modlitwą wdzięczności na ustach. „...Skoro Bóg jest z nami, cóż może uczynić nam człowiek!?!...” - było ich zawołaniem. Ci przepełnieni Duchem Świętym uczniowie Chrystusa mieli po prostu świeżo w pamięci Jego słowa - „Nie lękajcie się, Jam zwyciężył świat”, a także pełne otuchy pouczenia apostołów.

Na przestrzeni wieków szatan zmaćcił obraz Boga w sercach samozwańcych papieży oraz w świadomości innych hierarchów Kościoła. Bóg stał się straszakiem, a samo straszenie Bogiem skutecznie podnosiło rangę tych, którzy straszyli najbardziej, nabijając przy okazji ich kiesy pieniędzmi zastraszonych. Ileż to razy w historii, papieże uciekali się do podstępnych intryg - szantażując królów i cesarzy gniewem

Bożym, ekskomuniką, potępieniem lub wręcz odebraniem władzy w zamian za ustępstwo, posłuszeństwo czy okup?! Do dzisiaj bezkarnie szantażuje się i straszy ogniem piekielnym setki milionów wierzących na całym świecie. Papieżu, kardynałowie, biskupi, teolodzy, bibliści, kapłani - zapominacie o jednym: motywem wiary ma być MIŁOŚĆ, nie strach!!!

Jak mamy jednak traktować konkretne opisy piekła, takie jak np. „Historia o bogaczu i Łazarzu” albo wizję Sądu Ostatecznego nad całą ludzkością i związany z nim podział na „owce i kozły”?

Te wszystkie fragmenty Ewangelii potwierdzają niezbitcie nasze wnioski oraz konkluzję, mówiącą o braku jakichkolwiek kar ze strony Boga. Poetyckość obrazu piekła i Nieba w przypowieści o nagrodzie dla Łazarza i karze, jaka spotkała nielitościwego bogacza - jest oczywista. Ani otchłań piekielna, ani też „Iono Abrachama” nie mogą być dwiema dolinami przedzielonymi fosą nie do przebycia. Nie są to fizyczne miejsca. Łazarz nie mógł mieć po śmierci palca, żeby go umoczyć w wodzie, a bogacz języka - gorącego od piekielnych płomieni. Natchniony autor pragnął jednakże oddać głęboką myśl i przesłanie

- wielki duchowy żal człowieka niegodziwego, który dopiero po śmierci uświadamia sobie skutki swoich grzechów. Wstydzi się i ma wyrzuty sumienia, które „palą” jego duszę, kiedy mimo wszystko Bóg daje mu obiecaną nagrodę, wysłużoną krwią Chrystusa. Przypomina to znowu „Przypowieść o robotnikach pracujących w winnicy”. Ci, którzy nie zasłużyli na zapłatę - otrzymują ją na równi ze wszystkimi - wbrew ludzkiej logice i elementarnemu pojęciu sprawiedliwości.

Jezus rozdzielający ludzkość na sprawiedliwe owce i złe kozły, chce także podkreślić wagę najważniejszego Przykazania Miłości. Nie można kochać Boga, którego się nie widzi, ignorując ludzi wśród których się żyje. Wyjątkowo podli, nielitościwi ludzie nie zaznają po śmierci ukojenia - trawić ich będą prawdziwe duchowe katusze na wspomnienie zła, które wyrządzili swoim bliźnim.

Święty Augustyn natchniony Duchem Bożym wypowiedział kiedyś sentencję, która śmiało może stać się motto życiowym oraz zawołaniem każdego bez wyjątku człowieka - „Kochaj i czyń co chcesz!” Tak w ogromnym skrócie powinno wyglądać nasze życie. Kierując się w życiu miłością i przebaczeniem, stajemy się podobni do Boga. W ten właśnie sposób najpełniej wypełniamy Jego wolę i zarazem pierwotny zamysł, który towarzyszył Wszechmogącemu, kiedy nas stwarzał. Nie ma innego sensownego wytłumaczenia dla samego faktu stworzenia człowieka, jak tylko miłość

Stwórcy. Według słów Jezusa, również wszystkie Przykazania Boskie streszczają się i sprowadzają do tego jednego - Przykazania Miłości Boga i bliźniego. Miłość jest kluczem do zrozumienia świata, sensu istnienia i przemijania; jest także odpowiedzią na wszystkie pytania człowieka. Z miłości powstaliśmy, w miłości mamy żyć, z miłości będziemy rozliczani i miłość w końcu okaże się naszym wybawieniem.

Powyższą, złotą myśl Augustyna trzeba rozpatrywać w szerokim kontekście. Na pewno i po pierwsze „kochaj” - kieruj się w życiu miłością. Jednakże, tak jak prawa do wolności każdego z nas nie można utożsamiać z prawem do samowoli, tak też nasze „kochanie” nie może pozostawać w konflikcie z „kochaniem” innych ludzi. Mówiąc o kochaniu myślimy przecież nie o miłości własnej, bo tej chyba każdy z nas ma w sobie aż nadto, ale o obdarzaniu miłością wszystkich innych - naszych bliźnich. Jeśli zaś bliźnich, to nie tylko członków najbliższej rodziny - żonę, męża, rodziców, dzieci.

Wielu ludzi tłumaczy sobie (a nawet księżom na spowiedziach) swoje świństwa wyrządzone „obcym” - miłością i troską o swoich najbliższych. Jest to - ich zdaniem - doskonałe usprawiedliwienie, szczególnie kradzieży i wszelkich oszustw. Jezus pyta się takich ludzi: „Jeśli bowiem kochacie tylko tych, którzy was kochają - cóż za nagrodę mieć będziecie? Czyż i celnicy tego nie czynią?”. Nasza miłość nie może naruszać praw innych ludzi, lecz odwrotnie - musi im te prawa zapewniać. Szczytem, ideałem takiej postawy jest miłość nieprzyjaciół. Augustyna - „...i czyń co chcesz” - jest samo w sobie wynikiem, konkluzją kochania. Innymi słowy Święty, nie bez racji, zakłada, iż człowiek który naprawdę kocha nie może być zły. Nie wolno tego mylić z platońską filozofią poznania dobra i zła, które to poznanie determinuje ściśle określone zachowania. „Czyń co chcesz” - bo twoja szczerą miłość cię usprawiedliwia i daje ci gwarancję zbawienia! W podtekście tej sentencji, która mówi o miłości człowieka, ukryta jest miłość i przebaczenie Boga. Jest tu również miejsce na ludzkie słabości, błędy, a także na sam... brak miłości. Nasz Stwórca wie przecież najlepiej, że każdy z nas jest w równym stopniu zdolny do nienawiści. Tu z kolei otwiera się pole do działania dla Jego Miłości. Wyraża się ona najpełniej w przebaczeniu bez granic, pełnym zrozumieniu oraz poszanowaniu wolności człowieka. Bóg nie potępia, nie nakazuje, nie ingeruje. Powiedział już co jest dobre, a co złe - dał nam swoje Przykazania. Zawsze ograniczał się tylko do napominania, dawania wskazówek. Czekal i ciągle czeka z nadzieją na nawrócenie każdego, kto źle wykorzystuje Jego wielkoduszny dar - wolną wolę. Jest Ustawodawcą, a nie

wykonawcą wyroków; życzliwym, troskliwym Obserwatorem, a nie policjantem. Jest naszym Ojcem! Czy ktoś słyszał kiedyś o ojcu, który swoje własne dzieci skazuje na śmierć, potępienie i wieczne męki!? Czyż On mógłby choć biernie przyglądać się, jak po trudach i cierpieniach ziemskiego życia, Jego córki i synowie cierpią w otchłani piekielnego ognia!?

On nie, ale kościelni ustawodawcy nie wahają się „wrzucać” tam niemal wszystkich, nie wyłączając małych dzieci. Niemal wszystkich

- prócz siebie! Sami nazywają się „wybrańcami”, „pomazańcami Bożymi”. Mówią o sobie: „następcy apostołów”, „zgromadzenie święte”, „królewskie kapłaństwo”. Swoje faryzejskie, obłudne, instrumentalne i interesowne podejście do Słowa Bożego, Bożych Przykazań i powierzonej sobie Bożej Owczarni - określają mianem: „obrony depozytu wiary”. Wszelkie ewidentne błędy i wypaczenia - jeśli już (wyjątkowo!) się do nich przyznają - zwykli kwitować „Ecclesiae suplet” - „Kościół ponad wszystko”, „potęga Kościoła to przewyższa”. Takie samo podejście charakteryzuje tych „nieomylnych stróżów moralności” wobec wszelkiego rodzaju krytyki ich doktryny. Niewybaczalne jest poddawanie w najmniejszą wątpliwość choćby jednego ustalonego dogmatu; można go co najwyżej samemu trochę „nagiąć” dla własnych potrzeb i korzyści. „Święte gremium” nie zniży się przecież nawet do polemiki z jakimkolwiek odstępca, który w „normalnych” warunkach tzn. w Średniowieczu - okresie świetności Kościoła, najbardziej odpowiadającym jego ideologii - powinien podtrzymać płomień jakiegoś stosiku. Ludzie, na litość Boską! Czy w XXI wieku można tolerować jeszcze takie anachronizmy i zacofanie pod demagogicznymi szyldami „Bożego wybraństwa” oraz „niezmienności natchnionej nauki”. Bez wątpienia o wiele łatwiej jest w ten sposób trzymać w ciemnocie całe narody, a swoje własne struktury w ryzach i pozorach jednomyślnej, niepodzielnej całości. To nie ma nic wspólnego ani z konserwatyzmem, ani też z kultywowaniem „czcigodnej” tradycji. Jeśli natomiast komuś wydaje się, że dyktatury, monarchie, imperializmu, szowinizmu oraz ideologie oparte na propagandzie sukcesu i strachu mamy już dawno za sobą - grubo się pomylił: Kościół Katolicki jest wieczny!

ROZDZIAŁ VIII

NIEBO DLA DUCHOWNYCH

Podczas mojej pracy duszpasterskiej, różni ludzie pytali mnie dość często o Niebo - jak ono wygląda? gdzie się znajduje? itp. Większość wierzących trapi

niepewność - czy Niebo jest dla nich osiągalne, realne? W podtekstach tych pytań kryło się jedno pytanie zasadnicze: Czy w ogóle warto starać się tam dostać?

Takie wątpliwości rodzą się na gruncie demagogii sianej przez Kościół Katolicki. Któż może lepiej wiedzieć jak wygląda Niebo, jeśli nie pralaci i kardynałowie „świętych”, „nieomylnych” kongregacji? Zamieszkują super komfortowe rezydencje w najpiękniejszych i najbogatszych dzielnicach Rzymu. Większość z nich ma prywatne pałace i apartamenty rozsiane po całym świecie. Na co dzień korzystają z elitarnych klubów z basenami, saunami, kortami, salonami masażu i wszelkim innym dobrodziejstwem, wymyślonym przez kolejne cywilizacje. Wielu (na jednego mam świadka), będących jeszcze w sile wieku, odwiedza pokątne przybytki rozpusty, których nigdy nie brakowało w Świętym Mieście. Żyją po prostu jak pączki w maśle i nic dziwnego, bo stać ich na to, jak mało kogo. Spływają do nich rzeki, wodospady pieniędzy z całego Chrześcijańskiego Świata. Tajemnicą poliszynela są kolejne afery finansowe w instytucjach i bankach watykańskich, tuszowane skrzętnie wewnątrz „własnego gniazda”. Tysiące wysokich rangą duchownych, zatrudnionych w kilkunastu kongregacjach tj. urzędach Kurii Rzymskiej, ma niebывałe możliwości do robienia machlojek i przekrętów. Wiadomo, że Jak obrodzi - ma gospodarz i złodziej”, a w Watykanie jest zawsze urodzaj na wartościowe papierki. Jakby tego wszystkiego było mało - kurialiści w Rzymie mają często własne parafie, zakony lub całe diecezje i kolegów „po fachu” na całym świecie. W kuriach biskupich Łodzi i Włocławka, z którymi byłem związany, nie było tygodnia bez paru kilkudniowych odwiedzin przewielebnych, czcigodnych gości ze wszystkich stron Kuli Ziemskiej. Nasi biskupi również spędzają co najmniej kilka miesięcy w roku „na wojażach”. Gdzie w końcu mają się rozerwać - na dancingu, 500 metrów od własnego pałacu? Co w końcu mają do roboty - przerzucić i podpisać parę papierków? Jednym z ich najcięższych obowiązków jest dość częsta obecność na wszelkiego rodzaju imprezach kościelnych - beatyfikacjach, poświęceniach, posiedzeniach, wizytacjach, odpustach, inauguracjach i pogrzebach kolegów. To wszystko jednak, nie wyłączając ostatniego, łączy się zawsze z wielką wyżywką i dobrą zabawą po części oficjalnej.

Współcześni apostołowie Chrystusa, Który nie miał nawet własnego osiołka, jeżdżą wozami za parę miliardów (st. zł), robionymi przeważnie na zamówienie. Znam tylko jednego biskupa w Polsce, objeżdżającego diecezję Polonezem. Na dalsze trasy - z przyczyn oczywistych - „dosiada” jednak Mercedesa. Naturalnie każdy z

hierarchów ma jednego lub dwóch szoferów, służące, lokajów, a nawet (idąc z postępem) własnych ochroniarzy.

Powróćmy teraz do kościelnej wizji Nieba, wydumanej przez wyżej wymienionych. Oni mają niebo na ziemi; chcieliby więc jakoś przedłużyć tę sielankę. To chyba jedyna cała grupa społeczna (może z wyjątkiem szejków arabskich), która przeniosłaby chętnie swoją ziemską „wegetację” wprost do „krainy wiecznych łowów”. Niebiańską szczęśliwość „na łonie Abrachama” hierarchowie Kościoła widzą i określają jako: wieczną ucztę, niekończące się nabożeństwa z hymnami pochwalnymi na cześć Pana, odpoczynek na „zielonych” pastwiskach, zasiadanie po prawicy Boga w towarzystwie innych zbawionych tj. kolegów. Takie sformułowania widnieją w niepodważalnych dogmatach oraz oficjalnych dokumentach dotyczących tzw. eschatologicznej wizji człowieka (czyli jego ostatecznych losów). Współpracują oni ściśle z biblistami, którzy jak zwykle skwapliwie wykorzystali autentyczne fragmenty z Biblii do skonstruowania kolejnego kawałka doktryny Kościoła, pod którym chciałby podpisać się papież.

Jak naprawdę wygląda rzeczywistość Nieba - naszej Ojczyzny i ostatecznego celu, po ziemskiej podróży zwanej życiem? Aby dać pełną odpowiedź na to pytanie trzeba wpieryw jeszcze raz uświadomić sobie, co właściwie jest warte te 70, 80 szarych, znojących lat (nie wspominając już o przypadkach trwałych kalectw oraz tragicznych i przedwczesnych zgonach ludzi o wiele młodszych) spędzonych przez nas na Planecie Ziemia. Każdy człowiek, będący choćby średnio wnikliwym obserwatorem, może stwierdzić, że przysłowiowy „funt kłaków” to najwłaściwsza cena za ludzkie życie. Patrząc ciągle z handlowego tj. trzeźwego punktu widzenia - któż rozsądny dałby więcej za coś, co w każdej chwili można bezpowrotnie stracić!? Nie trzeba zresztą bacznie obserwować i filozofować, wystarczy choćby trochę wspomnień z własnych przeżyć.

Jako szary śmiertelnik, a także były kapłan z doświadczeniem spowiednika, mogę nazwać życie: pasmem stresów, z chwilami względnego spokoju; walką o przetrwanie, przeplatana krótkimi zawieszeniami broni; nieustanną pogonią za szczęściem, przypominającą ściganie własnego cienia itp. W każdym razie na samym końcu tej walki i bieganiny, ostatnim „rzutem na taśmę” kopiejący wszyscy w kalendarz. Są dwie jedynie pewne rzeczy w całym tym wyścigu - start i meta.

Tak naprawdę Niebo jest przeciwnością życia, które na upartej można nazwać piekłem. Niepewność - ustępuje miejsca gwarancji bezpieczeństwa; ulotność -

zamienia się w niezmienność, strach - w ukojenie; ciągłe uciążliwości i cierpienia - łagodzi wieczna ulga, pociecha i osłoda.

O samym momencie śmierci musimy myśleć tylko i wyłącznie jak o wejściu do Nieba, bo taka jest prawda!!! Śmierć jest nagrodą po trudach życia, a nie „karą za grzech pierworodny”!!! To propaganda strachu i wiecznego obwiniania człowieka, rozsiewana przez Kościół, uczyniła z dzieci Bożych zastraszone, do końca niepewne swego losu „zające” na wielkim polowaniu. Trójca Przenajświętsza, wraz z orszakiem aniołów na koniach, dziesiątkuje z dubeltówek ludzkie plemię. Po zabiciu upolowaną „zwierzynę” piecze się na piekielnym ogniu w sposób tradycyjny tj. dokładnie i bardzo długo („wiecznie”), odcinając się w ten sposób zdecydowanie - w poszanowaniu tradycji - od zupełnie nieprzydatnych w tym przypadku mikrofalówek.

Niebo jest rzeczywistością duchową. Bardzo trudno zatem w ludzkich słowach, przystosowanych do opisywania rzeczywistości materialnej, oddać charakter samego szczęścia, które nas tam czeka. Bez wątplenia nagroda Nieba będzie polegała na zrealizowaniu w sposób doskonały naszych wszelkich niespełnionych pragnień ziemskich. Nie znaczy to oczywiście „zaliczenia” wysnionej dziewczyny albo kupna samochodu marzeń! Wieczny odpoczynek na „łonie Abrachama” nie będzie wiecznym zbijaniem bąków w jakiejś nadmorskiej posiadłości albo byczeniem się na hamaku w cieniu drzew.

Kiedy byłem w liceum, pewnego razu wspólnie z kolegami gasiliśmy po lekcjach pragnienie w przydrożnym barze. Gorąc był niesamowity, a zimne, kufłowe piwo smakowało jak napój bogów. Jeden z chłopaków powiedział wtedy z rozbrajającą powagą:

„...Panowie, jak w Niebie nie ma dobrego browaru to ja się nie piszę...!”

Drugi szybko go uzupełnił: „...stary, zapominasz o laskach! Dla mnie Niebo to beczka piwa, harem lasek i wór kasy, żeby uzupełniać towar...”

Dziwić się chłopakom, iż tak właśnie wyobrażali sobie wieczną nagrodę, skoro świeżo w pamięci mieli nauki księdza katechety o Niebie, jako „niekończącej się liturgii”. Broniąc się przed takimi wizjami, większość ludzi utożsamia szczęście wieczne z doczesnym odczuwaniem różnych przyjemności. Jest to z drugiej strony bardzo ludzkie i naturalne - człowiek ma zawężony horyzont, widzi i odczuwa to, czym żyje na co dzień. Ciągłe do czegoś dąży, czegoś pragnie! Są to przeważnie pragnienia materialne. Niby dobrze wiemy, że sława, władza czy bogactwo nie dają szczęścia. Świadczą o tym chociażby samobójstwa bogatych, sławnych i wielkich

tego świata. Mimo wszystko jednak wydają się nam one przeważnie głupie i niezrozumiałe. Wszyscy wiedzą, że pieniądze szczęścia nie dają, ale każdy chce się o tym przekonać na własnej skórze. Bardzo niewielu ludzi żyjąc na ziemi kieruje się wartościami duchowymi tak, jakby już byli w Niebie. To ideał niezwykle trudny do zrealizowania; ogromny wysiłek, na który po prostu nie stać większości śmiertelników. Generalnie Niebo jawi się nam jako osiągnięcie wszystkiego - uwieńczenie najskrytszych planów i zasłużony, wieczny odpoczynek. Tak też jest w rzeczywistości, ale w jakże innej perspektywie! Na zupełnie innej płaszczyźnie!

Wszystkie pragnienia i pełnię szczęścia osiągniemy w sposób doskonały tj. duchowy. To co materialne jest z samej swojej natury przejściowe i niedoskonałe. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że człowiek na ziemi nigdy nie jest do końca szczęśliwy i usatysfakcjonowany tym co posiada, jak również tym co odczuwa. Niezmiennym odczuciem każdego z nas jest niedosyt. Rzeczywistość duchowa zapewni nam nareszcie doskonałe, bezgraniczne spełnienie. Cieleśny popęd i naturalna potrzeba bliskości ukochanej osoby ustąpi miejsca miłości absolutnej, uniwersalnej, idealnej. Żądza posiadania zostanie zaspokojona posiadaniem bez granic ...dóbr duchowych – jedynie trwałych i naprawdę wartościowych. Dusza ludzka, uwolniona z cielesnej powłoki, wykorzysta wreszcie swoje wszystkie właściwości. Nie będzie już ograniczona czasem ani przestrzenią. Nie będzie także podlegała cierpieniom, troskom, namiętnościom i pragnieniom, które dyktowało jej ciało. Wszelkie ułomności oraz niedogodności związane z ziemską wegetacją przestaną istnieć.

Człowiek z chwilą śmierci przestaje być tylko najbardziej rozwiniętym spośród naczelnych. Staje się „duszą żyjącą” podobną do Ducha Bożego. To podobieństwo wyrażać się będzie w tych samych przymiotach, właściwych dla bytu duchowego, a nie w samej Wszchemocy, którą posiada tylko Sam Bóg.

Istotą szczęścia w Niebie jest więc zaspokojenie wszelkich potrzeb, polegające w zasadzie na ich... braku. Wyraził to jednoznacznie sam Jezus mówiąc o „wodzie”, która zaspokoi wszelkie „pragnienia i łaknienia” przechodzących ze śmierci do życia. Drugie, największe źródło szczęścia to powrót do domu Ojca i samo z Nim przebywanie. Znękana dusza po ziemskiej pielgrzymce, podczas której doznała wielu zmartwień i upokorzeń - nie znalazłszy dla siebie „właściwego miejsca” i nie zaznawszy szczęścia - zanurza się w bezgranicznej Ojcowskiej miłości.

Nie muszę chyba dodawać, że Niebo nie jest żadnym miejscem i nie należy

szukać go wysoko „w niebie”. Jest to błogostan, w którym znajduje się dusza zaraz po śmierci; nie związany ani z czasem, ani z przestrzenią. Rozpatrywać go można - mówić i myśleć o nim - wyłącznie w perspektywie nadprzyrodzonej, na płaszczyźnie duchowej.

Chciałbym tu zdecydowanie wystąpić przeciwko jednemu z fragmentów doktryny, wspólnemu m.in. dla Adwentystów Dnia Siódmego i Świadków Jehowy. Chodzi o głoszoną przez nich naukę o „tchnieniu życia”, będącym dla nas Katolików - odpowiednikiem duszy. Według naszych braci innowierców, dla których mam ogromny szacunek za ich umiłowanie Biblii, nie ma w ogóle czegoś takiego jak „dusza”, a człowiek z chwilą śmierci przestaje faktycznie istnieć. Dopiero ci nieliczni, którzy sobie na to zasłużyli, zmartwychwstaną do życia wiecznego. Reszta jest na zawsze unicestwiona.

Nie rozwodząc się zbytnio powiem, że takie poglądy są sprzeczne z Bożą miłością i Bożym Objawieniem tak samo, jak katolickie dogmaty o wiecznych mękach dla grzeszników. Drodzy Bracia! Pan Bóg nie po to Stworzył, Nauczał; a potem Cierpiał, Umarł i Zmartwychwstał za setki miliardów ludzi, aby pozostawić przy życiu setki tysięcy. Nie mógłby - będąc naszym Najlepszym Ojcem Samą „Miłością” - zakpić sobie z nadziei całych pokoleń na przetrwanie i wspólne z Nim życie. Gdzie tu miejsce na Boże przebaczenie!

Nie ma więc piekła! Pismo Święte nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. W Bożym planie odkupienia i zbawienia człowieka nie ma miejsca ani na zemstę, ani nawet na wymierzenie sprawiedliwości synom marnotrawnym. Sam Jezus wielokrotnie to powtarzał:

„...Zaprawdę, powiadam wam: wszystkie grzechy i bluźnierstwa, których by ludzie się dopuścili, będą im odpuszczone”.

Jest zatem tylko Niebo dla każdego, z tą jednakże różnicą, iż dusze zatwardziały, nieprzejeđnanych grzeszników, a zwłaszcza obłudników - najostrzej piętnowanych przez Jezusa - jak również tych, którzy mając pokaźny bagaż własnych win, nie potrafili zdobyć się na akt przebaczenia wobec innych - dusze te będą odczuwały wstyd i wyrzuty sumienia. Obmyje je niewyczerpana Łaska przebaczenia Zbawiciela, ale właśnie ten wspaniałomyślny akt Bożej Miłości, a nade wszystko ciężkie grzechy popełnione za życia, rozpalą w nich „niegasnący” płomień żalu. Zakłóci to wieczną radość i szczęście zbawionych, jednak nie będzie to związane z żadną karą, ingerencją ani też wyrokiem ze strony Boga. Da o sobie znać po prostu

jedna z niezbyt miłych konsekwencji wolnej woli i samostanowienia człowieka.

Jeden z tzw. ojców Kościoła porównał kiedyś, bardzo trafnie, dusze przebywające w Niebie do różnej wielkości naczyń. Każde naczynie napełnione jest po brzegi wodą tak, jak każdą zbawioną ludzką duszę przepelnia bezmiar szczęścia. Istotną, zasadniczą różnicę stanowi rozmiar, pojemność naczynia - duszy. Chodzi tu o pewnego rodzaju zdolność odczuwania szczęścia, duchową głębię, wielko - lub małoduszność. Bóg daje nam wszystkim po równo, ale indywidualne posiadanie jest uzależnione od tego, jaką tak naprawdę przedstawiamy wartość my sami; wartość, którą możemy kształtować i pomnażać w czasie ziemskiego życia. Wielu z nas, musimy to szczerze przyznać, po prostu nie stać na pewne szlachetne zachowania; nie potrafimy wspiąć się na wyżyny człowieczeństwa, choć robimy wszystko, co w naszej mocy. Szukając analogii, np. w życiu małżeńskim, można posłużyć się następującym porównaniem: niektóre pary mogą nie kłócić się ze sobą przez dzień lub dwa, a inne wytrzymują ponad tydzień. Nie ulega przy tym wątpliwości, że dla dobra związku oraz dobra własnego - wszyscy starają się jak mogą, aby żyć w zgodzie.

ROZDZIAŁ IX

CZYŚCIEC DLA NAIWNYCH

Długo można by wymieniać przejawy i konkretne dowody próżności oraz samowoli Kościoła, ale chyba największym jest „ustanowienie” czyścica. Doszło do tego w 1438 roku. Był to klasyczny przypadek manipulacji Bożym Objawieniem; więcej - stworzono coś z niczego!

Matka Kościół naucza, że w chwili śmierci dusze, które mają na koncie choćby jeden grzech ciężki - natychmiast idą do piekła na wieczne męki. Ktoś miał na przykład pecha: jechał na spowiedź ze śmiertelnym przewinieniem i miał po drodze śmiertelny wypadek - koniec...kropka, zabrakło parę minut, a tak - na rozpałkę! Nie ważna jest szczerza intencja poprawy i żal za grzechy, bo nie zaistniał jeden z warunków pokuty - wyznanie grzechu przed kapłanem.

O pewnym szczęściu mogą natomiast mówić denaci z grzechami lekkimi, ci idą do czyścica - po „oczyszczającą pokutę” przed wstąpieniem do Nieba.

Papież uznał, że nie wypada wszystkich jak leci wtrącać do piekła. Nagroda Nieba była zarezerwowana dla duchownych, tych którzy kupili sobie odpusty zupełne oraz nielicznych świętych, wyznaczonych przez papieża. Dużą część całej reszty postanowiono „upchnąć” gdzie indziej.

Męki czyścicowe są, według doktryny katolickiej, nie mniejsze od piekielnych i polegają na „karach zmysłowych” m.in. „rzeczywistym ogniu” oraz opóźnieniu w oglądaniu Boga. Ich dobrą stroną jest natomiast ograniczenie w czasie. Najwięcej szczęścia będą mieli ci, którzy odwiedzą czyścic tuż przed końcem świata, gdyż Kościół naucza, że ta „pralnia z wybielaczami” dla duszyczek będzie funkcjonowała tylko do dnia Sądu. Pokutujące dusze, wspierane dodatkowo modlitwami żyjących - najczęściej bliskich - mogą poza tym obejmować okresowe amnestie, związane ze wstąpieniem do Nieba.

Pismo Święte, które (podaję do wiadomości hierarchów Kościoła Katolickiego) zawiera Boże Objawienie - ani jednym słowem, aluzją czy też podtekstem, nie sugeruje istnienia czegoś podobnego do czyścica. Nie można doszukać się go nawet pomiędzy wierszami, ani w Starym, ani w Nowym Testamencie. Ten ostatni za to wielokrotnie podkreśla, iż tylko dla Boga i Jego Syna zarezerwowane jest oczyszczenie ludzi z ich grzechów, a jakiegokolwiek samooczyszczenie, pokuta czy też zasługi po śmierci są niemożliwe. Katolicka doktryna po raz kolejny uwłacza więc najdoskonalszej Ofierze Chrystusa na krzyżu, pomniejszając jej wartość. Tylko „krew Jezusa Chrystusa, Syna Jego oczyszcza nas z wszelkiego grzechu”. W Biblii nie ma też żadnej wzmianki o ogniu karzącym albo oczyszczającym dusze (jak to ma być podobno w czyścicu).

Nauka o czyścicu wywodzi się, jak większa część doktryny katolickiej, z wierzeń pogańskich odziedziczonych po starożytnym Egipcie, Grecji oraz Rzymie, który asymilował wpływy tych pierwszych. Egipcjanie dla przykładu wierzyli w „oczyszczającą wędrówkę dusz” wchodzących w tym celu w różne zwierzęta. Ten pogląd, znany nam dziś doskonale z Hinduizmu, był głęboko zakorzeniony w wielu innych religiach Wschodu.

Najlepszym sposobem skrócenia cierpień czyścicowych, było do niedawna nabycie odpustu od kilku do nawet kilkuset lat „oczyszczania”, a dzisiaj - kupno Mszy w podobnej intencji. Ceny odpustów w kuriach i u miejscowych plebanów oczywiście wzrastały proporcjonalnie do długości okresu darowanej kary. Na szczęście ofiary za Msze są w miarę stałe. Nie można odmówić mądrości ówczesnemu papieżowi - za jednym zamachem upiekł dwie pieczenie dla Kościoła - dał „szansę zbawienia” całym rzeszom wiernych i zyskał dozgonną wdzięczność duchowieństwa, nabijając mu (i sobie) kiesy pieniędzmi za odpusty. Rzeczywiście, dochody kapłanów i papieżstwa wzrosły od tego czasu niepomniernie. Większość ludzi była już zde gustowana i

zniechęcona ciągłym straszaniem ich piekłem i torturami; tym skwapliwiej więc kupowali odpusty i Msze za zmarłych, dające im choć cień szansy na zbawienie.

Kościółowi w niczym nie przeszkadza fakt, że wyraźnie faworyzuje bogaczy zakupujących więcej Mszy. Oni przecież o wiele łatwiej osiągną zbawienie! Najbiedniejsi, których nie stać choćby na Msze rocznicowe (nie mówiąc już o „gregoriankach” czy „wypominkach”) nie wejdą do Królestwa Niebieskiego, bo nie „posmarowali” proboszczowi.

Wprost nie do wiary, jak daleko Kościół Katolicki odszedł od Ewangelii. Jawnie szydząc ze wskazań Jezusa, kupczy dla pieniędzy nawet ludzkim zbawieniem. Poniża i odbiera nadzieję tym, nad którymi z największą miłością pochylał się Jezus! Jakież to bolesne i smutne! W taki oto sposób czyściec stał się jednym z najbardziej aroganckich i perfidnych matactw Kościoła.

ROZDZIAŁ X

O!...BŁĘDNY KOŚCIÓŁ

Ktoś powie - skąd takie gromkie oskarżenia pod adresem czcigodnych, przewielebnych i świątobliwych autorytetów w sutannach? Co za nowe teorie, rewolucyjne idee!? Kto mnie upoważnił, dał mandat na prawdę? Kto pozwolił mi głosić tak postępowe nauki - skoro już wszystko zostało wcześniej ustalone i przypieczętowane papieskim herbem, zatwierdzone przez powszechny sobór. Jak w ogóle śmiem poddawać w wątpliwość „niepodważalne”, „nieomyślne” - dogmaty Kościoła Katolickiego!? Mam na to trzy odpowiedzi.

Po pierwsze - nie zagłębiając się zbytnio w istotę rzeczy wykazałem, że „uświęcone prawdy” ogłoszone przez Święte Magisterium Kościoła są nielogiczne, często zupełnie ze sobą sprzeczne i tak się mają do Prawdy Objawionej przez Boga, jak biblijne świnie do pereł. Kościelne dogmaty są w większości wynikiem kościelnych manipulacji na najwyższych szczeblach. Śledząc historię ich formułowania na przestrzeni wieków, widać aż nazbyt wyraźnie zbieżności samej treści ustaw z aktualnie panującymi trendami w polityce Watykanu. Boże Objawienie, niezmiennie teraz i na wieki, było i jest nadal dopasowywane do ludzkich intryg.

Takie przekręcanie Słowa Bożego obciążone jest sankcją wielkiego grzechu zgorszenia i wprowadzania w błąd całych pokoleń!!! Jezus nie wahał się ani na chwilę przebacząc cudzołożnikom, celnikom, łotrom, a nawet mordercom. Czynił to z radością i satysfakcją, ale dla obłudnych faryzeuszów, zwodzących Jego owce, którzy

uczynili z siebie świętych i nieomylnych, miał zawsze w zanadru „wiązanek” najgorszych epitetów i gróźb, w stylu:

„...Plemię źmijowe! Jakże wy możecie mówić dobrze, skoro źli jesteście..?”

„ ...Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy! Bo podobni jesteście do grobów pobielanych, które z zewnątrz wyglądają pięknie, lecz wewnątrz pełne są kości trupich i wszelkiego plugastwa. Tak i wy z zewnątrz wydajecie się ludziom sprawiedliwi, lecz wewnątrz pełni jesteście obłudy i nieprawości...”

„ ...Biada wam, uczonym w prawie, bo wzięliście klucze poznania; samiście nie weszli (do Nieba), a przeszkodziliście tym, którzy wejść chcieli...”

„ ...Strzeżcie się uczonych w Piśmie, którzy z upodobaniem chodzą w powłóczystych szatach, lubią pozdrowienia na rynku, pierwsze krzesła w synagogach i zaszczytne miejsca na ucztach. Objadają oni domy wdów i dla pozoru długo się modlą. Ci tym surowszy dostaną wyrok...”

Wystarczy być szarym, polskim Katolikiem, aby w powyższych charakterystykach kapłanów I - go wieku dostrzec zdumiewające podobieństwo do tych, którzy wchodzą w XXI. Różnica jest co najwyżej jedna - współcześni faryzeusze nie są zbyt „uczni w Piśmie”.

Największe gromy zarezerwował jednak Jezus dla tych, którzy odważyliby się choćby „o jotę” zmienić Jego naukę:

„ ...Innej jednak Ewangelii nie ma: są tylko jacyś ludzie, którzy sięją wśród was zamęt i którzy chcieliby przekreślić Ewangelię Chrystusową. Ale gdybyśmy nawet my lub anioł z nieba głosił wam Ewangelię różną od tej, którą otrzymaliście - niech będzie przeklęty!”

To są dopiero prawdziwe, śmiertelne grzechy. Niweczą one samo przyjście Chrystusa na świat, w celu przekazania nam Prawdy Objawionej. Ludzie czyniący z pełną świadomością takie odstępstwa na pewno nie zaznają spokoju na wieki, bo „ ...Komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie...”. Takie są konsekwencje tworzenia pseudo - nieomylnych „prawd”, przez pseudo - nieomylnych ludzi, dla własnych planów i korzyści - w myśl zasady: „cel uświęca środki”.

Moje przekonanie o prawdzie, którą przedstawiam, opieram wprost na Słowie Bożym. Jest jednak jeszcze coś, co przynajmniej dla mnie, w dużym stopniu podważa katolickie nauki o piekle i czyściecu.

Są to moje doświadczenia z ludźmi, którzy byli już „jedną nogą” na tamtym świecie. Wspominałem wcześniej o nieszczęśnikach z domu starców na ulicy

Lodowej w Łodzi oraz o innych cierpiących i stojących na progu śmierci, których odwiedzałem jako kapłan. Dwoje z nich, podczas reanimacji, przeżyło śmierć kliniczną i podzieliło się ze mną związanymi z tym faktem przeżyciami. To, co usłyszałem tak mną wstrząsnęło, iż zacząłem szukać kontaktu z podobnymi ludźmi. Pytałem, szukałem wytrwale i znalazłem następną osobę; zaś przypadek zesłał mi później jeszcze jedną. Przytoczę tutaj wersję wydarzeń wspólną dla relacji czworga ludzi, ponieważ są one niemal identyczne. Jedna z tych osób już nie żyje, ale trzy pozostałe potwierdziły ostatnio

- w rozmowie ze mną swoje historie, prosząc jednocześnie o zachowanie ich anonimowości. Jest ona konieczna również z innego względu - trzy spośród czterech opowieści chroni wcześniejsza tajemnica spowiedzi. A oto w przybliżeniu ich własne słowa:

„...Zrozumiałem nagle, że jestem tylko samą świadomością, myślą. Zobaczyłem, nie wiem jak to się stało - chyba „oczami” duszy, swoje ciało. Byłem poza nim! Ludzie wokół ciała zaczęli krzyczeć i ratować je. W tym samym momencie ujrzałem całe moje życie - wszystko naraz. Ta niesamowita wizja ukazywała najdrobniejsze epizody, ale szczególnie mocno podkreślone były przełomowe momenty moich wyborów pomiędzy dobrem, a złem. Widziałem dokładnie, jak podejmuję najważniejsze życiowe decyzje, co więcej - widziałem ich konsekwencje ponoszone przez innych ludzi! To było niewiarygodne, nie do opisania ludzkimi słowami! Przechodziłem przez kolejne etapy drogi, którą przebyłem na ziemi, a kiedy doszedłem do końca

- zobaczyłem, że jestem na końcu długiego tunelu, mającego chyba oznaczać moje minione życie. Spojrzałem wstecz, za siebie. Na początku korytarza dostrzegłem Światło. Wiedziałem, że muszę do Niego dotrzeć za wszelką cenę. Pragnąłem tego z całej duszy; to było jak niepowstrzymana żądza., zew całego mojego jestestwa. Przedemną był jednak tunel z moich niechlubnych przeżyć. Wielu z nich bardzo się wstydziłem. Naprawdę nie było się czym chwalić. Zło wyrządzone tak wielu ludziom bolało i napawało mnie wielkim żalem. Czułem na sobie ich uderzenia i każde, najmniejsze cierpienie z mojego powodu. Ale zew Światła wzywał. Zacząłem podążać w Jego kierunku. Im byłem bliżej, tym większej nabierałem otuchy. Tak, tam czekało na mnie wybawienie z wszelkich trosk i spalających mnie wyrzutów sumienia

- rozumiałem to coraz bardziej, w miarę zbliżania się do Niego Światło zaczęło mnie stopniowo ogarniać. Pomimo ogromnego blasku nie oślepiało.

Odczułem za to niewysłowioną ulgę, którą mogę tylko porównać z największą zmysłową rozkoszą! Pełne zrozumienie dla moich największych słabości, najcięższych grzechów, najbardziej plugawych brudów, które zostawiłem za sobą! Wszechogarniająca miłość, której sam stałem się częścią, oczyściła mnie i ukoiliła resztki strachu. Nie pragnąłem niczego innego, jak tylko pozostać wewnątrz niej - oddychać, chłonąć jej słodkie ciepło! Coś jednak zaczęło burzyć tę sielankę. Zbawienna poświata ulatywała, a raczej ja sam zacząłem się od niej oddalać. Tym razem na odwrót - im dalej odchodziłem, tym większą czułem tęsknotę i ból. Przecież tam było moje miejsce! Bronilem się z całych sił, ale Światło coraz bardziej zanikało. Później wszystko potoczyło się błyskawicznie - po prostu „odnalazłem się” we własnym ciele.

Zapewne każdy, kto czytał książki dr Moody - „Życie po śmierci” i „Życie po życiu” - dostrzegł w powyższym opisie bardzo wiele podobieństw. Daleko mi do doświadczenia i fachowości, z jaką sławny lekarz badał problem ludzkich doznań podczas śmierci klinicznej. Zdumiewająca zbieżność tych wszystkich relacji musi jednak o czymś świadczyć. Niemal identyczne są zarówno same opisy (często najdrobniejszych szczegółów), jak też odczucia i refleksje wyrażane przez ich autorów.

Wszyscy oni zgodnie oświadczyli, iż nie cieszył ich wcale fakt (medyczny) wyrwania się z „objęć kostuchy”. Są pełni tęsknoty za ciepłem i miłością płynącą ze Światła. Wszyscy też zmienili radykalnie swoje podejście do życia i śmierci. Mają świadomość każdej upływającej chwili istnienia i nieuchronnego odejścia na „drugą stronę”, co napawa ich wielką... otuchą i radością. Oni w ogóle nie boją się śmierci! Mają w tym znaczeniu zupełnie nieludzki odruch! Zauważmy, jak silne i głębokie musiało to być doświadczenie, skoro w jednej chwili i na trwałe przewartościowało całą mentalność człowieka. Obecnie ludzie ci starają się żyć możliwie bezkonfliktowo - w zgodzie ze wszystkimi. Nadają swojemu życiu dużo większej wartości, przede wszystkim poprzez pozytywne kontakty z innymi ludźmi. Są naprawdę szczęśliwi. To oczywiste - nie męczy ich już odwieczny, naturalny ludzki strach o przetrwanie; o największą z ludzkich namiętności - istnienie. O swoim „kopnięciu w kalendarz” myślą w kategoriach piłkarskiego „gola”. Nie wzrusza ich to po prostu i tyle.

Trzech na czterech, spośród moich rozmówców, rozpoznało w opisywanym przez siebie Świetle, Boga lub samego Jezusa, choć właściwie nic na to nie wskazywało. Miało to zapewne związek z ich osobistą wiarą, jeszcze zanim

przekroczyli magiczny próg. Trudno nie odnieść do tego - co „widzieli” - słów Zbawiciela:

„...Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia...” Jezus sam wielokrotnie mówił o sobie, iż jest „Światłem”, a swoją naukę przyrównywał do „dawania światła życia”.

Jedna z osób - niewierząca, wychowana bez jakiegokolwiek kontaktu z wiarą czy Pismem Świętym, nie wskazała wyraźnie na źródło Światła, ale poza tym jej relacja nie różniła się od innych.

Powszechne jest odczuwanie wyrozumiałości i przebaczenia, bez względu na popełnione winy. Dwoje spośród czwórki ludzi, z którymi rozmawiałem, „umarło” w grzechach ciężkich - bez spowiedzi i ostatniego namaszczenia, a mimo to nie doznali żadnej kary ani cienia wyrzutu ze strony Światła. Nie widzieli ognistych pieców, tortur; nie słyszeli „płaczu i zgrzytania zębami”. Wyjątek stanowiły ich własne odczucia wstydu i żalu za popełnione zło.

Słuchając opowieści tych ludzi nasuwa się nieodparcie porównanie do „Przypowieści o synu marnotrawnym”. Oczekujący z otwartymi ramionami ojciec nie pamięta żadnych wykroczeń, żadnego nieposłuszeństwa. Liczy się tylko radość z powrotu dziecka. Nie można tej przypowieści odnosić tylko do nawrócenia się człowieka za życia, co do którego długości nie mamy przecież wpływu. Jaki byłby los syna marnotrawnego, gdyby np. kilometr przed domem ukąsiła go śmiertelnie żmija? Czyż ojciec trzymając w ramionach martwe dziecko nie przebaczyłby mu tak samo, jak wówczas, gdy wrócił cały i zdrowy!?

ROZDZIAŁ XI

PIERWSZE PODSUMOWANIE

Wykazałem nielogiczność katolickich „prawd” dotyczących ostatecznych losów człowieka. Dla swoich teorii znalazłem silne oparcie w Biblii i doświadczeniach ludzi, którzy nie czytali i myśleli, ale byli i widzieli. Wszyscy oni zgodnie twierdzą, iż postrzeganie „oczyma duszy” jest o wiele bardziej ostre, wyraźne i pewne niż patrzenie oczyma ciała. Nie ma mowy o żadnej pomyłce, tym bardziej, że ich relacje potwierdzają tysiące ludzi na całym świecie, mający podobne przeżycia i doświadczenia. O tym, że ciało może opuścić duszę przekonałem się sam, na własnej skórze.

Nie poważyłbym się jednak na podważanie doktryny, za którą stoi powaga

Kościola Katolickiego, z całą jego potęgą i wielowiekową tradycją - gdybym sam, w głębi serca, nie czuł czegoś więcej. Tym czymś jest głębokie przekonanie, pewność mająca swoje źródło w natchnieniu ducha. To natchnienie towarzyszyło mi podczas pisania pierwszej książki i nie opuszcza mnie nadal. Świadomość głoszenia prawdy, która ma swoje źródło w Bogu, daje niezwykłą siłę i moc do przeciwstawienia się wszystkiemu i wszystkim, choćby całemu światu! Mówił o tym Jezus do swoich apostołów, zachęcając ich do takiej postawy. Jestem przekonany, że Duch Boży towarzyszy mi kiedy piszę te słowa, tak samo, jak towarzyszył autorom Ewangelii - Dobrej Nowiny Naszego Pana!!!

Przedstawiając powyżej swoje poglądy, które - jestem o tym przekonany - nie są tylko moimi, poddałem wielokrotnie krytyce oficjalną naukę Kościoła Katolickiego. Nie znaczy to wcale, iż uważam ją w całości za błędną i pomyłą. To, co jest ewidentnie nielogiczne nie zawahałem się wytknąć. Poruszyłem odwieczny problem sensu ludzkiego istnienia i ostatecznych losów człowieka, gdyż dotyczy to każdego z nas. Co do wielu innych dogmatów mam bardzo poważne wątpliwości. Poza tym uważam, że większą część Bożego Objawienia poznamy dokładnie dopiero „oczyma duszy” po śmierci, gdyż zostały zarezerwowane właśnie na ten czas. Wiele rzeczy zostało celowo zakryte przed „mądrymi i roztronymi” tj. tymi, którzy sami się za takich uważają (patrz: dostojnicy Kościoła), a objawiono je „prostaczkom” o czystym sercu, usposobionym do ich przyjęcia. Po co więc na siłę poprawiać Stwórcę albo tworzyć coś z niczego. Szczerze powątpiewam, aby wnikliwe dociekanie i roztrząsanie takich prawd wiary jak: wzajemne relacje pomiędzy Ojcem, Synem i Duchem Świętym; pokalane czy niepokalane poczęcie Maryi; jej wniebowzięcie z ciałem czy bez ciała; bóstwo Chrystusa i setki, tysiące innych - miało wpływ na nasze zbawienie, które i tak mamy zapewnione przez doskonałą Ofiarę z Syna Bożego. Tym bardziej niedorzeczne jest uzależnianie usprawiedliwienia oraz zbawienia człowieka od wiary w te prawdy.

O wielu ewidentnych błędach i wypaczeniach Kościoła wspominałem już wcześniej. Wiele z nich wydaje się być dla ogółu wiernych tak oczywistymi - ludzie tak się do nich przyzwyczaili - iż wcale ich nie dostrzegają. Przekazywanie z pokolenia na pokolenie średniowiecznych, anachronicznych praktyk „uśpiło” czujność nawet świątłych umysłów. Druga sprawa, że Katolicy są na ogół bardzo dumni ze swojego „Ojca Świętego”, wierzą swojemu Jedynemu i prawdziwemu Kościołowi” - nie wnikając w podstawy głoszonej przez niego nauki. Nie weryfikują

jej z Pismem Świętym - Słowem Bożym - które jest skierowane do każdego człowieka, nie tylko do biblistów, teologów i papieży. Hierarchowie katoliccy dobrze znają naturę człowieka i od wieków z powodzeniem na niej bazują. Wiedzą, że każdy woli zjeść gotową potrawę zamiast ją długo i żmudnie przyrządzać - wygodniej i pewniej zaufać uznanym autorytetom, niż swojej niewiedzy; łatwiej słuchać i przytakiwać, niż czytać i dociekać; wypowiadać się, niż szczerze nawrócić itp. Ludzie posiadają naturalną potrzebę zwierzchnictwa; wolą wierzyć w potęgę instytucji do której przecież sami należą; wynosić, ubóstwiać jednostki, polegać na ich wyjątkowości i nieomyślności. Dowodów w historii świata mamy na to aż nadto. Mordercy, jełopy, schizofrenicy pociągali za sobą całe narody; obłędne ideologie wypierały Boskie Przykazania i zdrowy rozsądek. Najtęższe umysły i osobowości szły za różnymi „zwozicielami”, jak ćmy w ogień. Na podobnej zasadzie miliony katolików idą za swoimi przywódcami. Ci zaś z jednej strony manipulując Słowem Bożym i strasząc ogniem piekielnym, z drugiej zaś łaskawie odpuszczając grzechy - trzymają się u steru Łodzi Piotrowej, choć Jezusa już dawno wyrzucili za burtę.

Sprytni następcy faryzeuszów przewrotnie wykorzystują również ułomność ludzkiego poznania. Każdy z nas woli wierzyć temu, co widzi i słyszy. Wszystko inne nie jest godne zaufania, jest niepewne i złudne. Stąd też w Kościele od wieków manipuluje się wiernymi, rozbudzając do maksimum ich ludzkie zmysły tak, aby sfabrykowana forma do reszty zakryła wypaczoną treść. Nadrzędnym celem jest ugruntowanie wiary w nadprzyrodzoną potęgę samej instytucji, papieża oraz w prawdę, „która jest zawsze z Kościołem Rzymsko - - Katolickim”. Temu celowi mają służyć: podniosła liturgia, złożone szaty kapłanów, wysokie mitry i „luchy” biskupie, muzyka organowa przyprawiająca o dreszcze zachwyty, wzruszające chóralne śpiewy, niezwykle bogaty wystrój świątyń itd.

Całe rzesze wiernych „łapią się” na efektowną otoczkę zewnętrzną i wyreżyserowane wrażenia audio - wizualne. Upatrują oni prawdziwość i nieomyślność Kościoła w jego tradycji, ogromie, powszechnym zasięgu, przepychu i bogactwie, wiekowych świątyniach itp. Znałem nawet osobiście kilku Katolików, którzy wprost mówili o zewnętrznej szacie Kościoła, a w szczególności pięknych świątyniach, jako źródle ich osobistej wiary.

Kapitałną metodą, szczególnie w przypadku takich krajów jak Polska (zabory, „komuna”) jest wykorzystywanie praktyk religijnych do rozbudzania uczuć patriotycznych, a nawet nacjonalistycznych. Nie myślę tu o faktycznych zasługach

Kościół dla ratowania polskości w okresach niewoli, choć równie dużo było przypadków kolaboracji duchownych oraz ich służalczości w kontaktach z zaborcami. Pragnę zwrócić uwagę na „magnesy”, jakich używają hierarchowie, aby uatrakcyjnić religię i przyciągnąć do świątyn ludzi, którzy przecież muszą za to wszystko zapłacić. Tymczasem religia Chrystusa jest tak cudowna i piękna, że nie potrzeba jej żadnych otoczek i upiększeń. Żywe Słowo Boga jest stokroć więcej warte niż szczerolote monstrancje wysadzone szafirami. Rady Ewangeliczne na czele z „Błogosławieństwami” Jezusa - są bardziej drogie od bogactw zgromadzonych w jasnogórskim czy watykańskim skarbcu.

ROZDZIAŁ XII

DOKTRYNA WYSSANA Z PAPIESKIEGO PALCA

Wróćmy jednak do konkretnych błędów i wypaczeń, które Kościół Katolicki uskutecznia wśród swoich wiernych, mydląc im oczy i uszy objawieniem według własnego pomysłu.

O Matce Jezusa jest w Piśmie Świętym zaledwie parę zdań, a Kościół dorobił do tego połowę całej swojej teologii. Na własne oczy widziałem obrazy „natchnionych” malarzy artystów, którzy przedstawiali Maryję... przybitą do krzyża - ukazując w ten sposób jej „współdziałanie w Ofierze Syna”. Czemu mają służyć takie „przegięcia”?! Dla wielu ludzi, np. dla większości protestantów, są one świętokradztwem! Ogromna większość „nieomylnych” dogmatów dotyczących Maryi jest niestety wyszana z palca. Próżno by szukać w Biblii choćby jednego słowa o jej niepokalanym poczęciu czy wniebowzięciu. Święty Jan, który został jej przybranym synem po śmierci Jezusa, ani słowem nie wspomina o dalszych losach Bolesnej Matki. Z pewnością opisałby jej „cudowne zaśnięcie” i zabranie do Nieba „z duszą i ciałem” - jak głosi Kościół - ale tego nie uczynił, choć z całą pewnością pisał swoją Ewangelię po jej śmierci.

Kościół Katolicki głosi, że: „Maryja jest lepszą pośredniczką od Syna Bożego”. Wyższa wartość jej wstawiennictwa ma polegać na jej ...człowieczeństwie. „Jako człowiek, kobieta i matka - Maryja lepiej zna i rozumie nasze ludzkie problemy; ma też - jako rodzicielka - największy wpływ na swojego Syna, a więc samego Boga” - motywują teolodzy - mariolodzy (Maryi jest poświęcona cała dziedzina naukowa - „Mariologia”). Oficjalnie jest także ogłoszona i czczona jako „współzbawicielka” i „współodkupicielka” rodzaju ludzkiego, ponieważ zrodziła

Zbawiciela i cierpiała pod krzyżem „na równi z Panem”. Z niezliczonych litanii, modlitw i antyfon, mających również kościelne imprimatur, pochodzą inne określenia Maryi: „Królowo Niebios”, „Pani Wszechświata”, „Arko Przymierza”, „Bramo Niebieska”, „Pani Naszych Losów”, „Przewodniczko Pewna do Nieba”, „Obrono Nasza na Sądzie” itd.

Kościół naucza nawet o „udziale Maryi w stwarzaniu Wszechświata”, co zakrawa wręcz na bluźnierstwo!

Wiem, że pół Polski - na czele z Radiem Maryja - przeklnie mnie i potępi; wyzwie od zdrajców i heretyków, ale w imię PRAWDY i to PRAWDY OBJAWIONEJ - wyrażam swój sprzeciw wobec wywyższania człowieka kosztem Stwórcy i Jedynego Zbawiciela. Powyższe tytuły i określenia Maryi są przynależne tylko i wyłącznie Jezusowi Chrystusowi i samemu Bogu Ojcu! Kult człowieka, bez względu na jego zasługi, jest wielokrotnie i bardzo ostro piętnowany przez autorów Pisma Świętego. Księga Izajasza - największego z proroków, który najwięcej przepowiedział o przyjściu Zbawiciela, głosi:

„Ja, Pan tylko istnieję i poza Mną nie ma żadnego zbawcy”. W Biblii nie ma ani jednego fragmentu uzasadniającego przeogromny kult Maryi, która w Katolicyzmie przesłania Jezusa, zamiast na Niego wskazywać. Została ona wybrana przez Boga, jak wielu innych ludzi w historii zbawienia. Bezprzecnie jej wybranie nie ma sobie równego - została Matką Syna Bożego. Jest nieprzemijającym wzorem pokory, głębokiej wiary i bezgranicznego oddania Bogu; ideałem chrześcijańskiej kobiety i matki; prawdziwą perłą w dziejach ludzkości - ale nie boginią! Nie powinno się ku jej czci i pod jej wezwaniem budować świątyń ani kaplic. Sam Syn parokrotnie ograniczał jej pozycję. Kiedy mówiono mu o matce wskazywał na uczniów i tych - „którzy pełnią wolę Ojca”; zrównując co najmniej ich zasługi z zasługami rodzicielki:

„Oto moja matka i moi bracia. Bo kto pełni wolę Ojca mojego, który jest w niebie, ten mi jest bratem, siostrą i matką”.

Gdyby Zbawiciel chciał, aby czczono jego matkę, na pewno powiedziałby na ten temat choćby jedno słowo, ale nigdy tego nie uczynił. W innym miejscu zaznaczył natomiast:

„Ja jestem drogą i prawdą i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze mnie”.

Gdzie tu miejsce na „lepsze pośrednictwo Maryi?” Dziewica z Nazaretu, poza tym iż była fizyczną matką Zbawiciela - Chrystusa, nie ma żadnego udziału w

Zbawieniu ludzkości, Odkupieniu świata od grzechów, zniszczeniu szatana, a tym bardziej w dziele Stworzenia. Te wszystkie tytuły i zasługi są dla niej samej największą obrazą, gdyż ona zawsze pozostawała w cieniu i wskazując na Jezusa mówiła: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie”.

Prawda jest taka, że kościelni apologety - chcąc przyciągnąć jak najwięcej ludzi do świątyń - po raz kolejny zagrali na ludzkiej psychice i uczuciach. Jakże łatwo jest wmówić ludziom, że Maryja ma najlepsze „chody” u Boga, jako Jego Matka i ...Żona. Ludzie mieli Ojca; dlaczego mają być półsierotami - dajmy im Matkę! Dalej już samo równouprawnienie domagało się, aby Matka była równa Ojcu. Dla religijności i pobożności ludowej nie ma nic lepszego, jak kult Królowej - Matki; nie ma to jednak nic wspólnego z Prawdą Objawioną. Oby Maryja wybaczyła mariologom!!!

Kościół Katolicki mieni się być „Stróżem Bożego Objawienia”, w tym przede wszystkim Bożych Przykazań. Kiepski to „stróż”, który okrada swojego pana. Tak, to prawda - papieże i sobory ukradły Drugie Przykazanie, spośród tych, które Pan Bóg przekazał Mojżeszowi na górze Synaj. Brzmi ono następująco:

„Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią! Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył, ponieważ Ja Pan, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym...”

W żadnym katolickim katechizmie, ani innym dokumencie, nie znajdziecie tego Przykazania, jednoznacznie zakazującego kultu i oddawania czci: obrazom, figurom, rzeźbom oraz wszelkim podobiznom Boga, nie mówiąc już o świętych - chociażby byli nimi rzeczywiście. Cześć oddawana komukolwiek i czemukolwiek poza Bogiem - który jest Duchem - jest zakazana! Chociaż natura ludzka domaga się jakiegoś wyobrażenia wizualnego o przedmiocie kultu, jednak należy wyraźnie odróżnić uwielbienie samego Boga od uwielbienia dla przedmiotu, który ma Go uosabiać. My obserwujemy raczej to drugie

- kult przedmiotów: koronacje, poświęcenia, procesje, całowanie domniemanych relikwii, peregrynacje obrazów itp. Zauważmy, że istota kultu sprowadza się do samego przedmiotu - do „dzieła rąk ludzkich”. Nie koronuje się np. „Matki Boskiej w obrazie jasnogórskim”, ale sam „obraz Matki Boskiej Jasnogórskiej”. Przedmiotem czci jest konkretna figura, płaskorzeźba czy nawet więcej - np. źródło „cudownej” wody, kora z drzewa „przy którym objawiła się

Maryja”, kamień na którym stała itp. To są już jawne przejawskrawienia i przegięcia, z ręcznie podsuwane wiernym laikom. Podsyca się w ten sposób ich uczucia religijne, działa na wyobraźnię, powoduje wzruszenie. Jednym słowem - uatrakcyjnia się sztucznie praktyki religijne, aby tym skuteczniej przyciągnąć ludzi do miejsc kultu, gdzie można już kupczyć do woli zbawieniem - zbierając „brzęczące żniwo”.

Jednak prawdziwej wiary nie można budować na takich podstawach. Jeszcze raz Kościół w swojej pysze wystąpił przeciwko Bogu. Nie zawahał się uderzyć w sam fundament naszej wiary - usuwając Drugie Przykazanie, a ostatnie rozbijając na dwie części, aby pozostało dziesięć. Wyraźny, jednoznaczny zakaz Boży nie ma żadnego znaczenia dla ludzi, którzy stawiają siebie ponad Najwyższym Prawodawcą. Sobory: Nicejski II (787 r.), Konstancjański (1419 r.) i Trydencki (1563 r.) - na przekór Panu Bogu - nazywają heretykami i wyklinają tych, którzy „podważają kult: świętych, obrazów, figur i relikwii”. Nie dziwię się wcale prostym ludziom i „niedzielnym katolikom”, ale każdy - kto choć pobieżnie studiował praktyki oraz wierzenia religii przedchrześcijańskich - wie doskonale, iż uprawianie kultu o podobnym charakterze stanowi o istocie pogaństwa.

Jednym z podstawowych pytań w każdej religii jest pytanie

- problem: Jak osiągnąć życie wieczne? Święta Matka Kościół od dawien dawna błędnie naucza, że zbawienie trzeba sobie wysłużyć, wypracować poprzez praktykowanie tzw. dobrych uczynków: „wynagradzających” i „nadliczbowych”. Pierwszy rodzaj czynności, traktowanych tutaj jak waluta przetargowa, ma nas wykupić od własnych win - wynagrodzić je. Drugie to te, które wykraczają poza statystykę i konto grzesznika. Do zbawienia wystarczy mieć konto zerowe tak, aby zrównoważyć bilans win i zasług. Jeśli ktoś, np. zakonnicy w klasztorach, wypracowali dużo uczynków nadliczbowych (ponad plan) - mogą je ofiarować, „przekazać” (aktem woli) Kościołowi

- na ręce papieża, który tworzy z nich wszystkich „depozyt” i przekazuje w formie odpustów „zupełnych” lub „niezupełnych” lokalnym kościołom albo przypisuje do określonych zasług, np. w zamian za udział w szeregu nabożeństw, odmówienie odpowiednich modlitw w intencji „ojca świętego” itp.

To całe kupczenie dobrocią pozostaje w jawnej sprzeczności z duchem Pisma Świętego, według którego zbawienie jest osiągalne i wysłużone przez śmierć Chrystusa na krzyżu. Każdy inny pogląd deprecjonuje tę doskonałą Ofiarę. Kościół w tej kwestii przejął podejście ściśle faryzejskie, które najlepiej obrazuje przypowieść z

Ewangelii Świętego Łukasza - faryzeusz w swojej modlitwie przypomina Bogu o swoich dobrych uczynkach, ale Bóg go nie usprawiedliwia.

My wszyscy jesteśmy już zbawieni z Łaski samego Boga, przez wiarę w Jezusa Chrystusa. Dobre uczynki, aczkolwiek posiadają wielką wartość - ani nie usprawiedliwiają nas, ani też Bogu niczego nie dodają, gdyż On jest Dobrem Doskonałym. Osobiste zasługi, uczynki miłosierdzia, żarliwa modlitwa - to jedynie naturalne następstwo, konsekwencja naszej wiary.

Skoro mowa o modlitwie - której Kościół poświęca tak wiele miejsca i uwagi - zobaczmy w jaki sposób ona w nim funkcjonuje. Niezaprzeczną wartością jaką niesie ze sobą każdy kościół czy religia - jest wspólnotowość, a co za tym idzie, wspólna modlitwa. Jej wielkie znaczenie podkreślił Nauczyciel słowami:

„Jeśli dwaj z was na ziemi zgodnie o coś prosić będą, to wszystkiego użyczy im mój Ojciec, który jest w niebie. Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich”.

Gremialne zwracanie się do Boga jest podstawą kultu starotestamentowego. Łączyło się to jednak wówczas ze szczególnym uprzywilejowaniem Narodu Wybranego.

W Nowym Testamencie Jezus co najmniej na równi ze wspólnotową, stawia modlitwę prywatną - w zaciszu swojej izdebki, za zamkniętymi drzwiami - „w ukryciu”. Nie chodzi tu o to, która z form modlitwy jest więcej warta. Najważniejsze, żeby nie było w niej cienia obłudy, pozorantstwa, manifestacji po to... „żeby się ludziom pokazać”. Jeśli w twojej modlitwie wspólnotowej, w kościele, komukolwiek - tobie samemu lub np. kapłanowi, który modli się w twoim imieniu - chodzi o cokolwiek innego niż kontakt z Bogiem, np. o politykę lub zrobienie na kimś dobrego wrażenia, lepiej abys modlił się w zaciszu swojego domu! Wszelkie manifestowanie swojej pobożności, o ile nie skupia się wyłącznie na Wszechmogącym, przynosi odwrotne skutki i jest bezcelowe w oczach Boga.

A jak powinna wyglądać nasza modlitwa, aby była w pełni wartościowa - wysłuchana i skuteczna? Jezus odpowiedział na to bardzo wyraźnie. Przed Ojcem trzeba stanąć z czystym sercem, przebacząc w pierw wszystkie urazy swoim bliźnim. Najlepszym i jedynym pośrednikiem jest Syn, Ten w którym mamy zbawienie:

„A o cokolwiek prosić będziecie w imię moje, to uczynię, aby Ojciec był otoczony chwałą”.

Nasza modlitwa powinna być jednak niemal wyłącznie dziękczynna; pełna

uwielbienia i pokory grzesznika, niegodnego przebaczenia. Najwłaściwszą wydaje się być modlitwa celnika z Ew. Łukasza: „Boże bądź miłościw mnie grzesznemu!” albo wołanie Piotra: „Panie ratuj mnie”. Wiele wartościowych modlitw powstało na gruncie Kościoła, np. „Któryś za nas cierpiał rany...” Wystarczy jedno zdanie powtarzane z wiarą i miłością do Stwórcy. W modlitwie nie wolno iść na ilość, lecz na jakość.

Ktoś spyta - dlaczego moje modlitwy nie są wysłuchiwane!?! Wiemy już, że nie istnieje nic takiego, jak opatrzność i opieka Boża nad światem. Stąd też modlitwy błagalne są na ogół bezcelowe i trzeba się z tym pogodzić. Nasze błagania mogą co najwyżej dotyczyć stanu ducha, sił do nawrócenia, podtrzymania w zwątpieniu - czyli interwencji Boga na płaszczyźnie transcendentnej, duchowej, a więc Jemu właściwej; nie zaś np. wygranej w totolotka czy nawet uzdrowienia z ciężkiej choroby. Istnieją jednak wyjątki - cudowne ingerencje nadprzyrodzoności w materię i doczesność. Wówczas to tylko nasza ogromna wiara może uczynić cuda i skłonić Boga do interwencji;

„...twoja wiara cię uzdrowiła...” - mawiał Jezus do opętanych i uleczonych z chorób.

Zastanów się Bracie, Siostrzo - czy naprawdę modlisz się jak należy i o co Ci chodzi w modlitwie - może szukasz w niej choćby odrobiny zbędnej korzyści. Jeśli zaś na okrągło „klepiesz” bezmyślnie różaniec i litanie, to nie dziw się, że Pan Bóg Cię nie wysłuchuje! On oczekuje bardziej miłości niż ofiary, a „zaliczanie” różańców czy koronek - to po prostu ofiara ze swojego czasu.

Można bardzo długo wyliczać błędy doktrynalne i nieprawidłowości w życiu Kościoła Katolickiego. Wiele w nim zafałszowań i obłądy przekazywanej przyszłym kapłanom już w seminariach duchownych - z pokolenia na pokolenie. Ci z kolei niezmiennie przekazują ją wiernym. Depozyt fałszerstw i odstępstw trwa więc przez wieki, choć coraz więcej Katolików dostrzega już światło prawdy. Mnie osobiście najbardziej bolą rażące odstępstwa od Pisma Świętego, tworzenie nowych „prawd” i wciskanie ich ludziom na tak ogromną skalę, która nie ma chyba swego odpowiednika w historii świata. Ile miliardów wiernych odeszło z tego padołu łez oszukanych, ze świadomością odrzucenia przez Boga, bo np. w chwili ich śmierci nie było w pobliżu księdza z „ostatnią posługą”.

Jeśli ktoś błądzi w taki sposób i na taką skalę, jak czyni to Kościół Katolicki, to nie ma on prawa wymagać od swoich wiernych posłuchu i respektowania

jakichkolwiek dogmatów i ustaw, choćby były nie wiem jak „nieomyłne”. Panu Bogu, który objawił każdemu z nas swoją wolę w Piśmie Świętym, wystarczą w zupełności nasze modlitwy odmawiane w zaciszu „izdebki”. Pozostawmy, oddajmy Bogu to co boskie, a sami cieszymy się tylko tym, że jesteśmy Jego dziećmi. Powtórzmy za świętym Augustynem: „Kochaj i czyń co chcesz!”. Niech nasze serca będą pełne otuchy, którą daje nam Słowo Boże. „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty Jesteś ze mną!” - śpiewał Bogu król Dawid.

Czy zadaniem Kościoła, który założył Jezus, ma być ciągle „zawiazywanie i rozwiązywanie”; ustalanie tego, co Bóg już dawno ustalił? Czy Nauczyciel ustanowił kiedykolwiek choćby jednego teologa!? Wręcz przeciwnie! Brzydził się faryzeuszami i uczonymi w Piśmie, którzy studiowanie prawa przedkładali nad praktykowanie miłości, a pokorę grzesznych synów marnotrawnych mieli za nic. Dzisiaj każdy ksiądz jest teologiem z wykształcenia. Może dlatego tak mało jest wśród nich prawdziwych duszpasterzy.

Jeśli przypatrzymy się bliżej, jak w praktyce struktury katolickie realizują swoją misję - zadania i cele, które u źródeł powstania nakreślił dla swojej Owczarni Jezus - stwierdzimy, iż dzisiejszy Kościół - choćby najpotężniejszy, lecz nie mający oparcia w Prawdzie Objawionej, zawartej w Piśmie Świętym - nie jest tym Kościołem, który założył Jezus Chrystus.

Kościół Katolicki nie jest, jak sam głosi :

- a) święty - tj. składający się z ludzi świętych, pełniących wolę Bożą;
- b) apostołski - tj. niezmienny od czasów apostołskich co do wiary, głoszonych nauk i praktyk religijnych;
- c) ewangeliczny - tj. trzymający się nauki Chrystusa, spisanej w czterech Ewangeliach;
- d) katolicki - tj. powszechny w swoich dogmatach, zachowywanych w niezminionej formie przez wszystkich Chrześcijan wszystkich czasów.

Zbawiciel jasno określił podstawowy cel Kościoła - jest nim przekazywanie „Dobrej Nowiny” o Zbawieniu. Zamiast niej karmi się ludzi opowieściami o mękach piekielnych i wiecznym potępieniu.

Cele podrzędne to: opieka nad najbiedniejszymi i pokrzywdzonymi przez los, kultywowanie pamiętki Śmierci i Zmartwychwstania Chrystusa, szerzenie Słowa Bożego, sprawowanie Sakramentów Świętych.

Pierwsza sfera traktowana jest tak marginalnie (a przy tym na tyle nagłaśniana

przez kościelne media), iż niewiele można jeszcze na jej temat napisać. Choć... trochę prawdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło:

Organizacja kościelna Caritas, powołana została do opieki nad tymi, którzy jej najbardziej potrzebują. Księża dyrektorzy poszczególnych oddziałów wraz z siostrami zakonnymi, klerykami oraz wolontariuszami świeckimi - prowadzą stołówki z darmowym wyżywieniem, hospicja; organizują wakacyjne kolonie dla dzieci z najbiedniejszych rodzin. Trudno wyobrazić sobie bardziej humanitarne cele i działania. Rzeczywiście, dzieje się tam wiele dobra, może nie aż tak wiele jak „bębni” o tym Kościół, ale owoce są niemałe. Komórki Caritasu istnieją obecnie w każdej diecezji i trzeba przyznać, iż szczególnie w ostatnich paru latach bardzo się rozwinęły. Wiąże się to ściśle z ostatnim kursem polityki Watykanu, aby zyskać jak największą przychylność ludzi świeckich dla instytucji Kościoła. Caritas jest sztandarowym narzędziem tych usiłowań. Działania tej organizacji miałem okazję obserwować za moich czasów kleryckich, jak również później w kapłaństwie.

Po 4 i 5 - tym roku Seminarium Łódzkiego, w czasie wakacji, uczestniczyłem w letnich koloniach dla dzieci z rodzin patologicznych, prowadzonych pod patronatem łódzkiej komórki „kościelnej dobroczynności”. Zgłosiłem swój akces jako opiekun, wspólnie z paroma kolegami i grupką studentów. Kolonie trwały dwa tygodnie. Mieszkaliśmy razem z dziećmi w wiejskiej szkole, udostępnionej i zaadaptowanej dla nas przez miejscową gminę. Całe finansowanie przedsięwzięcia ograniczało się więc praktycznie do przewiezienia dzieci w obydwie strony oraz wyżywienia. Kto za to wszystko zapłacił? Oficjalnym i jedynym dobroczyńcą: organizatorem, sponsorem i filantropem jest Kościół Katolicki zaś głównym patronem - biskup diecezjalny.

W rzeczywistości ani jedna złotówka nie pochodziła z kurialnego skarbcza. Wszystkie przedsięwzięcia Caritasu są finansowane przez sponsorów - przedsiębiorców, którzy wpłacają często ogromne sumy „na cele charytatywne”, aby móc odpisać je sobie od dochodu. Regułą przy takich wpłatach jest praktyka ich zawyżania. Księża dyrektorzy wystawiają też chętnie zupełnie fikcyjne potwierdzenia wpłaty, w zamian za „godziwą” łapówkę. Dziwić się później, że objeżdżają swoje placówki „mercami” i „bm - kami”, jak przystało na „ubogich opiekunów najuboższych”. Taki sam aferałny proceder kwitnie obecnie na parafiach, a profity dla kapłanów - którzy nie muszą rozliczać się z „darowizn” - zazwyczaj wielokrotnie przewyższają ich i tak już wysokie dochody. Zadowoleni są również businessmani,

wykorzystujący jedną z ostatnich form odpisów podatkowych. Traci jak zwykle państwo - cała reszta... czyli my.

Innym źródłem finansowania akcji Caritasu, np. w Polsce - są setki podobnych organizacji na Zachodzie Europy. Twarda waluta leje się stamtąd szerokim strumieniem, zwłaszcza przy szczególnych okazjach (stan wojenny, powódź), a „tiry” z bezcłowymi darami kursują nieprzerwanie od lat. To całe bogactwo nie jest jak zwykle nigdzie wykazywane ani poddawane kontroli, nawet wewnątrz struktur kościelnych. Na potrzeby „dobroczynnej działalności Kościoła” zbierana jest również taca we wszystkich parafiach, kilka razy w roku.

Prowadząc kolonie w Nagórzycach i Tomaszowie zastanawiałem się wielokrotnie - gdzie jest ta cała kasa!? Dzieci karmiliśmy na ogół przeterminowanymi produktami z Zachodu, a i tak pod koniec turnusu musiałem zebrać u miejscowych ludzi o wsparcie, gdyż siedziba Łódzkiego Caritas odmówiła dofinansowania. Gdyby nie otwarte ludzkie serca - dzieci chodziłyby głodne. Tak stało się na innej kolonii, gdzie doszło do prawdziwego buntu zaniedbanych milusińskich oraz interwencji ich rodziców. Nie twierdzę, że takie historie dzieją się zawsze i wszędzie. Niemniej jednak tak właśnie z grubsza wygląda „druga strona medalu” oraz realizowanie przez Kościół w praktyce przykazania Jezusa: „...Wszystko cokolwiek uczynicie jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnie uczynicie...”

Trudno jest całej instytucji i jej urzędnikom, wykształconym i nastawionym tylko na branie, nagle zacząć dawać. Trudno także powiedzieć, żeby dzieci z najbiedniejszych łódzkich domów były „braćmi” miliardarów w sutannach. Sam arcybiskup, który (a jakże!) odwiedził naszą kolonię najnowszym modelem BMW robionym na zamówienie - też nie przystaje do tej rodziny. Jego bracia zasiadają w Episkopacie i nie mają kłopotów z wyżywieniem.

Zobaczmy, jak resztę podrzędnych celów swojej „nadprzyrodzonej misji” na swój sposób, po kolei „rozpracował” Kościół Katolicki. Wszystkie zaszczytne zadania - całą swoją działalność uzależnił od składania opłat (i to słonych) w gotówce.

Za kultuwanie pamiątki... czyli za Mszę Św. - kasa; za szerzenie Słowa Bożego... czyli kazanie - kasa (czyt. taca); za sprawowanie Sakramentów... czyli: Chrzest, Komunię, Bierzmowanie (nie zawsze), Ślub - kasa! kasa! kasa! KASA!!! Nie wspomnę o: pogrzebach, opłatach cmentarnych, kolędzie, wypominkach, zrzutkach, zbiórkach itp. itd. Przemilczę również przeznaczenie tej rzeki pieniędzy.

ROZDZIAŁ XIII

PAPIESKA OMYLNOŚĆ

Zadufany w swoją potęgę - na przestrzeni wieków - Kościół Katolicki stworzył własną, autokratyczną ideologię supremacji i nieomylności, nie oglądając się zbyt na wolę Bożą i wytyczne swojego Założyciela. To właśnie nikt inny, tylko sam Jezus wielokrotnie powtarzał: „...Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie; i kto nie zbiera ze mną, rozprasza...”

Co do nieomylności, monopolu na prawdę - nawet apostołowie nie zawsze posiadali Ducha Świętego. Brakiem pokory, modlitwy, pokuty i postu, pozbawiali się go sami (tak jak później ich katolicycy „sukcesorzy”). Nie wszystkie cuda i uzdrowienia im się udawały. Pomylili się również co do rychłego powrotu Nauczyciela na ziemię.

Cała historia Kościoła (z wyjątkiem pierwszych wieków) - inkwizycje, potępienia, szizmy, odstępstwa; nadużycia, wiarołomstwa i świństwa popełniane przez namiestników Chrystusa, jak również ich obecne praktyki - jasno dowodzą, że Kościół Katolicki przestał być Bożą Owczarnią - kustoszem nadprzyrodzonych tajemnic, szafarzem łask wszelkich. Śmiem twierdzić, iż w związku z nie realizowaniem woli Bożej - nie posiada on Bożego mandatu na przekazywanie Prawdy Objawionej i nie działa w nim Duch Święty!!!

Mówienie o nieomylności papieży wobec ich udowodnionych i wykazanych błędów, a także wobec jawnego sprzeniewierzenia się Stwórcy - Jego Objawieniu zawartemu w Piśmie Świętym oraz Przykazaniom - zakrawa na kpinę i bezczelne szyderstwo. Właśnie owa „nieomylność” jest źródłem większości odstępstw. Przez jej wydumany mit robi się wodę z móżgu setkom milionów ludzi na całym świecie.

Dowodów na omylność papieży jest aż nadto. Część z nich przytoczyłem już w mojej pierwszej książce pt. „Byłem księdzem”.

Przypomnę, iż we wczesnym Kościele nikomu, łącznie z samymi papieżami, nie śniło się nawet o supremacji biskupa Rzymu, a tym bardziej o jego nieomylności. Omylni byli i są wszyscy, począwszy od Św. Piotra, wielokrotnie strofowanego przez samego Nauczyciela.

Zatrzymajmy się nieco dłużej właśnie przy Piotrze, który kojarzy się z kluczami, a w rzeczywistości sam jest „kluczem” i „opoką” na której Kościół - nie Chrystus - zbudował swoją ziemską potęgę. Odwoływanie się do Piotra - jako

gwaranta nieomyślności dzisiejszych papieży (jego rzekomych następców) oraz świętości Kościoła przez nich prowadzonego - nie ma uzasadnienia w Biblii i jest jednym z największych fałszerstw dokonanych w Chrystusowej Owczarni. Wszystko sprowadza się do jednego fragmentu rozmowy Jezusa z Piotrem w Ewangelii Św. Mateusza, gdzie mowa jest właśnie o „kluczach” i „opoce”.

Zajmijmy się na początek tym drugim terminem. Nie będę wdawał się w szczegółowe egzegezy i wykłady naukowe, ale dla wtajemniczonych, Prawosławnych, Protestantów i wszystkich dociekliwych, którzy pragnęli poznać prawdę o podwalinach Kościoła Katolickiego - jasnym jest to, że dokonano tu wielkiej mistyfikacji. W oryginalnym tłumaczeniu tego tekstu Jezus użył dwóch różnych określeń:

1) „Petros” = imię własne Piotra, które oznacza „pojedynczy kamień”

2) „Petra” = „niewzruszona skała”, „opoka” Warto nadmienić, iż scenerią do rozmowy Jezusa z Piotrem są okolice Cezarei Filipowej, wzniesionej na ogromnej skale. Wokół niej leżało mnóstwo pojedynczych głazów i kamieni. Nauczyciel posłużył się nie po raz pierwszy przyrodą i analogią do ukazania Bożej Prawdy. Piotr, jako jeden z uczniów, jest tylko jednym z „kamieni” - budulcem, składową częścią wielkiej skały, opoki - na której Chrystus wzniesie swój Kościół. Takim budulcem byli również inni apostołowie i wszyscy wierzący, nazywani przez Nauczyciela „członkami jednego ciała Kościoła”. Nie może być innego tłumaczenia i innej interpretacji. Przejdźmy do Piotra jako „klucznika”, mającego jakoby władzę „związania i rozwiązywania” wszystkiego na ziemi i w Niebie. Przede wszystkim władzę tę, w granicach nakreślonych przez Stwórcę, otrzymali wszyscy uczniowie, bo do wszystkich Nauczyciel powiedział:

„Wszystko, co zwiążecie na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie”. Przywilej sprawowania funkcji kierowania Kościołem Jezusa na ziemi oraz Jego błogosławieństwa otrzymali także wówczas, kiedy zostali posłani, aby nauczać i chrzcić „wszystkie narody” - „A oto Jam jest z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata”.

Klucze są w Biblii rzeczywiście symbolem władzy. Posiadali je ci, na których spoczywał obowiązek zgłębiania i przekazywania Bożej Prawdy. Na tej zasadzie „klucze poznania” dzierżyli uczeni w prawie za czasów Chrystusa, ale źle się nimi posługiwali. Zbawiciel, wiedząc o swoim rychłym odejściu, przekazał przywództwo tym, których nauczał, a później umocnił ich wszystkich Duchem Świętym. Ta władza

i ten Duch spoczywa dziś (teoretycznie!) na wszystkich biskupach - następcach apostołów. Ponieważ wypaczyli i przekroczyli oni prawo Boże, wzorem swoich protoplastów faryzeuszów i uczonych w prawie, przywilej kierowania Kościołem już im nie przysługuje. Wiele fragmentów Nowego Testamentu dowodzi niezbicie, iż kluczami Królestwa Niebieskiego mają być tylko słowa samego Chrystusa i On sam. Piotr i inni apostołowie mają się tylko posługiwać, szafować tym skarbem, który zostawił im Pan. Mają przekazywać Słowo Boże, a nie tworzyć własne objawienie i własne prawdy. Ten depozyt wiary został z kolei poprzez uczniów podarowany całemu światu - wszystkim narodom i pokoleniom. Natomiast władza należy do Boga i Jego Syna Jezusa Chrystusa - „...przed Nim klęknie wszelkie kolano i wszelki język słać Go będzie”; On ma „klucze śmierci i Otchłani”.

Jakże słowa stworzenia - człowieka, mogą przyćmić słowa Stwórcy - Boga. To śmieszne, nielogiczne i świętokradcze!!! Nikt ze współczesnych Piotrowi nie widział w nim następcy Chrystusa. Nie noszono go na „sedia gestatoria” jak papieży; nie całowano mu nóg i rąk; nie składano też żadnych innych podobnych honorów, rodem ze świata pogańskiego, tak obcych duchowi Chrześcijaństwa. Piotrowi sprzeciwił się Paweł i to jego zdanie - Pawła - nie Piotra, przyjęto za słuszne. Ten, który zaparł się Mistrza i był przez niego nazwany „szatanem”, nie był pierwszym i najważniejszym uczniem (w znaczeniu przewodzenia) również po Wniebowstąpieniu Pana. To Jakub - nie Piotr

- kierował Kościołem w Jerozolimie. Szymon Piotr głosił Ewangelię tylko Żydom. W całym Nowym Testamencie nie ma żadnej wzmianki, iż był on kiedykolwiek w Rzymie. Piotr nie gromadził - jak papieże od IV wieku - żadnego skarbu, który dziś znajduje się w Watykanie i jest nazwany „Skarbem Świętego Piotra”. W I Liście do Koryntian czytamy: „Nie może być innego fundamentu, jak tylko Jezus Chrystus”. Sam Piotr wyznał Jezusowi: „Tyś jest Mesjasz, Syn Boga Żywego”; a po śmierci Nauczyciela nauczał o Nim: „On jest owym kamieniem, odrzuconym przez was, budujących. On stał się kamieniem węgielnym”. W swoim Pierwszym Liście nazywa Chrystusa „Żywym Kamieniem”.

Tylko sam Zbawiciel może być Opoką swojego Kościoła - jedynym Fundamentem i niewzruszoną Skalą; uczniowie byli tylko pojedynczymi kamieniami, przeznaczonymi do wielkiej budowy. Szymon Piotr był jednym z tych kamieni; może najbardziej reprezentatywnym ze wszystkich (do niego i Jana Jezus zwracał się najczęściej)... ale tylko kamieniem.

Jeśli ktokolwiek chciałby jeszcze upatrywać w Świętym Piotrze lub - co gorsza - w papieżach (którzy niewiadome na jakiej podstawie mienia się być jego następcami) jakiegoś prymatu władzy, haryzmatu ducha czy innej szczególnej wyjątkowości - przytoczę mu na koniec słowa Nauczyciela, skierowane do wszystkich uczniów, w tym także do Piotra:

„...Lecz kto by między wami chciał stać się wielkim, niech będzie waszym sługą. A kto by chciał być pierwszym między wami, niech będzie niewolnikiem waszym...”

W taki oto sposób - na błędnej interpretacji jednego fragmentu Ewangelii - Kościół Katolicki opiera niemal całą swą nadprzyrodzoność, powagę oraz motywuje teorię tzw. sukcesji apostoelskiej, tj. pochodzenia od Jezusa i Świętego Piotra.

Pierwsze 300 lat Chrystianizmu było czasem prześladowań, katakumb, w których pielęgnowano żywą wiarę, opartą na Słowie Bożym. Po tym, jak w 310 roku, po nawróceniu się (przynajmniej oficjalnym) cesarza Konstantyna, Chrześcijaństwo stało się religią panującą - do Owczarni Chrystusa weszły z dnia na dzień miliony pogan ochrzczonych, lecz nie nawróconych. Swoją masą zdominowali dotychczasowe grupy wiernych uczniów Pana. Wprowadzili pogańskie zwyczaje (m.in. kult jednostki, dogmaty) i praktyki żywcem przeniesione z religii politeistycznych. Zmienili mentalność i rozumienie wiary, Pisma Świętego, liturgii - dopasowując depozyt pozostawiony przez Jezusa do greckiej i rzymskiej filozofii pogańskiej. Kościół został zromanizowany, a papieństwo, po upadku Cesarstwa Rzymskiego, stało się sukcesorem pogańskiego Imperium.

Nie można jednak mówić o papieństwie w pierwszych wiekach Chrześcijaństwa. Ta czysto ludzka instytucja zrodziła się z czysto ludzkiego pragnienia władzy i dominacji. Wraz z upływem lat, wykształciła się tradycja pewnego wyróżniania biskupów aktualnie urzędujących w Rzymie. Miało to charakter li tylko faworyzowania, wyniesienia tytularnego i nie łączyło się z jakąkolwiek władzą. Nie zapominajmy jednak, że po Wniebowstąpieniu Jezusa, Wieczne Miasto na długo jeszcze było pępkiem świata i stolicą Cesarstwa, które - podtrzymywane przez wielu monarchów - przetrwało aż do 1806 roku. Do tego czasu biskupi rzymscy nie szczędzili wysiłków dyplomatycznych i ofiar (prowadzili m.in. liczne, także zaborcze wojny), aby przekonać wszystkich o swojej wyjątkowości i monopolu na władzę. Udało im się to w zupełności. Od prawie 2000 lat podpierają swój tytuł „władcy świata” jednym fragmentem z Biblii, mówiącym o Piotrze jako „opoce”

Kościola i właścicielu „kluczy” Królestwa oraz tradycją, zgodnie z którą pierwszy uczeń zginął w Rzymie.

Czy to ma być gwarancją nieomylności jego następców!? A kto powiedział, że następcami Piotra mają być rzymscy papieże!? Aż do Wieków Średnich funkcjonowało kilka „stolic” Chrześcijaństwa: Rzym, Konstantynopol, Jerozolima, Aleksandria. Prymat Rzymu wynikał przede wszystkim z jego świeckiego i prestiżowego charakteru Stolicy świata. Duchowa, faktyczna sukcesja apostołska od początku była udziałem wszystkich biskupów przemawiających gremialnie, ponieważ Duch Święty spoczął na wszystkich uczniach Chrystusa. Ani w Piśmie Świętym, ani w żadnym dokumencie tzw. ojców Kościoła nie można, nawet między wierszami, doczytać się choćby wzmianki o szczególnym uprzywilejowaniu papieża, czy też o jego nieomylności. Sama nazwa „papież” pojawia się dopiero przy końcu VI wieku. Owszem, Jezus w pewnym sensie wyróżnił Piotra tak, jak wyróżnił Jana, ale nie uczynił nikogo osobiście swoim zastępcą. Nie mówił też o jakichkolwiek następcach Piotra. Pierwsi biskupi Rzymu wcale się za takich następców nie uważali. Przez całe wieki nikomu nie przyszło do głowy odwoływać się do nich, jako do ostatniej instancji w sprawach wiary i moralności. Ogromna władza i obecny autorytet papieżstwa - to wynik kilkusetletnich zabiegów ostatnich kilkudziesięciu papieży. Ich wysiłki polegały na czysto politycznych manipulacjach na arenie międzynarodowej (nasz papież jest w tym prawdziwym geniuszem) oraz zręcznym „odkręcaniu” ewidentnych pomyłek poprzedników, którzy często głosili herezje i wpadali w kary kościelne. Nie znaczy to wcale, iż sami współcześni „nieomylni” nie pletli głupstw. Wręcz przeciwnie, zaślepieni swoją władzą, wielokrotnie dokonywali odstępstw od Objawionej Prawdy Bożej.

Prześledźmy w wielkim skrócie listę tylko niektórych, największych papieskich gaf - z punktu widzenia obiektywnej prawdy, jak również obecnej doktryny samego Kościoła:

1. Papież Marcełi (293 - 303) składał ofiary w świątyni bogini Westy.
2. Papież Liberiusz (352 - 366) uznał, że Jezus jest mniej ważny od Ojca. W zamian za to stronnicy arianizmu w Rzymie pozwolili mu wrócić z wygnania i pełnić urząd. Stanowisko Liberiusza było jawną herezją potępioną przez wszystkich biskupów i papieży.
3. Papież Grzegorz Wielki „skazał” nie ochrzczone niemowlęta na wieczne męki piekła.

4. Papież: Innocenty I i Gelazy I „skazali” na piekło dzieci ochrzczone, które nie zdały przyjąć I Komunii.

5. Papież Leon Wielki (440 - 461) był twórcą papiestwa w dzisiejszym rozumieniu. Jako pierwszy zaczął sam „tworzyć objawienie” nazywając je „Boskim”. Jemu pierwszemu wydało się, że jest następcą Św. Piotra, który był przywódcą apostołów.

6. Papież Wigiliusz (537 - 555) popierał heretyckie poglądy cesarza Justyniana, za co został ekskomunikowany i potępiony przez Sobór w Konstantynopolu.

7. Papież Honoriusz (625 - 638) wyśmiewał filozofów przypisujących Jezusowi dwie natury (boską i ludzką) oraz - co za tym idzie

- podwójną wolę. Sobór Powszechny w Konstantynopolu i Synod Wschodni w Rzymie w 690 roku potępiły go za to, a następcą

- papież Leon II nazwał „bluźnierczym zdrajcą”. Szósty Sobór Powszechny (680 - 681) uroczystie ogłosił omyłność każdego papieża, który w sprawach wiary i moralności musi podlegać postanowieniom Soboru; w przeciwnym razie może być heretykiem, jak każdy inny człowiek. Herezja papieża Honoriusza dotyczyła jednej z głównych prawd wiary i jest ciągle niepodważalnym dowodem na papieską niedoskonałość. Przez 1.200 lat papieże, mniej lub bardziej chętnie, uznawali wyższość soboru

- głosu wszystkich biskupów - nad swoimi ustawami.

8. Papież Stefan II (752) powiedział: „Małżeństwo wolnego mężczyzny z niewolnicą, gdy oboje są Chrześcijanami, może zostać rozwiązane, aby pozwolić mężczyźnie ponownie się ożenić”.

9. Papież Leon III (795 - 816) po raz pierwszy nadał tytułowi papieża (poczynając od siebie) przymiot „Władcy Świata”, koronując przy okazji Karola Wielkiego na cesarza. Nie przeszkadzały mu w tym słowa Jezusa - „Królestwo moje nie jest z tego Świata” oraz „Zostawcie cesarzowi co cesarskie” - potępiające po wsze czasy mieszanie się Kościoła do polityki.

10. Papież Mikołaj I (858 - 867) głosił, że Eucharystię - Ciało Chrystusa można realnie dotknąć, pogryźć i strawić; Chrzest można przyjąć tylko w imię Syna, a Bierzmowanie udzielane przez księży uznał za nieważne i ...anulował. Ta ostatnia „mądrość” zadecydowała ostatecznie o rozłamie pomiędzy Zachodnim i Wschodnim Kościołem, gdzie od wieków bierzmowali księża. Twierdzenia Mikołaja potępił

następny papież Pelagiusz. Dzisiaj wszystkie wyznania chrześcijańskie uznają za wyróżnik swojej religii Chrzest w imię Trójcy Świętej.

11. Papież Hadrian II (867 - 872) ogłosił ważność cywilnych ślubów, które inni, np. Pius VII (1800 - 1823), potępili.

12. Papież Formozus został po śmierci w 896 roku wykopany z grobu i potępiony za herezję. Świecenia jego, a w konsekwencji tych, których sam święcił, unieważniono. Przez kilka następnych stuleci kolejni papieże unieważniali święcenia wielu kardynałów, biskupów i księży wyświęconych przez tamtych. Powodem było nagminne kupowanie wysokich dostojenstw w Kościele. W konsekwencji jednak sami papieże nie mogli się „połapać”, jaka część ich owczarni żyje poza sakramentami, udzielanymi nieważnie przez „fałszywych” biskupów i kapłanów. Przekazywanie „lipnych” święceń stało się kościelną zarazą. Ilu wiernych np. z „nieważnym” Chrztem poszło do piekła!?

13. Papież Innocenty III (1198 - 1216) - twórca inkwizycji, która „pochłonęła” (według przybliżonych danych) ponad 50 milionów istnień ludzkich - przekazał uroczyste posłanie do rycerstwa wyruszającego na wyprawę krzyżową: „Mordujcie i zabijajcie wszystkich, a Bóg rozpozna swoich”. Widać tu zdumiewające podobieństwo do najbardziej okrutnego rozkazu Adolfa Hitlera, skierowanego do żołnierzy Wehrmachtu przed wybuchem II Wojny Światowej.

14. Papież Jan XXII był jednym z największych chciwców w historii papieżstwa (1316 - 1334). Jego skąpstwo i żądza pomnażania bogactw były obsesyjne. Zastał pusty skarbiec po swoim poprzedniku Klemensie V, który lojalnie wobec swojej rodziny rozdał jej wszelkie kościelne dobra i kosztowności. Jan rozpoczął swój pontyfikat od wszczęcia kilku lokalnych „wojen włoskich”. Potrzebował dużo pieniędzy i nie zamierzał przebierać w środkach aby je zdobyć. Jako pierwszy na ogromną skalę zaczął sprzedawać odpusty od najcięższych nawet grzechów. Im więcej było morderstw, cudzołóstw, kradzieży - tym bardziej pęczył skarbiec namiestnika Chrystusowego. Kiedy jego chciwość stała się tajemnicą publiczną, Jan musiał jakoś usprawiedliwić swój materializm wobec świata. W swojej bulli „Cum inter nonnullos” z 12 listopada 1323 roku uroczysto ogłosił: „Stwierdzenie, że Chrystus i Jego apostołowie nie mieli żadnej własności stanowi wypaczenie Pisma Świętego”. Jest to jawne to zaprzeczenie wcześniejszych wypowiedzi papieży, jak również całej tradycji Kościoła, zgodnie z którą Jezus żył w ubóstwie i głosił wyrzeczenie się wszystkiego dla Królestwa Bożego. Tymczasem po promulgowaniu

bulli, wszystkich propagatorów takiego życia, na czele z Franciszkanami - darzonymi powszechnym szacunkiem - papież Jan obwołał heretykami. Bardzo wielu z nich uwięziono lub spalono na inkwizycyjnych stosach. „Nieomylny” zastępca ubogiego Chrystusa palił jego nielicznych, świętych naśladowców, a sam zmarł w opinii najbogatszego człowieka na świecie. Jego skarby oceniono na ponad 50 milionów florenów w złocie.

Jan XXII zanim odszedł do wieczności „wykazał się” również na polu teologicznym. Podczas uroczystego kazania stwierdził mianowicie, że „dusze świętych zmarłych nie widzą Boga przed zmartwychwstaniem ciała”. Stanie się to dopiero „...w dniu Sądu Ostatecznego”. Głosząc te brednie papież, z pewnością nieświadomie, ograniczył swoje wpływy ze sprzedaży odpustów. Niewielu było później chętnych na zapłacenie złotem za czekanie przez wieki na wejście do Nieba. Na szczęście niewielu również uwierzyło papieżowi. Cały światły Kościół zdrzął w posadach na jego jawne sprzeniewierzenie i ewidentną herezję. Następca Jana - Benedykt XXII uznał za heretyka każdego, kto przeczyłby iż „...po śmierci święci radują się szczęśliwym widzeniem bez żadnej zwłoki”.

15. Papież Jan XXIII (1410 - 1415) podważył naukę Chrystusa o nieśmiertelności duszy, za co został usunięty z urzędu na Soborze w Konstancji (1415 r.). Podczas trwania tegoż Soboru spalono na stosie Jana Husa, świątobliwego reformatora Kościoła.

16. Papież Sykstus V (1521 - 90) - wielki budowniczy m.in. kaplicy swego imienia, kopuły św. Piotra, Biblioteki Watykańskiej i rzymskich akweduktów. Materiały do budowy nakazał, wzorem innych papieży, uzyskiwać burząc stare rzymskie budowle np. część Coloseum. Chciał „na siłę” zapisać się w historii złotymi zgłoskami. Jego drugą pasją stało się więc przerobienie Biblii. Uroczystą bullą ogłosił światu, że tylko on - papież może rozstrzygać co jest w niej autentyczne, a co nie. Sam osobiście podjął się mrówczej pracy nad natchnionym tekstem. Zabrało mu to, łącznie z poprawkami błędów drukarskich nowego tekstu, ponad dwa lata. Po upływie tego czasu, kiedy ukończył swoje „dzieło”, kolejną bullą „Aeternus Ille” nakazał całemu chrześcijańskiemu światu nie odchodzić „ani o jotę” od wydania jedynie „prawdziwego, obowiązującego, autentycznego i nie kwestionowanego...”. Każdy „odstępca” od Biblii Sykstusa miał być wyłączone z Kościoła. Po kilku miesiącach papież zmarł. „Jego” przekład tekstów natchnionych, już na pierwszy rzut oka, miał bardzo niewiele wspólnego ze Słowem Bożym. Sykstus, tam gdzie nie rozumiał sensu

Boskiego przesłania, wprowadzał całe nowe wersety, wyrzucając oryginalne. Jeśli jakieś sformułowania go raziły - zastępował je swoimi Błąd błędem poganiał, a całość była jedną wielką herezją. Nowa Biblia i wyjątkowo niezręczna sytuacja Kościoła najbardziej rozbawiła protestantów. Następnym papieżom nie było jednak do śmiechu. Grzegorz XIV i Klemens VIII dokonywali cudów kamuflażu, aby jakoś zatuszować heretycki przekład Sykstusa. Wypuszczone na rynek egzemplarze skupowano nie bacząc na środki. Utworzono w tym celu nawet specjalne grupy agentów poszukujących choćby pojedynczych egzemplarzy. W tym czasie rozpaczliwie i pospiesznie pisano nowy przekład. Nowa Biblia ukazała się w 1592 roku. Papież Klemens przedstawił ją jako... „Sykstyńską”, podpisał imieniem niesławnego poprzednika i ogłosił jako jedyną i obowiązującą (nie przeszkodziło to Piusowi VII - 300 lat później - potępić wszystkich, którzy ją czytali). Po raz kolejny dla dobra Kościoła dokonano fałszerstwa na niespotykaną skalę.

17. Papież Klemens XI (1700 - 21) miał jedną wielką pasję - namiętnie potępiał wszystko i wszystkich. Między innymi zakazał i uroczyście potępił czytanie Pisma Świętego (w tym Nowego Testamentu) przez Chrześcijan. Zakaz ten faktycznie istniał w Kościele od czasów Reformacji. Świątobliwy papież usankcjonował go tylko, kierując się troską o swoje owieczki, które mogłyby opatrzenie zrozumieć Słowo Boże. Klemens dla wzmocnienia swego autorytetu posunął się jeszcze dalej. Ogłosił, że ponad Biblią i zawartymi w niej Przykazaniami Bożymi stoi on - papież, bo tylko on wie najlepiej co jest dobre i prawdziwe. „...Nie ma ważniejszego obowiązku niż posłuszeństwo papieżowi” - napominał.

Papież Klemens zasłynął również jako wielki „obrońca” Chin, które „uchronił” przed Chrześcijaństwem. W 1692 roku cesarz Kang Hi zezwolił Jezuitom w nieskrępowany sposób nawracać swoich poddanych. Nagle liczba uczniów Chrystusa na ziemi mogła zostać podwojona. Chińczycy byli jednak przywiązani jak każdy naród do swoich endemicznych tradycji, które nie zawsze pokrywały się z praktykami wzorowych Chrześcijan. Jezuiti szanując wiele „pogańskich” praktyk pragnęli część z nich zaadoptować, a niektóre tylko stopniowo i z wycuciem eliminować z życia nowej społeczności wiernych. Kiedy dzięki temu zaczęli osiągać niespotykane sukcesy - do głosu doszedł papież, który „napuścił” na Jezuitów inkwizycję. Od 1715 roku każdy misjonarz udający się do Chin musiał złożyć przysięgę nienawiści do chińskich obrzędów. Taka nietolerancja miała - zdaniem papieża Klemensa - „...usunąć chwasty i uczynić Chińską glebę bardziej żyzną dla

Chryścianizmu”. Przypieczętował to bullą „Ex Ula Die”, która na wieki pogrzebała nadzieje na Chrześcijańskie Chiny.

18. Papież Klemens XIV (1767 - 1774) rozwiązał Zakon Jezuitów, założony przez Pawła III, a Pius VII powołał go z powrotem.

19. Papież Urban VIII (1623 - 1644) zostawił po sobie przydomek „Pogromcy nowożytnej nauki”. Sekundowało mu dzielnie kilka pokoleń papieży, aż do czasów współczesnych. Zaczęło się od Kopernika, który kilkadziesiąt lat wcześniej sporo „namacił” w kościelnej doktrynie o Stworzeniu Świata. Nie po raz pierwszy i nie ostatni Kościół i papieństwo ośmieszyło się przez wciskanie nosa nie do swoich spraw. Po raz kolejny również - tam gdzie nie trzeba - zinterpretowano dosłownie Pismo Święte, które mówi o Ziemi jako centrum Wszechświata, wokół którego krążą wszystkie ciała niebieskie, łącznie ze Słońcem. Takie było wówczas ogólne przekonanie wszystkich ludzi i tym posłużyli się autorzy natchnieni. W czasach Starego Testamentu nikomu nie przyszło do głowy, że Ziemia jest kulą, która się porusza, a Księżyc i Słońce nie są płaskimi talerzami. Papież Urban i wielu jego następców uznało tę „prawdę objawioną” jako oficjalne stanowisko Kościoła na ten temat, zapominając o kwestiach natury zasadniczej - Biblia nie jest księgą naukową; mówi o Bogu - nie o astrologii; została napisana przez omylnych ludzi, którym natchnienie przyświecało jedynie w opisach dotyczących naszego pochodzenia, celu i kresu ludzkiego życia, a nade wszystko miłości Boga do człowieka. Jej szczytem było Ofiarowanie Syna i Zbawienie wszystkich ludzi. Takie było i jest przesłanie Ksiąg Natchnionych. Innymi słowy: nie jest ważne z jakiego gatunku drzewa był sporządzony krzyż Chrystusa, ale ważny jest fakt, że On na nim zginął i dlatego. Tak, jak w nauce wyklucza się powstanie Świata w ciągu sześciu dni, tak również Pismo Święte - brane dosłownie i w niewłaściwym kontekście - przeczy teoriom Kopernika, Galileusza, Newtona, Darwina, Freuda i wielu, wielu innym sprawdzonym, niepodważalnym prawdom naukowym. Wszystkie najbardziej światłe osobowości, prekursorzy oświecenia umysłów w kluczowych sprawach dla całej ludzkości, byli przez wieki na kościelnych indeksach - ośmieszani, potępiani, ścigani przez inkwizycję, więzieni i paleni na stosach. Zmuszano ich pod presją uwięzienia lub śmierci do odwoływania tego, w co święcie wierzyli i czemu poświęcili całe swoje życie. Do dzisiaj większość z nich nie została zrehabilitowana, pomimo ogromu zniewag, jakich doświadczyli. Dzieje się tak, ponieważ prawda obiektywna nie robiła na Kościele nigdy większego wrażenia. Przez wieki utrwaliło się w nim

przekonanie, iż wszystko można zafałszować, przekoślawić - podpierając się autorytetem świętości i nieomyślności biskupa Rzymu. Bufonada papieży kazała im zabierać głos w niemal każdej sprawie, sankcjonować i rozstrzygać niemal wszystkie ludzkie problemy. To ich zawsze gubiło i ośmieszało w oczach postępowej ludzkości. Połączenie ignorancji i tupetu w przypadku rzymskich papieży nie ma swojego odpowiednika w historii świata. Zadufanie w potęgę swej władzy i zwyczajna bezkarność nie pozwala im przyznać się do własnych ewidentnych błędów oraz karygodnych pomyłek swoich poprzedników.

Jak wiemy z Ewangelii Duch Święty wraz z mocą Chrystusa spoczywał tylko na tych uczniach, którzy modlitwą, postem oraz świątobliwym życiem upodabniali się niejako do Mistrza. Tylko ci apostołowie mogli wyrzucać złe duchy, uzdrawiać, a nawet wskrzeszać. Moralna postawa całych zastępów papieży nie tylko nie licowała z autorytetem „następców św. Piotra”, ale była powodem zgorszenia i odrazy u całych pokoleń Katolików i niewierzących. Intrygi, przekupstwa, nepotyzm, rozpusta, a nawet morderstwa - były na dworach papieskich niemal na porządku dziennym.

Osobnym i zarazem jednym z najbardziej jaskrawych dowodów na błędy papieży jest ich stosunek do Pisma Świętego. Sykstusowi V należałoby przynajmniej oddać jego zainteresowanie i wkład (choć heretycki) w tłumaczenie Biblii. To, że papieże interpretują Słowo Boże po swojemu - jak im najwygodniej - jest oczywiste i udowodnione. Każdego Katolika przerażać jednak powinien jeszcze jeden fakt

- Kościół, pod dyktando papieży, w ogóle zakazywał ...czytania Biblii, a nawet podpierał ten zakaz sankcjami!!!

- Papież Grzegorz VII (1073 - 1085) ogłosił - „...Panu Bogu upodobało się, aby Pismo Święte pozostało nieznanne...”

- Sobór w Tuluzie (1229 r.) wydał pierwszy oficjalny zakaz czytania Biblii.

- Kolejni papieże: Innocenty XI (1676 - 1689), Klemens XI (1700 - 1721), Klemens VIII (1750 - 1769) uroczyście poparli ustalenia z Tuluzy.

- Grzegorz XVI (1831 - 1846) powiedział: „Towarzystwa biblijne są powszechną zarazą”.

- Pius IX (1846 - 1878) oznajmił dosłownie: „Biblia to trucizna”.

- Leon XII ogłosił 25 stycznia 1897 r. swój sławny „Wykaz ksiąg zakazanych”, wśród których umieścił Pismo Święte.

Takie traktowanie Słowa Bożego przez ludzi, którzy nazywają siebie - namiestnikami Chrystusa, szafarzami Bożych tajemnic, obrońcami nieskazitelnej

wiary, spadkobiercami św. Piotra itp. - woła o pomstę do Nieba!!!

Nie usprawiedliwia tego intencja, która z pewnością przyświecała tym „szafarzom” tj. ochrona Kościoła przed herezjami. W rzeczywistości papież, będąc przeważnie ludźmi światłymi, a więc znającymi prawdę, bali się jej odkrycia przez rzesze wiernych. Podejście ostatnich papieży jest już oczywiście inne. Zakazy zamieniono na błędną interpretację, którą usankcjonowano i opatrzone mianem jedynej i nieomyłnej”.

Nikt dzisiaj (poza nielicznymi księżmi) nie zabrania czytać Biblii. Wśród kleru, szczególnie starszego, wyczuwa się jednak ciągle obawę przed tzw. „samodzielnym czytaniem”. Księża ci, boją się (niektórzy panicznie) w swoich parafiach, nowych ruchów kościelnych, spotkań biblijnych, oazy. Nierzadko po prostu tego zakazują. Czy boją się, jak dawniej papież, oświecenia ludzi!?

Według doktryny katolickiej przymiot nieomyślności jest atrybutem każdego następcy św. Piotra, który otrzymał go (kiedy!? gdzie!?) od Jezusa. W kilkunastu powyższych punktach dowiodłem ponad wszelką wątpliwość fakt papieskiej omyślności. Skoro można niezbitnie udowodnić omyślność kilkunastu, kilkudziesięciu papieży - oczywistym jest, że omylny jest każdy bez wyjątku.

Do sprawy papieża i papieża trzeba podejść rzeczowo - nie oglądając się na żadne konwenanse i uczucia uzasadnionej dumy z tego, iż np. nasz wielki Rodak jest obecnie władcą na Watykanie. Powiedzmy więc otwarcie i z całą stanowczością - żaden z papieży:

- 1) Nie zastępuje Chrystusa czy też Boga Ojca na ziemi!;
- 2) Nie wolno mu używać tytułu Boskiego „Ojciec Święty”!;
- 3) Nie wolno mu łamać praw Boskich, np. wprowadzając celibat!;
- 4) Nie ma prawa ustanawiać świętych na ziemi!;
- 5) Nie ma prawa potępiać!;
- 6) Nie jest w żadnym stopniu nieomylny!;
- 7) Nie ma mocy ustanawiania „dogmatów” i podważania Biblii!!!

Co do pierwszego punktu, chyba nikt nie ma już żadnych wątpliwości.

Przytoczę jedynie kilka oficjalnych tytułów, którymi posługują się biskupi Rzymu - papież, aby obnażyć ich bezgraniczną pychę:

- „Yicarius Christi” - „Zastępca Chrystusa”;
- „Yicarius Filii Dei” - „Zastępca Syna Bożego”;
- „Yicarius Dei” - „Zastępca Boga”;

- „Dominus Deus” - „Pan Bóg”;
- „Omnipotens” - „Wszchemogący”, „Władca Świata”.

Papież Leon XIII oznajmił uroczystie 20 czerwca 1894 roku: „...Na tej ziemi zajmujemy miejsce Boga Wszchemogącego...”.

Pierwszy Sobór Watykański dodał do tego: „ ...Jeśliby ktoś zakwestionował absolutną władzę papieża - niech będzie wyklęty...!”

NINIEJSZYM JA TO CZYNIĘ

...pomny na słowa Chrystusa, który powiedział: „...Jeśli ktoś powie słowo przeciwko Synowi Człowieczemu, będzie mu odpuszczone...” Kwestionuję władzę człowieka, który wymaga dla siebie większego posłuszeństwa niż sam Bóg.

Wybaczcie - bardziej boję się Boga niż ludzie!

Odpowiadając na drugie bluźnierstwo mogę tylko jeszcze raz wskazać na Biblię, która mówi wielokrotnie, że „tylko Bóg jest Święty”.

Nikt nie pozwolił papieżom łamać prawa Boskie, dane wszystkim ludziom, np. prawa do małżeństwa i posiadania dzieci!

Również ustanawianie świętych na ziemi wykracza zupełnie poza papieskie - ludzkie możliwości, nie mówiąc już o tym, że nie było jeszcze Sądu Bożego. W Biblii nie ma żadnej wzmianki o kulcie świętych czy też Marii!

Co do papieskich potępień, klątw i sądów - odpowiedzią są jakże znane słowa Nauczyciela: „Nie sądzcie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni; odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone...”. Jedną z podstawowych konkluzji całego Pisma Świętego jest stwierdzenie, iż „wszelki osąd należy tylko do Boga!”.

Na temat „nieomyślności” papieskiej pisałem już bardzo wiele. Każdy rozsądny człowiek wie i rozumie, że tylko Bóg jest nieomyślny. Papieżom nadano oficjalnie ten przymiot w 1870 roku, na Soborze Watykańskim I. Wówczas to sytuacja dojrzała do tego, aby papieże przewartościowali swoje wielowiekowe ambicje. Skoro okazało się, iż nie mogą być faktycznymi władcami świata, do czego dążyli przez wieki - zapragnęli zostać duchowymi władcami wszystkich swoich wiernych. Od dawna nie wystarczała im jednak władza kierowania, rządzenia, ustanawiania; chcieli władzy absolutnej, nadludzkiej, nadprzyrodzonej. Źródeł tej władzy próżno by szukać w Piśmie Świętym; może raczej w - „nieomyślnym” przecież - stwierdzeniu papieża Grzegorza VII (1073 - 1086):

„Kościół Rzymski nigdy nie pobłądził i po wszystkie czasy w żaden błąd nie

popadnie”.

Idealnym narzędziem do wpajania ludziskom „nieomylnych prawd” - nie mających żadnego uzasadnienia w Biblii, a często zupełnie z nią sprzecznych - stały się dogmaty. Pojęcie dogmatu tzw. „ślepej wiary” funkcjonuje w Katolicyzmie od Soboru Laterańskiego z 1215 roku. Dogmat ten oznacza akceptowanie wszystkiego bez żadnych oporów i dyskusji. Ten historyczny bajer, opium dla mas Chrześcijan, trzymany w religijnej ciemności, miał służyć - i służy nadal - do ślepego podporządkowania sobie całej społeczności wiernych.

Fundamentalne założenie instytucji papieństwa również jest dogmatem: „Papież i Kościół się nie zmienia”. Zmieniać się mogą tylko formy, otoczki - nigdy sama treść; sposoby i metody - nie cele!

ROZDZIAŁ XIV

ZGUBNA TRADYCJA

Czy to jednak instytucja papieństwa jest źródłem największych wypaczeń w katolickim depozycie wiary? Papieże jawią się raczej jako narzędzia pewnej mocno zakorzenionej, ponadczasowej ideologii zachowawczości, która obliguje ich do sankcjonowania demagogii i fałszu. Tą przewrotną ideologią jest kult Tradycji.

Jest ona - „Czcigodna Tradycja” - w Kościele Katolickim pierwszorzędnym „Źródłem Objawienia”. A więc nie Prawda, którą Bóg objawił o sobie, spisana przez autorów natchnionych na kartach Pisma Świętego, ale ludzkie „mądrości” - tworzone, zmieniane, poprawiane i przekazywane przez setki, tysiące lat - mają pierwszeństwo i status „nieomylnych”. Zgodnie z Tradycją, prawdziwym źródłem wiary i najlepszym „drogowskazem” są:

- orzeczenia papieży: encykliki, dekrety, adhortacje itp.
- orzeczenia soborów, symbole wiary, pisma ojców Kościoła, księgi liturgiczne, pomniki literatury starotestamentalnej i chrześcijańskiej, dzieła sztuki sakralnej itp.

Bardzo wpływowy kardynał Gibbons, kandydat na papieża, napisał w swoim znanym dziele:

„Pismo Święte jest niewystarczającym przewodnikiem i regułą wiary... gdyż nawet w sprawach najważniejszych nie jest samo przez się jasne i zrozumiałe oraz dlatego, że nie zawiera wszystkich prawd do zbawienia koniecznych”.

O dziwo, a raczej - jak zwykle - innego zdania jest Jezus, który nauczał:

„Badacie Pisma... w nich zawarte jest życie wieczne: to one właśnie dają o mnie świadectwo”.

Paweł apostoł w Liście do Tymoteusza, swojego ucznia pisze: „Ty zaś trwaj wiernie przy tym, czego cię nauczono i o czym urobiłeś sobie mocne przekonanie, świadom tego, kto był twym nauczycielem i że od lat dziecięcych znasz Pisma święte; one potrafią dać ci mądrość, która prowadzi do zbawienia przez wiarę w Chrystusa Jezusa”.

Cała Biblia - Stary i Nowy Testament, jak również przekonanie pierwotnego Kościoła dowodzą, że teksty natchnione przez Boga są nieomylnym przewodnikiem wiary, jedynym źródłem i probierzem prawdy. Mówienie zaś o Bogu, który dał ludziom księgę „niezrozumiałą” i niekompletną, jest wielkim bluźnierstwem - zniewagą dla Bożej mądrości. Nie sądzę, aby zrozumienie Biblii przekraczało możliwości poznawcze hierarchów katolickich. Podejrzewam ich raczej o świadome ukrywanie prawdy! Pragną oni stworzyć wrażenie niedoskonałości źródeł biblijnych, aby mieć wolną rękę i uzasadnienie dla tworzenia własnych dogmatów.

Oczywistym jest, iż przekaz jakichkolwiek wiadomości czy informacji jest w sposób nieuchronny zniekształcany wraz z biegiem czasu. Błędy w przypadku interpretacji Objawienia Bożego mogły narosnąć w Kościele szczególnie gęsto, skoro Biblia nawet po dwóch tysiącach lat jest dla jego hierarchów niezrozumiała.

Jezus Chrystus odrzucił zdecydowanie tradycję jako niemiarodajne źródło czegokolwiek, gdyż pochodzi ona i jest kształtowana przez grzesznych, ułomnych ludzi. Nie może być miarodajna, autorytatywna, a tym bardziej niezmienna, skoro tworzą ją zmienni ze swej natury ziemianie.

Wszyscy Katolicy, w tym również ja sam, zostaliśmy wychowani również na tradycji, ale tej związanej ściśle z obrządkiem i praktykami religijnymi. Taka tradycja jest nieszkodliwa, a nawet większość z nas czuje do niej duży sentyment. Pasterka o północy; rezurekcja o świcie; święcenie jajek na Wielkanoc; choinka na Boże Narodzenie; postna „wigilia” z karpem; święcenie palemek; zaduszki; sypanie głów popiołem; śmigus - dyngus - to wszystko w niczym nie przeszkadza naszej wierze, chociaż często ma pogańskie korzenie. W niektórych przypadkach obchodzenie, np. zaduszek czy popielca, może być pomocne w refleksji nad przemijaniem. Są to jednak generalnie tylko pewne zwyczaje, dodatki do samej postawy religijnej, nie mające nic wspólnego z przeżywaniem autentycznego kontaktu z Bogiem.

Problem zaczyna się wówczas, kiedy tradycyjne zwyczaje religijne lub

parareligijne zajmują w naszym życiu miejsce żywej wiary. Często niestety się zdarza, że ta wiara nigdy tak naprawdę nie ma nawet okazji się zrodzić. Bardzo pomaga w tym Kościół, który najchętniej całą sferę duchową - nadprzyrodzoną sprowadziłby do z góry ustalonych postaw i tradycyjnych zachowań. Kapłani w kazaniach największy nacisk kładą na obowiązek uczestnictwa we Mszy św., przestrzeganie postów, w miarę częstą spowiedź, niedzielny odpoczynek, noszenie medalika itp.; nie mówię już o dziurze w dachu kościoła, na której załatanie zbierają od lat pieniądze albo o kazaniach politycznych.

Tymczasem wierni potrzebują autentycznych świadków Chrystusa, którzy przejęli się do głębi Jego nauką, uwierzyli w nią i dzielą się swoją wiarą z innymi. Śmiem twierdzić, że 90% uczestników niedzielnych Mszy w kościołach to ludzie religijni, ale nie do końca wierzący! Przychodzą do świątyni, aby odnaleźć w niej Boga (tak bynajmniej powinno być), ale zamiast Boga - Kościół głosi im tradycję i serwuje efekty wizualno - audialne. Ludzie w swej naturze bardzo szybko przyzwyczajają się do taniej otoczki, zapominając przy tym łatwo o istocie. Ogromna większość Katolików w naszym Kraju chodzi do Kościoła z przyzwyczajenia, bo taka jest tradycja - dziadkowie, rodzice chodzili... no to i my. Przy takim założeniu, bez autentycznego zaangażowania i motywacji - niezwykle łatwo i szybko można sprowadzić: uczestnictwo w Najświętszej Ofierze - do niedzielnego spaceru, połączonego z lokalnym pokazem mody; przeżywanie Bożego Narodzenia - do karpia, choinki i fajnego żłóbka w kościele; Wielkanocy - do jajka i zajączka; corocznej spowiedzi - do zła koniecznego.

Tłumy ludzi zgromadzone na nabożeństwach są biernymi słuchaczami i obserwatorami - nie znają źródeł i podstaw własnej religii zawartych w Piśmie Świętym, a raczej znają takie źródła i podstawy, które stworzył Kościół. Jeśli ktoś chciałby pogłębić swoją wiedzę na ten temat - np. dowiedzieć się: kim jest Jezus Chrystus? dlaczego Pan Bóg pozwala, aby człowiek cierpiał na ziemi i... ewentualnie w piekle? jaki sens ma ludzkie życie? dlaczego moja religia jest prawdziwa? - nie znajdzie zadowalającej odpowiedzi z ust księży, którzy nie potrafią uzasadnić ani Objawionych Prawd, ani nawet kościelnych „mądrości” na podstawie Biblii. Księża katolicycy zresztą przeważnie bardzo słabo ją znają, gdyż tak zostali wykształceni. Muszą znać treść najnowszej encykliki papieża; zarządzenia biskupa na temat - kogo popieramy w wyborach albo jak zorganizować w parafii komórkę „Akcji katolickiej”; wytyczne dziekana dotyczące stawki za wypominki „od duszy” na dany rok itp.

Wiedzą na przykład, że kiedy przyjdzie na parafię list Episkopatu, to choćby na tę niedzielę przypadła najpiękniejsza Ewangelia, będąca wspaniałym materiałem na kazanie - trzeba czytać list, bo jest ważniejszy niż Słowo Boże.

ZAKOŃCZENIE

Tak więc Tradycja oraz strzegąca jej instytucja papieża są największymi źródłami pokrętnych dróg, którymi Kościół Katolicki prowadzi swoje otumanione owieczki. Mówiąc o Kościele, mam oczywiście na myśli wysokich rangą hierarchów na czele z papieżem, bo to oni go obecnie stanowią. Naturalnie sami funkcjonariusze twierdzą, iż „Kościół to Lud Boży”, „wszyscy ochrzczeni i wierzący w Chrystusa” itd. Nie Wiercie im, bo tak nie jest - zresztą sami najlepiej Wiecie - ile Macie do powiedzenia we „własnym” Kościele. Nie ma w nim miejsca na choćby odrobinę demokracji, wolności; na wymianę zdań; w ogóle bezskuteczne jest wszelkie poszukiwanie, zgłębianie czegokolwiek, gdyż wszystko już dawno jest ustalone przez „górze”. Nasuwa mi się w tym miejscu dość trafne - moim zdaniem

- porównanie: Kościół Katolicki - podobny do Międzynarodówki Komunistycznej lub chociażby do naszej „nieodżałowanej” P.Z.P.R. Dwie, w przeszłości skrajnie przeciwstawne organizacje, miały - jak się okazuje - bardzo wiele wspólnych cech:

- chciały być powszechne - „ogarnąć ludzki lud...”;
- były „siłą przewodnią”;
- skupiały pełnię władzy;
- rościły sobie prawo do nieomylnych decyzji;
- nie uznawały krytyki ani opozycji;
- ich podstawy i ideologia pozostawały niezmiennie.

Szczególnie to ostatnie porównanie wydaje się wyjątkowo trafione. Łączy się z nim bowiem jeszcze jedno: pokrewne - okresowe „odnowy”. Tak partia komunistyczna, jak i struktury kościelne - co jakiś czas „przewietrzały” swoje podwórka i lochy, pozostawiając jednakowoż śmieci na swoim miejscu. Jako przykłady mogą tu posłużyć „odwilże” w stylu gierkowsko - gomułkowskim i odnowy posoborowe. Pamiętajmy jednak, że komuna należy do przeszłości (dlatego używałem czasu przeszłego), ale Kościół Katolicki, jak na razie kwitnie.

Dzisiejszym celem Kościoła nie jest odnowa, naprawa wypaczeń, odejście od błędnych teorii, weryfikacja dogmatów, ale co najwyżej PRZYSTOSOWANIE tego

wszystkiego do czasów współczesnych, do wymagań cywilizacji, humanizmu i powszechnej demokratyzacji. Postęp myśli ludzkiej stoi dziś w jawnej sprzeczności z feudalnym, autokratycznym systemem Kościoła. Zwykli ludzie szukający prawdy, nie oglądają się na przebrzmiałe i mocno wypłowiałe autorytety

- sami przybliżają się do Boga: zgłębiają Biblię, tworzą organizacje pomagające pojedynczym ludziom i całym krajom, łagodzą obyczaje; wreszcie - pracują nad sobą, nie czekając na faryzejskie zachęty swoich proboszczów, pomni na słowa Zbawiciela:

„Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili i wy im czyńcie!”

Prawda, piękno, a nade wszystko miłość - zawarte w Ewangelii

- są same w sobie najlepszym odniesieniem i oparciem dla ludzi wierzących.

Obronią się w końcu przed fałszem i obłudą, bo ich źródłem jest sam Bóg.

To, iż hierarchowie katoliccy z uporem głoszą „czarną magię” (retuszowaną co paraset lat) i wciskają ją ludziom, jest naturalne i zrozumiałe - muszą być przynajmniej konsekwentni w swoim zacofaniu. Najdziwniejsze jest jednak to, że miliony ludzi na całym świecie ciągle wyrażają na to milczącą zgodę, utożsamiając się z Kościołem demagogii i fałszu.

Ten Kościół nie jest jednak jeszcze stracony - szatański, przeklęty i z gruntu zły. Powstał na fundamencie apostołów. Tworzą go setki milionów ludzi dobrej woli na całym świecie - kapłanów i świeckich. Wiele jego dzieł i inicjatyw (w tym papieskich) przyniosło ludzkości dużo trwałego dobra. Naturalnie możliwości tak potężnej organizacji są niewspółmiernie większe w stosunku do efektów dotychczasowych działań. Należy zawsze pamiętać, iż Kościołem rządzą ludzie i tak wielkie jego odstępstwa są wynikiem odwiecznej słabości ludzkiej.

Jednak Kościół Katolicki może i powinien się zmienić. Ta przemiana - nie odnowa! - musi iść w kierunku wstecznym: powrotu do autentycznej doktryny i ducha pierwszych wieków Chrześcijaństwa. Przede wszystkim musi nastąpić zjednoczenie z innymi Kościołami Chrześcijańskimi, w tym przede wszystkim z Protestantami i ich umiłowaniem Biblii. Najwyższy czas, aby „...prawdziwi czciciele oddawali cześć Ojcu w Duchu i Prawdzie!!!”

Tym, którzy chcą widzieć we mnie heretyka i bluźniercę spieszę wyjaśnić, iż nie jestem ani Jehowitą, ani Protestantem, ani żadnym odstępcą czy innowiercą! Jestem słabym człowiekiem szukającym Boga i Prawdy. Nie znalazłem jej w Kościele Katolickim, choć byłem jego kapłanem. Wszchemogący chciał, abym opuścił Kościół,

który pobłądził. Powołał mnie do służby PRAWDZIE. Pragnę jej służyć, bo ona należy do Boga.

Zostawmy problemy dotyczące niuansów życia nadprzyrodzonego, istoty Bóstwa, osoby Maryi. Zostawmy wszelkie kwestie sporne - to wszystko, co nas dzieli! Niech nasza mowa będzie: „tak - tak, nie - nie”. Bądźmy prostolinijni, wdzięczni za wszystko Stwórcy. Ufajmy Jego Żywemu Słowu zawartemu w Piśmie Świętym. Wiara Wasza niech będzie ufną wiarą dziecka. Żaden taki czy inny Kościół nie może nas zbawić, tylko sam Jezus Chrystus.